

Anatol France

BOGOWIE ŁAKNĄ KRWI

Tłum. Jan Sten

I

Malarz Ewaryst Gamelin, uczeń Davida, członek sekcji Pont-Neuf, zwanej poprzednio sekcją Henryka IV, udał się wczesnym rankiem do dawnego kościoła Barnabitów, który od trzech lat, od 21 maja 1790 r., był miejscem zgromadzeń ogólnych sekcji. Kościół ten wznosił się na ponurym i wąskim placu, tuż obok kraty gmachu sądowego. Na fasadzie, zbudowanej w dwóch rodzajach stylu klasycznego, zdobnej odwróconymi wspornikami i brzuchatymi medalionami, osmuconej przez czas i nie poszanowanej przez ludzi, na miejscu strąconych emblematów religijnych widniała nad drzwiami wypisana czarnymi literami dewiza republikańska: „Wolność, Równość, Braterstwo lub Śmierć”.

Ewaryst Gamelin wszedł do nawy. Sklepienia, pod którymi rozlegał się dawniej śpiew kleryków reguły świętego Pawła, w komzach odprawiających służbę bożą, teraz widziały czerwone czapki patriotów, zgromadzonych dla wyboru urzędników municypalnych lub dla narad nad sprawami sekcji. Świętych usunięto z nisz i wgłębień i zastąpiono popiersiami Brutusa, Jana Jakuba Rousseau i Le Peltiera. Na ołtarzu, ogołoconym z kościelnych sprzętów, wznosiły się Tablice Praw Człowieka.

W tej to nawie dwa razy na tydzień, od piątej po południu do jedenastej w nocy, odbywały się zgromadzenia publiczne. Kazalnica, przybrana w chorągiew o barwach narodowych, służyła za trybunę dla mówców. Naprzeciw estrada, z prostych desek wzniesiona, przeznaczona była dla kobiet i dzieci, dość licznie przybywających na te zebrania. Tego ranka, przed biurkiem pod amboną, w czerwonej czapce i karmanioli, siedział stolarz z placu Thionville, obywatel Dupont starszy, jeden z dwunastu członków Komitetu Nadzoru. Na stole stała butelka wina, szklanki, kałamarz i zeszyt zawierający tekst petycji wzywającej Konwent do usunięcia ze swego grona dwudziestu dwóch niegodnych członków.

Ewaryst Gamelin wziął pióro i podpisał petycję.

— Wiedziałem — rzekł urzędnik-rzemieślnik — że przyjdiesz dać swe nazwisko, obywatelu Gamelin. Jesteś szczerym republikaninem. Ale sekcji brak zapалу, brak cnoty obywatelskiej. Proponowałem Komitetowi Nadzoru, by nie wydawał świadectw prawomyślności tym wszystkim, którzy nie podpiszą petycji.

— Jestem gotów krwią podpisać surowe zarządzenia przeciw zdrajcom federalistom — odrzekł Gamelin. — Chcieli śmierci Marata: niech giną!

— Gubi nas indyferentyzm — odrzekł Dupont starszy. — W sekcji złożonej z dziewięciuset

obywateli z prawem głosu nawet pięćdziesięciu nie przychodzi na zgromadzenia. Wczoraj było nas dwudziestu ośmiu. oczy, namiętne i słodkie, jej bladość i nieśmiałość. Ojciec zaś, inżynier-optyk, dostawca królewski, którego w trzydziestym roku życia ta sama zabrała choroba, przekazał mu umysł bystry i prawy.

— A ty, obywatelu, jak się masz? — rzekł nie przerywając pisania.

— Dobrze. Co nowego?

— Nic, nic. Widzisz przecie, wszystko tu spokojnie.

— A sytuacja?

— Sytuacja zawsze taka sama.

Położenie było straszne. Najpiękniejsza armia Republiki zamknięta w Moguncji, Valenciennes oblężone, Fontenay zdobyte przez Wandejczyków; Lyon zbuntowany, Sewenny w rękę powstańców, granica otwarta dla Hiszpanów; dwie trzecie departamentów zajętych lub zbuntowanych; Paryż pod armatami Austriaków, bez pieniędzy, bez chleba. Fortunat Trubert spokojnie pisał dalej. Z rozkazu Komuny sekcjom poruczono powołać pod chorągwie dwanaście tysięcy ludzi do Wandei i Trubert redagował odnośne polecenia w sprawie zaciągu i uzbrojenia rekruta, jakiego dostarczyć miała sekcja Pont-Neuf, dawniej sekcja Henryka IV. Wszystkie karabiny mają być wydane zmobilizowanym, gwardia narodowa sekcji będzie uzbrojona w strzelby do polowania i piki.

— Przynoszę ci — rzekł Gamelin — wykaz dzwonów, które mają być wysłane do Luksemburgu dla przetopienia na armaty.

Ewaryst Gamelin, choć nie posiadał ani grosza, zapisany był wśród czynnych członków sekcji. Prawo przywilej ten dawało tylko obywatelom dość zamożnym, by mogli wnieść opłatę równającą się wartości trzech dni pracy; nadto wymagało składki równej dziesięciu dniom, by wyborca mógł być wybranym. Ale sekcja Pont-Neuf, zamiłowana w równości i zazdrośnie strzegąca swej autonomii, uważała za wyborcę i wybieralnego każdego, kto za własne pieniądze sprawił sobie mundur gwardzisty narodowego. Tak miała się rzecz z Gamelinem: był on obywatelem czynnym sekcji i członkiem Komitetu Wojskowego. Fortunat Trubert położył pióro.

— Obywatelu Ewaryście, zjądź do Konwentu i zażądaj, by przysłano nam instrukcje w sprawie przekopania piwnic, przepłukania ziemi i gruzu i wybrania z nich saletry. Nie dość mieć armaty, proch też nam jest potrzebny.

Mały garbusek z piórem za uchem i papierami w rękę wszedł do zakrystii. Był to obywatel Beauvsage z Komitetu Nadzoru.

— Obywatele — rzekł — telegraf optyczny złe nam przynosi wieści: Custine opuścił Landau.

— Custine jest zdrajcą! — zawołał Gamelin.

— Pójdzie pod gilotyne — rzekł Beauvisage. Trubert głosem nieco przerywanym rzekł ze zwykłym swym spokojem:

— Konwent nie dla zabawki powołał do życia Komitet Ocalenia Publicznego. Postępowanie Custine'a będzie tam dokładnie rozpatrzone. Nieudolny czy też zdrajca, będzie on zastąpiony przez generała mocno zdecydowanego na zwycięstwo i... dobrze będzie. Przerzucił papier i powiódł po nich zmęczonym wzrokiem.

— Aby żołnierze nasi bez troski i zniechęcenia pełnili swój obowiązek, muszą być spokojni, że los tych, których w domu pozostawili, jest zabezpieczony. Jeśli także jesteś tego zdania, obywatelu Gamelin, to na najbliższym zgromadzeniu zażadasz wraz ze mną, by Komitet Dobroczynności porozumiał się z Komitetem Wojskowym co do wspomżenia ubogich rodzin, mających krewnych w armii.

Uśmiechnął się i zanucił:

— Ca ira!... ca ira!...

Przy prostym stole dwanaście do czternastu godzin na dobę pracując nad obroną zagrożonej ojczyzny, skromny ten sekretarz sekcji nie spostrzegał nawet przepaści między ogromem zadania a małością swych środków — tak mocno we wspólnym wysiłku czuł się złączony z ogółem patriotów, tak wcielał się w naród, tak zupełnie życie jego jednoczyło się z życiem wielkiego ludu. Był on z tych, co zapaleni i cierpliwi, po każdej porażce przygotowują nowy triumf — niemożliwy, a jednak pewny. Bo przecie zwyciężyć musieli. Ci ludzie z nizin, którzy znieśli władzę królewską i obalili stary porządek świata, ten Trubert, mizerny optyk, ten Gamelin, malarz nieznany, nie liczyli na względność swych nieprzyjaciół. Mieli wybór tylko między zwycięstwem a śmiercią. Stąd szła ich żarliwość i spokój ducha.

## II

Wyszedłszy od Barnabitów, Ewaryst Gamelin skierował się na plac Delfiny, obecnie nazwany placem Thionville na cześć niezwalzonego grodu.

Plac ten, położony w najbardziej uczęszczanej dzielnicy Paryża, już od wieku prawie stracił był swój piękny układ; za czasów Henryka IV z trzech stron okolony jednakimi pałacami z czerwonej cegły w obramowaniu białych kamieni, siedzibami wspaniałych i możnych panów, teraz zamienił piękne łupkowe dachy na dwu- i trzypiętrowe nędzne przybudówki. Niektóre pałace, zrównane z ziemią, niezaszczytnie zastąpiono źle bielonymi domami; miały one fasady nieregularne, biedne, brudne, świecące mnóstwem okien nierównych, wąskich, ożywionych tylko doniczkami kwiatów, klatkami pełnymi ptaków i suszącą się bielizną. Tu gnieździło się mnóstwo rękodzielników, jubilerów, rytowników, zegarmistrzów, optyków, drukarzy, szwaczek, modniarek, praczek i kilku starych sadowników, których nie uniosła

zawierucha wraz z dawnym sądownictwem.

Był wiosenny ranek. Jasne promienie słońca, upajające jak słodkie wino, śmiały się na brudnych murach i wesoło wciskały się do poddaszy. Ramy zasuwanych okien były podniesione i spod nich wychylały się rozczochrane głowy gospodyń. Woźny Trybunału Rewolucyjnego, wychodząc z domu na służbę, głaskał po drodze twarzyczki bawiących się pod drzwiami dzieci. Od strony Pont-Neuf słyhać było głosy, okrzykujące zdradę niecnego Dumourieza.

Ewaryst Gamelin mieszkał od strony Quai de l'Horloge, w domu datującym się jeszcze od Henryka IV. Dom ten przedstawiałby się wcale nieźle, gdyby nie pięterko bielone i strych pokryty czerwonymi dachówkami, którymi podwyższono go za przedostatniego tyrana. Aby dostosować mieszkania dawnych dygnitarzy do potrzeb mieszczańskich i rzemieślniczych rodzin, obecnie je zamieszkujących, pomnożono w nich przepierzenia i pawlacze. Obywatel Remacle, odźwierny-krawiec, gnieździł się w antresoli bardzo skróconej na wysokość i szerokość i widać go było przez oszklone drzwi, jak siedzi ze skrzyżowanymi nogami na warsztacie, z głową u powały, i szyje mundur narodowego gwardzisty, podczas gdy obywatelka Remacle, której schody służyły za komin dla kuchni, truje lokatorów zapachami swych przypraw, a córka ich Józia, uwalana syropem i piękna jak poranek, igra u drzwi z Moutonem, psem stolarza.

Przebąkiwano, że obywatelka Remacle, obdarzona szerokim sercem i takimiz piersiami i biodrami, nie odmawia swych względów sąsiadowi, obywatelowi Dupont starszemu, jednemu z dwunastu członków Komitetu Nadzoru. Mąż przynajmniej gwałtownie ją o to posądza! i małżonkowie Remacle dzień cały napełniali dom odgłosami swych waśni i pojednań. Wyższe piętra domu zamieszkiwał obywatel Chaperon, złotnik mający sklep na Quai de l'Horloge, pewien urzędnik służby zdrowia, prawnik i kilku urzędników sądowych.

Ewaryst Gamelin wszedł po starożytnych schodach na czwarte i ostatnie piętro, gdzie miał pracownię i pokój dla matki. Tu kończyły się drewniane stopnie, zastępujące kamienne schody pięter niższych. Przystawiona do ściany drabina prowadziła na strych, z którego schodził teraz niemłody, otyły człowiek o wesołej, rumianej twarzy, z trudem dźwigający ogromny tłumok; to nie przeszkadzało mu podśpiewywać:

Gdzie się zapodział mój służący...

Przerwał piosnkę i grzecznie powitał Gamelina, który również przyjaźnie go witając, pomógł mu wywlec tłumok, za co staruszek podziękował serdecznie.

— Widzisz — rzekł podnosząc tłumok — to są pajace, które idę odnieść do składu zabawek na ulicę de la Loi. Jest tu tego cały tłum; są to własne moje twory, ode mnie otrzymały ciało znikome, wolne od radości i cierpienia. Nie dałem im myśli, jestem więc dobrym Bogiem.

Był to obywatel Maurycy Brotteaux, dawny dzierżawca podatków, były arystokrata: ojciec jego z bogaciwszy się kupił sobie szlachectwo. W dawnych dobrych czasach Maurycy Brotteaux nazywał się panem des Ilettes i w pałacyku swoim przy ulicy de la Chaise dawał wykwiłtne kolacyjki, które blaskiem uświetniała żona prokuratora, pani de Rochemaure, kobieta zacna, na której wierności nie zawiódł się ani razu, póki Rewolucja pozostawiała Maurycemu Brotteaux des Ilettes jego urząd, pałac, dobra, dochody i nazwisko. Rewolucja zabrała mu je wreszcie. Zarabiał więc na życie malowaniem portretów pod bramami domów, wypiekaniem wafli i pączków na Quai de la Mégisserie, układaniem przemówień dla reprezentantów ludu i udzielaniem lekcji tańca młodym obywatelom. Obecnie na strychu swoim, do którego wsuwano się za pomocą drabiny i w którym nie można było stanąć prosto, Maurycy Brotteaux, posiadacz garneczka klajstru, wiązki szpagatu, pudełka farb akwarelowych i skrawków papieru, fabrykował pajace dla wielkich handlarzy zabawek, którzy odprzedawali je roznosicielom, a ci na długich kijach roznosili je po Polach Elizejskich, gdzie były przedmiotem pożądań drobnej dziatwy. Wśród publicznych zamieszek i niedoli, którą osobiście był dotknięty, Brotteaux zachował duszę pogodną; dla rozrywki czytywał Lukrecjusza, którego nosił zawsze w szeroko rozwartej kieszeni brunatnego surduta. Ewaryst Gamelin pchnął drzwi swego mieszkania; otwarły się natychmiast, ubóstwo jego czyniło zamykanie ich zbytecznym kłopotem. Gdy matka jego z przyzwyczajenia zamykała je na zasuwkę, mawiał:

— Po co? Pajęczyn nikt nie kradnie, więc i moich nie wezmą.

W pracowni, pod grubą warstwą pyłu lub odwrócone do ściany, zgromadzone były pierwsze jego prace, te, w których idąc za modą, miękkim i pieściwym pędzlem kreślił sceny miłosne, opróżnione kołczany, odlatujące ptaki, niebezpieczne igraszki, sielskie miłostki, sny o szczęściu, podkasane gęsiarki i pasterki z łonem uwieńczonym różami.

Ale ten rodzaj nie odpowiadał jego usposobieniu. Sceny takie, traktowane na zimno, zdradzały nieuleczalną czystość malarza. Miłośnicy poznawali się na tym i Ewaryst Gamelin nigdy nie uchodził był za malarza scen erotycznych.

Dziś, nie mając jeszcze lat trzydziestu, miał wrażenie, jakby obrazy te pochodziły z niepamiętnych czasów. Widział w nich zepsucie monarchiczne i haniebnny skutek rozpusty dworów. Miał żal do siebie: zajmował się był rodzajem malarstwa godnym pogardy i okazywał talent skażony niewolnictwem. Teraz, jako obywatel wolnego ludu, kreślił z wielkim rozmachem postacie Wolności, Prawa Człowieka, Konstytucje francuskie, Cnoty republikańskie, Herkulesów ludowych, zwalczających Hydrę Tyranii — i wkładał w te kompozycje całą żarliwość swego patriotyzmu. Niestety! Nie zarabiał tym na życie. Czasy były złe dla artystów. Nie było to zapewne winą Konwentu. Konwent na wszystkie strony

ciskał armie przeciwko królom: dumny, niewzruszony, stanowczy wobec sprzysiężonej Europy, chytry i okrutny względem siebie, rozszarpywał się własnymi rękami, siał zgrozę, ustanawiał dla karania spiskowców bezlitosny trybunał, któremu wkrótce miał dać własnych członków na pożarcie; jednocześnie zaś zwolennik myśli i przyjaciel wiedzy i piękna, reformował kalendarz, tworzył szkoły zawodowe, rozpisywał konkursy malarstwa i rzeźby, ustanawiał nagrody dla zachęty artystów, urządzał doroczne wystawy, otwierał Muzeum i, za przykładem Aten i Rzymu, nadawał wzniosłą cechę obchodom świąt i uroczystościom żałobnym.

Ale sztuka francuska, tak dawniej ceniona w Anglii, Niemczech, Rosji, Polsce, nie miała już zbytu za granicą. Amatorzy malarstwa, miłośnicy sztuki, wielcy panowie i finansisci, byli zrujnowani, emigrowali lub się ukrywali. Ludzie, których Rewolucja zubożyła, chłopinabywcy dóbr narodowych, giełdciarze, dostawcy wojskowi, ajenci z Palais-Royal nie śmieli jeszcze pokazać swego bogactwa; zresztą nie interesowali się malarstwem. Aby sprzedać obraz, trzeba było rozgłosu takiego Regnault lub zręczności młodego Gerarda. Greuze, Fragonard, Houin doprowadzeni byli do nędzy. Prud'hon ledwie mógł wyżywić żonę i dzieci małymi rysunkami, które Copia rytował techniką punktowania. Patriotyczni malarze Hennequin, Wicar, Topino-Lebrun przymierali głodem. Gamelin, nie mogąc ponieść kosztów obrazu, nie mając czym zapłacić modela ani kupić farby, mógł zaledwie naszkicować wielkie płótno przedstawiające „Tyrana gnanego do piekła przez Furie“. Płótno to pokrywało pół pracowni strasznymi nie dokończonymi postaciami i mnóstwem zielonych węzów, wyciągających podwójne haczykowate języki. Na pierwszym planie, na lewo, można było rozpoznać chudego i posępnego Charona na łodzi. Była to praca potężna, o pięknym rysunku, ale trąciła manierą szkolną. Dlatego więcej talentu i naturalności było w drugim obrazie, mniejszych rozmiarów, także nie wykończonym, wiszącym w najlepiej oświetlonym miejscu pracowni. Obraz przedstawiał Orestesa, któremu siostra, Elektra, pomaga unieść się na łożu boleści. Młoda dziewczyna tklwym gestem odgarniała zwichrzone włosy, zasłaniające oczy brata. Głowa Orestesa, tragiczna i piękna, miała wielkie podobieństwo do twarzy samego artysty.

Gamelin często ze smutkiem patrzył na tę kompozycję. Nieraz ręce jego, drżące chęcią malowania, wyciągały się ku śmiało naszkicowanej postaci Elektry i opadały bezsilnie. Malarz pełen był zapału i dusza jego pożyła rzeczy wielkich, ale musiał wyczerpywać się pracami robionymi na obstalunek, co wykonywał bardzo miernie, musiał bowiem zadowalać pospolite gusta, nie umiał też drobnym rzeczom nadać cechy talentu. Rysował obrazki alegoryczne; przyjaciel jego Desmahis dość zręcznie rytował je czarno lub barwnie, za marną cenę nabywał je odeń handlarz rycin z ulicy Honorée, obywatel Blaise. Ale handel rycinami

szedł coraz gorzej, jak mawiał Blaise, który od jakiegoś czasu nie chciał nic kupować. Tym razem jednak Gamelin, którego potrzeba czyniła przemysłnym, powziął nowy i szczęśliwy pomysł, mający, jak mu się zdawało, przynieść majątek handlarzowi rycin, rytownikowi i jemu: tym pomysłem była talia kart patriotycznych, w której królów, damy i waletów dawnego porządku zastępowały obrazki Wolności, Geniuszów, Równości. Wszystkie figury były już naszkicowane, niektóre zupełnie wykończone i pilno mu było oddać przyjacielowi Desmahis te, które uważał za gotowe do rytowania. Najlepszą zdawała mu się figura przedstawiająca ochotnika w trójgraniastym kapeluszu, w niebieskim mundurze z czerwonymi wypustkami, w żółtych spodniach i czarnych kamaszach, siedzącego na skrzyni, z nogami na stosie kul, z karabinem między kolanami. Był to „obywatel kierowy“, zastępujący waleta kier. Od sześciu miesięcy Gamelin z zawsze jednakim upodobaniem rysował ochotników. Sprzedał ich kilku w dniach zapału. Kilku wisiało na ścianach pracowni, pięciu czy sześciu, malowanych akwarelą, gwaszem, kredkami, walało się po stole i krzesłach. W lipcu 92 roku, gdy na wszystkich placach Paryża wznosiły się estrady dla zaciągu ochotników, gdy ze wszystkich szynków przybranych zielenią rozlegały się okrzyki: „Niech żyje naród! Żyć wolnym lub umrzeć!“, Gamelin nie mógł przejść mimo Ratusza lub Pont-Neuf, żeby serce jego nie wrywało się pod namiot flagami przybrany, w którym urzędnicy z trójkolorową szarfą zapisywali nazwiska ochotników przy dźwiękach „Marsylianki“. Ale gdyby się był zaciągnął do szeregów, matka pozostałaby była bez chleba. Poprzedzona świstem swego ciężkiego oddechu, obywatelka wdowa Gamelin weszła do pracowni spocona, czerwona, zdyszana. Narodowa kokarda niedbale była przyczepiona do jej czepka i każdej chwili groziła odpadnięciem. Postawiła koszyk na krześle i, stojąc, aby łatwiej jej było oddychać, zaczęła biadać nad drożyzną żywności. Za życia męża była właścicielką sklepu nożowniczego w ulicy Grenelle-Saint-Germain pod godłem „La Ville de Châtellerauld“; teraz biedna kobiecina żyła przy synu malarzu. Był on starszym z jej dwojga dzieci. Co do córki Julii, niegdyś modniarki z ulicy Honorée, lepiej było nie wiedzieć, co się z nią dzieje, bo niebezpiecznie było przyznawać się, że wyemigrowała z jakimś arystokratą.

— Boże, Boże — wzdychała obywatelka pokazując synowi bochenek ciemnego pieczywa — chleb dochodzi cen bajecznych, a nie jest nawet czysto pszenny. Na targu nie ma ani jaj, ani jarzyn, ani sera. Od żywienia się kasztanami sami zamienimy się w kasztany.

Po długiej chwili ciągnęła dalej:

— Widziałam na ulicy matki, które nie miały czym pożywić drobnych dzieci. Nędza jest wielka wśród biednego ludu. I to tak trwać będzie, aż sprawy nie powrócą do porządku.

— Matko — rzekł Gamelin marszcząc brwi — głód ten zawdzięczamy aferzystom i

gieldziarzom, którzy ogładzają lud i w zмовie z zewnętrznymi nieprzyjaciółmi chcą zniszczyć wolność, a Republikę obywatelom nienawistną uczynić. Oto do czego prowadzą spiski Brissotów, zdrady Pétionów i Rolandów! To szczęście jeszcze, że uzbrojeni federaliści nie mordują w Paryżu patriotów, których głód nie dość szybko tępi! Nie ma czasu do stracenia: trzeba wyznaczyć cenę na mąkę i gilotynować każdego, kto spekuluje na żywności ludu, podsycą bunt i zmawia się z nieprzyjacielem. Konwent właśnie ustanowił nadzwyczajny trybunał do sądzenia spiskowców. Składa się on z patriotów — ale czy członkowie jego będą mieli dość energii, by bronić Ojczyzny przeciwko wszystkim jej wrogom? Brak nam ludzi. Danton jest dzielny, ale zepsuty! Robespierre posiada cnoty obywatelskie, ale nie ma wpływu na kolegów. Cała nadzieja nasza jest w Maracie; ten kocha lud, pojmuje jego interesy i służy im. On pierwszy zawsze demaskował zdrajców i uniemożliwiał spiski; jest nieustraszony i nieprzekupny. On jeden jest w stanie ocalić zagrożoną Republikę.

Obywatelka Gamelin potrząsnęła głową, przy czym kokarda spadła z jej czepka.

— Daj pokój, Ewaryście! Twój Marat jest człowiek jak każdy inny i nie więcej wart od innych. Młody jesteś, masz jeszcze złudzenia. Co dziś mówisz o Maracie, mówiłeś dawniej o Mirabeau, o Lafayettecie, o Pétionie, Brissocie.

— Nigdy! —zawołał Gamelin, szczerze niepamiętliwy.

Oczyściwszy róg stołu z papieru, książek, pędzli i ołówków, obywatelka ustawiła fajansową wazę, dwie blaszane miseczki, dwa widelce, bochenek czarnego chleba i dzban kwaśnego wina.

Syn i matka w milczeniu zjedli zupę i zakończyli obiad kawałkiem smażonej słoniny. Matka, położywszy słoninę na chleb, poważnie scyzorykiem wkładała kawałki do swych bezzębnych ust i z szacunkiem żuła pożywienie, które tak drogo kosztowało. Najlepszą część pozostawiła dla syna, który był roztargniony i zadumany.

— Jedz, Ewaryście — mówiła od czasu do czasu — jedz! — i słowo to miało w jej ustach powagę religijnego dogmatu.

I na nowo rozpoczęła żale nad drożyzną żywności, a Gamelin na nowo żądał ustanowienia cen, jako jedyne go leku na to zło.

— Nie ma już pieniędzy — mówiła stara — emigranci wszystko zabrali. Nie ma już kredytu. O wszystkim zważyć trzeba.

— Nie szemraj, matko! — zawołał Gamelin. — Cóż znaczy nasza bieda i cierpienia chwilowe? Rewolucja na wieki całe da szczęście ludzkości.

Zacna niewiasta zamoczyła chleb w winie. Humor jej ożywił się, z uśmiechem myślała o czasach młodości, kiedy to w dzień urodzin króla tańczyła na murawie. Przypomniała sobie dzień, w którym Józef Gamelin oświadczył się o jej rękę, i szczegółowo opowiadać zaczęła,



jak się to stało.

Matka powiedziała: „Ubierz się, pójdziemy na plac de Greve do sklepu pana Bienassis, jubilera, przyjrzeć się kaźni Damiensa“. Trudno im było przecisnąć się przez cizbę ciekawych. W sklepie pana Bienassis młode dziewczę zastało Józefa Gamelina, przybranego odświętnie; zrozumiała też od razu, o co chodzi. Cały czas, gdy stała przy oknie, by widzieć, jak królobójcę targano kleszczami, polewano topionym ołowiem, szarpano czwórką koni i rzucono w ogień, pan Józef Gamelin, stojący za nią, prawił jej komplementy, unosił się nad jej kibicią, cerą, włosami.

Tu wychyliła kieliszek do dna i dalej rozpamiętywała swoje życie.

— Wydałam cię na świat, Ewaryście, prędzej, niż się spodziewałam, bowiem ciężarną będąc, przelęknąłam się bardzo na Ponf-Neuf, gdzie niemal obalili mnie ciekawi, biegnący patrzeć na stracenie pana de Lally. Urodziłeś się drobny i nikły. Doktor nie sądził, że żyć będziesz. Ale ja wiedziałam, że Bóg zrobi mi tę łaskę i ciebie zachowa. Wychowałam cię, jak mogłam najlepiej, nie szczędząc ani trudów, ani wydatków. Należy przyznać, Ewaryście, że okazałeś się wdzięczny za to i że od dzieciństwa o ile możliwości wynagradzałeś te starania. Z natury byłeś łagodny i pieszczotliwy. Siostra twoja nie miała złego serca, ale była samolubna i gwałtowna. Ty miałeś więcej litości dla nieszczęśliwych niż ona. Gdy urwisy z naszej dzielnicy wybierali gniazda z drzew, starałeś się zawsze wyrwać ptaszyny z ich rąk, by zwrócić je matce, i ustępowałeś dopiero, gdy cię boleśnie pobili i skopali. Mając lat siedem, zamiast sprzeczać się z rozmaitymi łobuzami, szedłeś spokojnie ulicą, powtarzając katechizm. Wszystkich spotykanych ubogich sprowadzałeś do domu, by dać im jałmużnę, tak że zmuszona byłam wybić cię, abys się od tego odzwyczaił. Nie mogłeś patrzeć bez łez na czyjeś cierpienie. Wyrosłeś na bardzo pięknego chłopca. Ku wielkiemu memu zdziwieniu zdawałeś się nie wiedzieć o tym, nie tak jak większość ładnych chłopców, którzy pyszni są ze swej urody. Stara matka mówiła prawdę. Ewaryst w dwudziestym roku życia miał śliczne i poważne rysy twarzy, piękność zarazem surową i kobiecą, rysy Minerwy. Teraz jego posępne oczy i blada twarz były wyrazem duszy smutnej i namiętnej. Jednak wzrok jego, gdy zwrócił go na matkę, odzyskał na chwilę słodycz pierwszej młodości.

— Mógłbyś być korzystać z twej urody — mówiła dalej — by latać za dziewczętami, ale wolałeś zostawać przy mnie w sklepie i zdarzało mi się nieraz przemocą odrywać cię od mych spódnic, byś szedł zabawić się z towarzyszami. I na łożu śmiertelnym, mój Ewaryście, zaświadczę, że jesteś dobrym synem. Po śmierci ojca wzięłam mnie pod opiekę i chociaż zawód twój niewiele ci przynosi, nie pozwoliłam nigdy, by mi na czymkolwiek zbywało. Jeśli dziś oboje jesteśmy biedni i wszystkiego pozbawieni, nie mogę ci z tego robić zarzutu; winna temu Rewolucja.

Malarz zrobił gest przeczenia, ale ona, wzruszając ramionami, mówiła dalej:

— Nie jestem arystokratką. Znałam możnych w całej ich potędze i mogę powiedzieć, że nadużywali swoich przywilejów. Widziałam, jak ojca twego obili lokaje księcia de Canaillelles dlatego, że nie dość szybko ustąpił z drogi ich panu. Nie lubiłam Austriaczki; była dumna i za dużo wydawała. Co do króla, sądziłam, że jest dobry, i dopiero proces jego i skazanie zmieniły mój pogląd. Jednym słowem, nie żałuję dawnego porządku rzeczy, chociaż przeżyłam wówczas niejedną chwilę wesołą. Ale nie mów mi, że Rewolucja zaprowadzi równość: ludzie nigdy nie będą równi, to jest niemożliwe, choćby kraj do góry nogami przewrócono; zawsze będą wielcy i mali, tłuści i chudzi.

Tak rozmawiając, ustawiała kuchenne sprzęty. Malarz już jej nie słuchał. Szukał w myśli sylwetki sankiulota w czerwonej czapce i karmanioli, który miał w jego talii kart zastąpić waleta pik, skazanego na zagładę. Wtem zaskrobano do drzwi i do pracowni weszła dziewczyna wiejska, szeroka, niska, ruda, z krzywymi nogami, z bielmem na lewym oku, z okiem prawym tak bladoniebieskim, że zdawało się białe, z ogromnymi wargami i wystającymi zza nich zębami.

Zapytała Gamelina, czy to on jest malarzem i czy może zrobić portret jej narzeczonego, Ferranda (Juliana), ochotnika w armii ardeńskiej.

Gamelin odrzekł, że bardzo chętnie zrobi portret za powrotem dzielnego wojaka. Dziewczyna łagodnie, a natarczywie prosiła, by zechciał uczynić to zaraz.

Malarz, uśmiechając się mimo woli, zauważył, że bez modelu malować nie może. Biedna dziewczyna nic na to nie odrzekła: widocznie nie przewidziała była tej trudności. Z głową przechyloną na lewe ramię, z rękami złożonymi na brzuchu, stała nieruchoma, milcząca, trochę przygnębiona. Rozbawiony i wzruszony tą wielką naiwnością malarz, chcąc pocieszyć zmartwioną kochankę, wsunął jej w rękę wizerunek ochotnika malowany akwarelą i zapytał, czy tak wygląda jej narzeczone z Ardennów. Dziewczyna wlepiała w papier spojrzenie swego martwego oka, które powoli ożywiło się, zabłysło, zajaśniało; szeroka twarz jej rozkwitła radosnym uśmiechem.

— To jego prawdziwe podobieństwo — rzekła wreszcie — to Ferrand, jak żywy.

I zanim malarz pomyślał o odebraniu jej kartki, ona drobno i starannie złożyła, ją swymi grubymi czerwonymi palcami i, wsunawszy ją szybko między gors i koszulę, dała artyście asygnatę na pięć franków, skłoniła się i wyszła, lekko kulejąc.

### III

Po południu tegoż dnia Ewaryst udał się do obywatela Jana Blaise, handlarza rycin, sprzedającego też pudełka, tekturę i różnego rodzaju gry na ulicy Honorée, naprzeciwko

Oratoire, w bliskości Messageries, pod godłem „Miłość malarzem“. Magazyn mieścił się na parterze starego domu; prowadziło doń szerokie wejście, u góry uwieńczone rogatym maskaronem, łuk nad wejściem wypełniony był olejnym malowidłem, przedstawiającym „Sycylijczyka, czyli Miłość malarzem“ według kompozycji Bouchera. Malowidło to ojciec Jana Blaise'a umieścić kazał w roku 1770; zacierało je słońce i deszcze. Z obydwóch stron drzwi znajdowały się okna, równie szerokie jak wejście, z głowami nimf u szczytu i największymi szybami, jakie można było znaleźć; w nich wystawiano przed oczy przechodniom modne ryciny i najświeższe nowości w rytownictwie barwnym. Tego dnia wystawione tam były sceny miłosne, traktowane z nieco sztywnym wdziękiem przez Boilly'ego, jako to: „Nauka miłości małżeńskiej“, „Łagodny opór“. Ryciny oburzały jakobinów, prawdziwi zaś miłośnicy sztuki zachwalali je Towarzystwu Sztuk Pięknych. Była tam jeszcze „Przechadzka w parku publicznym“ z elegantem w żółtych spodniach rozwalonym na trzech krzesłach, konie młodego Carle'a Vemeta, aerostaty, „Kąpiel Wirginii“ i posążki według wzorów starożytnych.

Spośród obywateli, którzy fałą przepływali mimo sklepu, najgorsi oberwańcy najdłużej zatrzymywali się przed piękną wystawą, radzi rozrywce, chciwi napatrzania się obrazkom, chcąc choć wzrokiem brać udział w dobrach tego świata. Podziwiali oni te cuda z szeroko otwartymi ustami, podczas gdy arystokraci zaledwie okiem rzucali, marszczyli brwi i oddalali się spiesznie.

Z daleka, jak tylko mógł dojrzeć, popatrzył Ewaryst w okno ponad sklepem, okno z lewej strony, za którego balkonikiem w kształcie muszli stała doniczka czerwonych goździków. Było to okno pokoju Elodii, córki Jana Blaise. Handlarz rycin z jedyną swą córką zamieszkiwał pierwsze piętro domu. Ewaryst, zatrzymawszy się chwilę przed sklepem, aby zaczerpnąć oddechu, nacisnął klamkę.

Obywatelka Elodia właśnie sprzedawała była dwie ryciny, dzieła Fragonarda syna i Naigeona, starannie wybrane spośród wielu innych. Przed schowaniem otrzymanych asygnat do kasy przeglądała je kolejno pod światło, by sprawdzić cienkość, prążkowanie i znaki papieru, niespokojna, gdyż fałszywych pieniędzy było prawie tyleż w obiegu, co prawdziwych; bardzo szkodziło to handlowi. Jak dawniej podrabiacze podpisu króla, tak teraz podrabiacze monety narodowej karani byli śmiercią, znajdowano jednak ręczne drukarnie asygnat w każdej piwnicy. Szwajcarzy wprowadzali miliony fałszywych asygnat, stosami paczek rozrzucano je po oberżach; Anglicy całe ładunki dostawiali na nasze wybrzeża, chcąc zdyskredytować Republikę i patriotów doprowadzić do nędzy. Elodia obawiała się otrzymać zły banknot, a bardziej jeszcze bała się puścić go w dalszy obieg, aby nie uchodzić za współniczkę Pitta. Ufała jednak swojemu szczęściu i pewna była, że w każdej okoliczności ze sprawy się

wywinie.

Ewaryst spojrział na nią tym wzrokiem posepnym, który lepiej niż wszelkie uśmiechy wyraża miłość. Ona spojrzała nań z minką nieco szyderczą, podnosząc czarne oczy; pochodziło to stąd, że wiedziała, iż jest kochana, i rada była temu, a minka taka podnieca zakochanego, każe mu się skarżyć i doprowadza do oświadczeń — jeśli nie nastąpiły dotąd, jak to było właśnie z Ewarystem.

Schowawszy asygnaty do kasy, wyjęła z koszyczka białą szarfę, którą zaczęła była haftować, i zabrała się do roboty. Była pracowita i zalotna, a ponieważ igłą władała jednocześnie w celu podobania się i sporządzenia sobie ozdoby, więc haftowała na różne sposoby, stosownie do tego, kto patrzył na nią. Haftowała niedbale dla tych, którym udzielić chciała miękkiego omdlenia; kapryśnie, jeśli z czyim miłosnym zmartwieniem poigrać chciała. Dla Ewarysta, którego poważne uczucie chciała utrzymać, haftowała starannie.

Elodia nie była ani bardzo młoda, ani bardzo ładna. Na pierwsze wejrzenie mogła raczej uchodzić za brzydką. Brunetka, miała cerę oliwkową, czarne, aż w granat wpadające włosy, wymykające się spod wielkiej białej chustki niedbale okręconej około głowy, czoło niskie, pod którym pały ogniste oczy. W jej okrągłej, śmiejącej się twarzy o wydatnych kościach policzkowych, nieco płaskiej, sielskiej i zmysłowej, malarz dopatrywał się podobieństwa z głową fauna z willi Borghese, którego boską swawolność podziwiał w odlewie. Małe wąsiki dodawały wyrazu jej namiętym wargom. Łono, które zdawało się wezbrane tklivością, podnosiło chusteczkę, skrzyżowaną na piersiach według najnowszej mody. Gibka jej kibić, nogi szybkie, całe silne jej ciało poruszało się z prostym i rozkosznym wdziękiem. Spojrzenie jej, tchnienie, dreszcze przebiegające ciało, wszystko pożądało serca i obiecywało upojenia miłosne. Za ładą kupcowej wyglądała jak nimfa tańca, bachantka z Opery, pozbawiona rysiej skóry, tyrsu i wieńców bluszczu, ukryta i zaklęta czarami w skromną postać gosposi á la Chardin.

— Ojca nie ma w domu — rzekła do malarza — zaczekaj pan na niego, niebawem przyjdzie. Małe śniade rączki szybko przebiegały igłą po batyście.

— Podoba się panu ten wzór, panie Gamelin? Gamelin nie umiał udawać. Miłość dodawała mu odwagi i podniecała jego szczerłość.

— Haftujesz z wielką wprawą, obywatelko — rzekł — ale prawdę mówiąc deseń, jaki ci narysowano, nie jest dość prosty, dość nagi; przebija w nim efektowny gust, który zbyt długo panował we Francji w ozdabianiu materii, mebli, tapet. Te kokardy, girlandy przypominają małoszkowy, sztuczny styl, jaki był w modzie za czasów tyra. Dziś smak odradza się. Niestety! Wiele tu mamy do naprawienia. Za niecnego Ludwika XV ornamentyka miała w

sobie coś chińskiego. Robiono brzuchate komody z antabami śmiesznie pokrzywionymi, przydatne na to tylko, aby je w piec rzucić, żeby się patrioci przy nich grzali. Tylko prostota jest piękna. Trzeba powrócić do wzorów starożytnych. David rysuje łóżka i fotele według waz etruskich i malowideł Herkulanum.

— Widziałam takie łóżka i fotele — rzekła Elodia — są bardzo piękne. Niedługo nikt nie zechce innych. Razem z panem uwielbiam wzory starożytne.

— Toteż, obywatelko — odrzekł Ewaryst — gdybyś była szarfę tę ozdobiła wyszyciem á la grecque, liśćmi bluszczowymi, wężami i skrzyżowanymi strzałami, byłaby ona godną Spartanki... i ciebie. Możesz jednak zachować ten deseń, upraszczając go nieco, sprowadzając go do linii prostej.

Zapytała go, co trzeba by usunąć.

Ewaryst nachylił się nad szarfą; policzki jego musnęły loki Elodii. Ręce ich spotykały się na batyście, oddechy się mieszały. Ewaryst doświadczał w tej chwili niezmiernej radości; ale czując, przy swych wargach wargi Elodii, cofnął się nagle, zalękniony, że może obraził młodą dziewczynę.

Obywatelka Blaise kochała Ewarysta Gamelin; uważała, że jest wspaniały z tymi płomiennymi oczami, z pięknym owalem bladej twarzy, z bujnymi czarnymi włosami rozdzielonymi nad czołem i falą spadającymi na ramiona, z tą poważną, chłodną miną, surowym obejściem i stanowczym słowem, nie schlebającym nigdy. A że go kochała, przypisywała mu dumny talent artysty, który kiedyś objawi się arcydziełami i imię jego rozśławi, i za to kochała go jeszcze mocniej. Obywatelka Blaise nie żywiła kultu dla skromności i czystości męskiej. Jej poczucie moralne nie byłoby obrażone, gdyby mężczyzna uległ namiętności, upodobaniu, pożądaniu; kochała Ewarysta czystym, ale nie dlatego kochała go, że takim był; widziała w tym tylko tę korzyść dla siebie, że nie potrzebuje obawiać się rywalek i że nie zazna męki zazdrości i podejrzeń.

Tym razem jednak wydał jej się zbyt powściągliwym. Jeśli Racine'owska Arycja, kochając Hipolita, podziwiała surową cnotę młodego bohatera, czyniła to w nadziei, że tę cnotę pokona; zapewne biadałaby nad surowością obyczajów, których by nie był złagodził dla niej. I gdy tylko nadarzyła się sposobność, oświadczyła na wpół swoje uczucia, by zmusić go do oświadczeń zupełnych. Za przykładem tkliwej Arycji obywatelka Blaise chętnie wierzyła, że w miłości pierwszy krok winna uczynić kobieta. Najbardziej zakochani — myślała sobie — są najmniej śmiali; potrzeba im pomocy, zachęty. Niewinność ich jest tak wielka, że kobieta przebiegnie pół drogi i więcej, a oni ani to spostrzegą, byle tylko zachować im pozór śmiałego z ich strony ataku i sławę zdobywców. Co do wyniku sprawy była spokojna, wiedziała bowiem na pewno (i nie ulegało to żadnej wątpliwości), że Ewaryst, zanim Rewolucja zrobiła

zeń bohatera, kochał bardzo po ludzku kobietę, proste stworzenie, odzwierciedlenie akademii. Elodia, nie będąc już niewiniątkiem, pojmowała różne rodzaje miłości. Uczucie, jakie wzbudzał w niej Ewaryst, było dostatecznie głębokie, by nie zawahała się poświęcić mu życia. Była gotowa poślubić go, byk jednak pewna, że ojciec nie przystanie na związek jedynaczki z artystą ubogim i nieznanym. Gamelin nie posiadał nic, handlarz rycin obracał wielkimi sumami pieniędzy. Skład rycin pod godłem „Miłość malarzem“ przynosił dobre dochody, spekulacje giełdowe — jeszcze większe, nadto od niedawna Blaise wszedł był w spółkę z dostawcą trzciny i stęchłego owsa dla konnicy Republiki. Zresztą syn nożownika z ulicy Św. Dominika był niewiele znaczącą osobistością w porównaniu z wydawcą rycin, znanym w całej Europie, spokrewnionym z Blaizotami, Basanami, Didotami, bywającym u obywateli Saint-Pierre i Florian. Mimo że posłuszna córka, nie uważała, by zgoda ojca była jej koniecznie potrzebna do ustalenia losu. Ojciec jej wcześniej owdowiał; z usposobienia lekkomyślny i chciwy, wielki kobieciarz, ciągle zajęty interesami, nigdy nie troszczył się o nią zbyt, dał jej rósć i rozwijać się swobodnie, bez rad, bez przywiązania. Nie chodziło mu o to, by jej strzec, lecz raczej o to, by nie wiedzieć o postępowaniu córki, której ognisty temperament i silniejsze od pięknej twarzy ponęty, jako znawca, doskonale oceniał. Zbyt wspaniałomyślna, by się strzec zbyt, zanadto mądra, by się zgubić, rozumna w swych szaleństwach, nigdy nie pozwoliła miłości przekroczyć granic konwenansu. Ojciec wdzięcznym jej był za tyle ostrożności, a że odziedziczyła po nim zmysł kupiecki i zamiłowanie do przedsiębiorstw, nie troszczył się o tajemnicze przyczyny, które odstręczały od małżeństwa dziewczynę tak dojrzałą i zatrzymywały ją w domu, gdzie zastępowała, można rzec śmiało — służącą i czterech subiektów. Mając lat dwadzieścia siedem, uważała, że lata i doświadczenie pozwalają jej samej urządzić swe życie, bez zasięgnięcia rad i spełniania woli ojca, młodego, roztargnionego i lekkoducha.

Ale by mogła poślubić Gamelina, musiałby pan Blaise pomyśleć o losie tego biednego zięcia, dopuścić go do udziału w interesie, zapewnić mu robotę, jak ją zapewniał innym artystom, wreszcie w ten lub inny sposób stworzyć mu dochody; tu była trudność, uważała bowiem za niemożliwe, żeby ojciec to zaofiarował, a za wątpliwe, by Ewaryst to przyjął — tak mało sympatii było między tymi dwoma ludźmi.

Trudność ta była wielką troską dla tkliwej i rozumnej Elodii. Niestraszną jej była myśl połączenia się z ukochanym związkiem tajemnym i zaprzysiężenia sobie obopólnej wiary jedynie w obliczu twórcy przyrody. Filozofia jej nie widziała nic zdrożnego w takim związku. Swoboda, w jakiej żyła, czyniła ten związek możliwym; uczciwy i cnotliwy charakter Ewarysta zapewniał jej stałość niezmienną. Ale Gamelin zaledwie miał sam z czego żyć i utrzymać starą matkę; zdawało się niemożliwe, by w takim ubóstwie mogło znaleźć się

miejsce dla miłości, choćby ograniczonej do prostoty natury. Zresztą Ewaryst nie oświadczył był jeszcze swych uczuć i zamiarów. Obywatelka Blaise spodziewała się wkrótce do tego go zmusić.

Zatrzymała jednocześnie swą igłę i rozmyślania.

— Obywatelu Ewaryście — rzekła — szarfa ta podobać mi się będzie, o ile podobać się będzie panu. Narysuj mi pan wzór, proszę. Czekaając nań, rozpruję jak Penelopa to, co zrobiłam w twojej obecności.

Ewaryst odrzekł z ponurym zapałem:

— Podejmuję się tego, obywatelko. Wyrysuję ci miecz Harmodiosa: szpadę wśród wieńca. — I wyjąwszy ołówek począł szkicować miecze i kwiaty w swym umiłowanym, prostym i nagim stylu. Równocześnie wykladał swoje teorie.

— Odrodzeni Francuzi — mówił — muszą odrzucić wszystkie spuścizny służalstwa: zły gust, zły kształt, zły rysunek. Watteau, Boucher, Fragonard pracowali dla tyranów i niewolników. W pracach ich ani śladu dobrego stylu, czystej linii, nigdzie natury, prawdy. Maski, lalki, szmaty, małpiarstwo. Potomność pogardzi ich błahymi pracami. Za sto lat wszystkie obrazy Watteau wzgardzone przepadną na strychach; w 1893 roku młodzi uczący się malarze pokryją swymi szkicami płótna Bouchera. David wskazał drogę: zbliża się on do wzorów starożytnych; ale nie jest jeszcze dość prosty, dość wielki, dość nagi. Nasi artyści jeszcze bardzo wiele nauczyć się mogą z fryzów Herkulanum, z płaskorzeźb rzymskich, z waz etruskich...

Mówił długo o pięknie starożytnym, po czym powrócił do Fragonarda, do którego czuł gorącą nienawiść.

— Czy znasz go, obywatelko? Elodia skinieniem głowy przytaknęła.

— Znasz też zapewne ojca Greuze'a; zaiste, jest on dostatecznie śmieszny ze swym czerwonym frakiem i szpadą. Ale wygląda jak mędrzec grecki w porównaniu z Fragonardem. Spotkałem w tych dniach tego nędznego starca, drepcącego pod arkadami Palats-Egalite; był wypudrowany, wyświeżony, uśmiechnięty, wstrętny. Na ten widok zapragnąłem, by w braku Apollona jakiś dzielny miłośnik sztuk pięknych powiesił go na drzewie i zdarł zeń skórę jak z Marsjasza, na wieczny przykład dla złych malarzy.

Elodia zwróciła nań spojrzenie swych wesołych, płomiennych oczu.

— Umiesz nienawidzić, panie Gamelin; czy należy przypuszczać, że umiesz także ko...

— To ty, Gamelin? — ozwał się głos tenorowy, głos obywatela Blaise, który wracał do sklepu w skrzypiących butach, z brzęczącymi brelokami, z rozwianymi połami futra, w ogromnym czarnym kapeluszu, którego krysy opuszczały mu się aż na ramiona.

Elodia wstała, zabrała koszyk i poszła na górę do swego pokoju.

— I cóż, Gamelin — zapytał obywatel Blaise — czy mi coś nowego przynosisz?

— Być może — rzekł malarz. I przedstawił myśl swoją.

— Nasze karty do gry — rzekł — to rażący kontrast ze stanem obyczajów. Nazwy walet, król obrażają uszy patriotów. Obmyśliłem i wykonałem nową talię kart rewolucyjnych, w której królów, damy, walety zastępują Wolności, Równości, Braterstwa; asy otoczone różgami liktorskimi nazywają się Prawami... Zapowiada się: Wolność trefl, Równość pik, Braterstwo karo, Prawo kier... Zdaje mi się, że karty te są dobrze narysowane, mam zamiar dać je rytować akwafortą u Desmahisa i wziąć na nie patent.

I wyjmując z teczki kilka akwarelę wykończonych figur, artysta podał je handlarzowi rycin. Obywatel Blaise nie przyjął ich i odwrócił głowę.

— Mój chłopcze — rzekł — zanieś to do Konwentu, który zaszczyci cię może specjalnym posłuchaniem. Ale nie spodziewaj się wyciągnąć choć szeląga ze swego nowego pomysłu, który nowym nie jest. Przyszedłeś za późno. Twoja rewolucyjna talia kart jest trzecią z rzędu, którą mi przynoszą. Twój kolega Dugourc ofiarował mi w zeszłym tygodniu karty do pikiety z czterema Geniuszami, czterema Wolnościami, czterema Równościami. Proponowano mi inną talię, z mędrkami, wodzami, Katonem, Rousseau, Hannibalem, nie wiem z kim jeszcze!... A karty te miały nad twymi, mój przyjacielu, tę wyższość, że były grubo rysowane i ryte na drzewie scyzorykiem. Jakże mało znasz ludzi, skoro przypuszczasz, że gracze używać będą kart rysowanych w guście Davida, a rytym na sposób Bartolozziego! A i to jest dziwnym z twej strony złudzeniem, by tyle zachodu trzeba było dla zastosowania starych kart do nowego porządku rzeczy. Poczciwi sankiuloci radzą sobie sami i poprawiają tę nieprawomyślność, zapowiadając „tyran“ lub po prostu „gruba świnia“! Posługują się swymi brudnymi kartami i nigdy nie kupią innych. Dużo potrzeba kart w szulerniach Palais-Egalite; radzę ci iść tam i zaofiarować swoje Wolności, Równości i... jak tam powiedziałeś?... Prawa kier... krupierom i graczom... Wrócisz potem i powiesz mi, jak cię przyjęli!

Obywatel Blaise usiadł na ladzie, palcami strzepnął żdźbła tabaki ze swych żółtych nankinowych spodni i, patrząc na Gamelina z łagodnym współczuciem, rzekł:

— Pozwolisz, obywatelu malarzu, bym dał ci dobrą radę: jeśli chcesz zarobić na życie, porzuć twoje karty patriotyczne, twoje symbole rewolucyjne, Herkulesów, Hydry, Furie ścigające zbrodnie, twoich geniuszów Wolności, a maluj mi ładne dziewczyny. Zapał obywateli do odrodzenia się stygnie z czasem, natomiast mężczyźni zawsze będą kochać kobiety. Maluj mi ładne różowiotkie kobietki z małymi nóżkami i rączkami. I wsadź sobie w głowę, że nikt się już nie interesuje Rewolucją, nikt nie chce słyszeć o niej.

Ewaryst Gamelin oburzył się na te słowa.

— Co! Nie chcą już słyszeć o Rewolucji? Ależ zdobycie wolności, zwycięstwa naszych armii,



kara na tyranów zadziwiać będą najodleglejszą potomność! Jakże my mielibyśmy się tym nie przejmować?... Co? Sekta sankiuloty Jezusa przetrwała prawie osiemnaście wieków, a kult Wolności miałby być zniesiony zaledwie po czterech latach istnienia! ?

Jan Blaise odparł tonem wyższości:

— Ty tkwisz w marzeniu, mój kochany, a ja w rzeczywistości, w życiu. Wierz mi, mój przyjacielu, Rewolucja nudzi: trwa za długo. Pięć lat zapału, pięć lat ucisku, rzezi, przemów, „Marsylianki“, bicia w dzwony, „arystokratów na latarnię“, głów obnoszonych na dzidach, kobiet jadących na armatach, drzew Wolności wieńczonych czerwoną czapką, starców i dziewczic w białych szatach na ukwieconych wozach, pięć lat więzień, gilotyny, niedostatku, afiszów, kokard, pióropuszy, szabel, karmanioli — to dużo, bardzo dużo! Zresztą zaczynamy już nic nie rozumieć. Za dużo widzieliśmy tych wielkich obywateli, których powiedliście na Kapitol po to tylko, by ich strącić ze Skały Tarpejskiej: Necker, Mirabeau, La Fayette, Bailly, Petion, Manuel i tylu innych. Któż nam zaręczy, że nie taki sam los czeka waszych nowych bohaterów?... Już nic nie wiadomo!

— Wymień ich, obywatelu Blaise, wymień ich, tych bohaterów, których zamierzamy poświęcić! — rzekł Gamelin tonem, który przywołał handlarza rycin do ostrożności.

— Jestem republikaninem i patriotą — odrzekł z ręką na sercu. — Jestem takimże republikaninem, takimże patriotą jak ty, obywatelu Ewaryście Gamelin. Nie podejrzewam twojej prawomyślności i nie oskarżam cię bynajmniej o zmienność. Wiedz, że o mojej prawomyślności i poświęceniu dla sprawy publicznej świadczą liczne czyny. Chcesz znać moje zasady, oto są: zaufaniem swym darzę każdego, kto zdolny jest służyć narodowi. Przed ludźmi, których głos publiczny powołał na niebezpieczne stanowiska dla sprawowania władzy prawodawczej, jak Marat, Robespierre, korzę się i gotów jestem pomagać im w miarę mych słabych sił, zapewnić im współdziałanie dobrego obywatela. Komitety zaświadczyć mogą o mojej gorliwości i poświęceniu. Współ z dobrymi patriotami dostawiałem owies i furaz dla naszej dzielnej konnicy, obuwie dla naszych żołnierzy. Dziś nawet wysyłam sześćdziesiąt wołów do Vernon dla armii południowej, przez kraj rojący się od rozbójników i emisariuszy Pitta i Kondeusza. Ja nie rozprawiam; działam.

Gamelin spokojnie włożył swoje akwarele do teczki, zawiązał je tasiemkami i wsunął pod pachę.

— Dziwna w tym sprzeczność — wyrzekł z zaciśniętymi zębami — pomagać naszym żołnierzom, roznosić na świat wolność, którą u siebie zdradza się, siejąc niepokój i zamęt w duszy jej obrońców... żegnam, obywatelu Blaise!

Nim zapuścił się w uliczkę ciągnącą się wzdłuż Oratoire, Gamelin, z sercem wezbranym miłością i gniewem, zwrócił wzrok na czerwone goździki kwitnące na parapecie okna. Nie

wątpił on o zbawieniu ojczyzny. Nieobywatelskim słowem Jana Blaise przeciwstawiał swoją gorącą wiarę rewolucyjną. Musiał jednak przyznać, że ten kupiec nie bez pozoru słuszności mówił, że teraz lud paryski przestaje interesować się wypadkami. Niestety! Aż nazbyt widoczne było, że zapał pierwszej chwili zastąpiła ogólna obojętność i że nie zobaczy się więcej tych na jeden ton nastrojonych tłumów z roku osiemdziesiątego dziewiątego, tych milionów dusz harmonijnych, tłoczących się w dziewięćdziesiątym roku koło ołtarza skonfederowanych. Więc cóż! Dobrzy obywatele podwoją swą gorliwość i śmiałość, rozbudzą drzemiący lud, dając mu do wyboru wolność lub śmierć. Tak dumął Gamelin, a myśl o Elodii podtrzymywała jego odwagę.

Zaszedłszy na wybrzeże, ujrzał słońce na widnokręgu, wśród ciężkich chmur, podobnych do gór płonącej lawy; dachy miasta pławiły się w złotym blasku; szyby okien rzucały błyskawice. I Gamelin wyobrażał sobie tytanów, jak ze szczątków starych światów kują Dice, gród spizowy.

Nie mając kęsa chleba dla siebie i matki, marzył o nieskończonym biesiadnym stole wszechświata, do którego zasiądzie odrodzona ludzkość. Tymczasem starał się przekonać sam siebie, że ojczyzna, jak dobra matka, wyżywi swego wiernego syna. Nie dając pokonać się wzgardom handlarza rycin, wmawiał w siebie, że jego pomysł kart rewolucyjnych jest dobry i nowy i że w tych udatnych akwarelach pod pachą trzyma majątek. „Desmahisowi powierzę ich rytowanie — myślał. — Wydamy sami te patriotyczne karty i w miesiąc sprzedamy z pewnością z jakie dziesięć tysięcy, po franku talia“. I niecierpliwie, chcąc jak najprędzej urzeczywistnić ten projekt, skierował swe kroki na Quai de la Ferraille, gdzie nad szklarzem mieszkał Desmahis.

Wchodziło się doń przez sklep. Szklarzowa uprzedziła Gamelina, że obywatela Desmahisa nie ma w domu; malarza nie mogło to zadziwić, znał bowiem kapryśne i leniwe usposobienie swego przyjaciela i dziwił się zawsze, jak przy takim braku wytrwałości mógł tak dużo i tak dobrze rytować. Gamelin postanowił nań poczekać. Żona szklarza podała mu krzesło. Była mrukliwa i żaliła się, że interesy źle idą, chociaż mówiono, że Rewolucja, rozbijając szyby, wzbogaca szklarzy.

Noc zapadała; nie chcąc czekać dłużej, Gamelin pożegnał szklarzową. Przechodził właśnie przez Pont-Neuf, gdy od strony Quai des Morfondus ukazali się konni gwardziści z pochodniami. Roztrącali przechodniów i z wielkim szczękiem szabel eskortowali wózek, wolno wiozący na gilotynę człowieka, którego nazwiska nikt nie znał, jakiegoś byłego arystokratę, pierwszego skazańca nowego Trybunału Rewolucyjnego. Spomiędzy kapeluszy straży widać go było niewyraźnie; siedział ze związanymi na plecach rękami, z głową obnażoną i chwiejącą się, tyłem do kierunku jazdy. Kat stał przy nim, oparty o bok wozu.

Zatrzymujący się przechodnie szeptali między sobą, że jest to zapewne jeden z tych, co lud głodzą, i patrzyli obojętnie. Gamelin, zbliżywszy się, poznał wśród widzów Desmahisa, usiłującego przedrzeć się przez tłum i wyprzedzić pochód. Zawołał go i położył mu rękę na ramieniu. Desmahis odwrócił głowę. Był to młodzian piękny i silny. W akademii mawiano niegdyś, że ma głowę Bachusa na ramionach Herkulesa. Przyjaciele nazywali go „Barbaroux“ z powodu podobieństwa do tego przedstawiciela ludu.

— Chodź — rzekł Gamelin — muszę pomówić z tobą w ważnej sprawie.

— Daj mi pokój! — odrzekł żywo Desmahis. I rzucił kilka słów niewyraźnych, czekając na sposobną chwilę, żeby pobiec dalej: — Szedłem za boską kobietą w słomkowym kapeluszu; modniarka jakaś,

z jasnymi lokami. Ten przeklęty wózek oddzielił mnie od niej... Wyminęła go, już jest na końcu mostu!

Gamelin próbował przytrzymać go za ubranie, zapewniając, że rzecz jest ważna.

Ale Desmahis już wsunął się między konie, straż, szable i pochodnie w pościgu za swą modniarką.

#### IV

Była godzina dziesiąta rano. Kwietniowe słońce sączyło blaski przez delikatne listki drzew. Odświeżone nocną burzą powietrze było rozkosznie łagodne i przejrzyste. Od czasu do czasu jeździec, przejeżdżający przez Aleję Wdów, mącił ciszę samotności. Na skraju cienistej alei, obok chatki pod godłem „A la belle Lilloise“, na drewnianej ławce Ewaryst czekał na Elodję. Od dnia, w którym palce ich spotkały się na batyście szarfy i oddechy ich się zmieszały, Ewaryst nie pokazał się więcej w magazynie pod znakiem „Miłość malarzem“. Przez cały tydzień jego dumny stoicyzm i z dnia na dzień wzrastająca nieśmiałość trzymały go z daleka od Elodii. Napisał był do niej list poważny, ponury, gorący, w którym przedstawił zarzuty, jakimi obarcza obywatela Blaise, zamilczał zaś swą miłość i ból, i zapowiadał niezmiennie postanowienie, że nigdy nie powróci do magazynu rycin. Okazywał też w wykonaniu tego postanowienia większą stałość, niżby życzyć sobie mogła jego tkliwa kochanka. Wręcz przeciwnego usposobienia, Elodia skłonna była bronić swego dobra w każdej okoliczności, pomyślała też zaraz, jak odzyskać swego miłego. Z początku chciała iść doń do pracowni przy placu Thioiwille. Ale znając jego ponure usposobienie, wnosząc z listu, że serce jego silnie jest wzburzone, bała się, by łącząc we wspólnej urazie ojca i córkę, nie postarał się o to, by nie widzieć jej więcej; uznała zatem, że lepiej naznaczyć mu schadzki romantyczną i sentymentalną, od której nie będzie mógł się uchylić, ona zaś będzie mogła swobodnie przekonywać go, a dzięki sprzyjającej jej celom samotności oczaruje go i pokona.

Naówczas we wszystkich ogrodach angielskich, we wszystkich modnych parkach uczeni architekci wznosili chatki, schlebające sielskim gustom mieszczuchów. Chatka „A la belle Lilloise“, zajmowana przez cukiernika sprzedającego chłodzące napoje, opierała swą udawaną nędzę na artystycznie naśladowanych szczątkach starej wieżycy i w ten sposób łączyła urok wiejski z melancholią ruin. I jak gdyby nie dość było chatki i rozwalonej wieży dla wzruszenia dusz tkliwych, cukiernik wznosił pod wierzbą grobowiec, kolumnę uwieńczoną urną żałobną z napisem: „Kleona swemu wiernemu Azorowi“. Chatki, ruiny, grobowce... W przededniu zguby arystokracja powznosiła w swych parkach dziedzicznych te symbole ubóstwa, zniszczenia i śmierci. Teraz mieszczenie-patrioci lubili pić, tańczyć, kochać w sztucznych chatkach, w cieniu sztucznych klasztorów sztucznie zrujnowanych, wśród sztucznych grobowców, bo tak jedni jak drudzy byli miłośnikami przyrody, uczniami Jana Jakuba Rousseau, mieli jednak serca tkliwe i filozofii pełne.

Przybywszy na schadzkę przed oznaczoną porą, Ewaryst mierzył czas biciem swego serca niby wahadłem zegara. Przeszedł patrol prowadząc więźniów. W dziesięć minut później młoda kobieta w różowej sukni, według zwyczaju z bukietem kwiatów w ręku, w towarzystwie młodzieńca w trójgraniastym kapeluszu, czerwonym fraku, spodniach i kamizelce w paski, wsunęli się do chatki, tak podobni do kochanków dawnego porządku, że należało chyba wierzyć wraz z obywatelem Blaise, iż są w ludziach cechy charakteru, których żadne rewolucje nie zmieniają.

Wkrótce nadeszła z Rueil czy Saint-Cloud staruszka, niosąc w rękach pudło cylindrycznego kształtu, żywymi barwami malowane, i siadła na ławce obok Gamelina. Pudło, na którego pokrywie widniała wskazówka do wyciągania losów, postawiła przed sobą. Kobięcina ta w ogrodach publicznych ofiarowywała małym dzieciom ciastka na los szczęścia. Była to kupcowa radostek; pod tą nową nazwą sprzedawała dawny rodzaj ciastek, bo czy to, że stara, niepamiętnych czasów sięgająca nazwa zapomnianek przywodziła na myśl natrętne pojęcie długu, niepamięci, czy wprost z kaprysu, zapomnianki nazywały się teraz radostkami. Stara końcem fartucha otarła pot z czoła i poczęła wywodzić żale na niesprawiedliwość Boga, bo ciężkie życie daje ludziom. Jej mąż utrzymuje szynk nad rzeką w Saint-Cloud, a ona przychodzi co dzień na Pola Elizejskie i potrząsając grzechotką woła: „Radostki, łaskawe panie, radostki!“ I cała ta praca nie wystarcza na zabezpieczenie ich starości. Widząc, że młody sąsiad z ławki gotów jest pożalować ją, obszernie wywodzić poczęła przyczyny swej biedy. To Republika, odbierając majątek bogaczom, odjęła biednym chleb od ust. I nie ma nadziei, ażeby się to zmieniło na lepsze, przeciwnie, po pewnych znakach widoczne, że będzie jeszcze gorzej. W Nanterre pewna kobieta wydała na świat dziecko z głową żmii, w Rueil piorun uderzył w kościół i stopił krzyż na dzwonnicy, nadto widziano wilkołaka w lesie

Chaville. Zamaskowani ludzie zatrują studnie i rozpylają w powietrzu proszki sprowadzające choroby.

Ewaryst ujrzał Elodię, wyskoczyła z powozu. Pobiegł ku niej. Oczy młodej kobiety błyszczały w cieniu słomianego kapelusza; usta, równie czerwone jak trzymane w ręku goździki, były uśmiechnięte. Czarny jedwabny szal skrzyżowany był na piersiach i związany z tyłu. Żółta suknia pozwalała widzieć szybkie ruchy kolan i odkrywała małe nóżki, obute w płytkie trzewiki. Biodra były prawie zupełnie wolne, gdyż Rewolucja oswobodziła kibić obywatelkę: szeroka spódnica, poniżej bioder wzdęta, skrywała kształty, przesadzając je, i osłaniała rzeczywistość, powiększając jej obraz.

Ewaryst chciał przemówić, ale nie mógł znaleźć słów i wyrzucał sobie swe zmieszanie, które Elodii stokroć miłsze było niż najczulsze powitanie. Zauważyła też i poczytała to za dobry znak, że zawiązał dziś krawat kunsztowniej niż zazwyczaj. Podała mu rękę.

— Chciałam widzieć pana — rzekła — i pomówić. Nie odpowiedziałam na pański list: nie podobał mi się, nie odnalazłam w nim pana. Byłby przyjemniejszy, gdyby był bardziej naturalny. Wyrządziłabym krzywdę charakterowi i rozumowi, gdybym wierzyła, że istotnie nie chcesz pan już przyjść do naszego sklepu dlatego, że miałeś małą sprzeczkę polityczną z człowiekiem znacznie starszym. Zapewniam pana, że nie ma obawy, by mój ojciec źle pana przyjął, gdy przyjdiesz do nas. Pan go nie zna: on nie pamięta już, co panu mówił ani co pan mu odpowiedział. Nie twierdzę, że między wami wielka istnieje sympatia, ale on nie zna urazy. Mówię szczerze: nie bardzo interesuje się panem... i mną. Myśli tylko o swoich sprawach i przyjemnościach.

Elodia szła do altanek z zieleni, otaczających chatkę, on szedł za nią z pewnym wstrętem, wiedział bowiem, że były to miejsca schadzek dla sprzedajnej miłości i miłostek przelotnych. Wybrała stolik najbardziej ukryty.

— Mam ci tak wiele do powiedzenia, Ewaryste! Przyjaźń ma swoje prawa: pozwolisz mi z nich korzystać? Będę dużo mówiła o panu... i trochę o sobie, jeśli pozwolisz.

Cukiernik przyniósł karafkę lemoniady i dwie szklanki. Elodia napełniła je sama, przyzwyczajona do gospodarowania, a uczyniła to ze wzruszającym wdziękiem.

Opowiedziała mu dzieciństwo swoje, mówiła o piękności matki, którą wysławiać lubiła przez przywiązanie i jako źródło swej własnej urody; wychwalała dzielność swych dziadków, była bowiem dumna ze swego starego mieszczańskiego rodu. Opowiadała, jak straciwszy w szesnastym roku życia tę cudną matkę, żyła bez pieczyoty, bez opieki. Opisała siebie taką, jak była, żywą, wrażliwą, śmiałą, i dodała:

— Ewaryste, przeżyłam młodość zbyt smutną i samotną, abym nie znała ceny takiego serca jak twoje, i uprzedzam cię, że niełatwo wyrzeknę się sympatii, na którą sądziłam, że liczyć mi

wolno, i która jest mi droga.

Ewaryst spojrział na nią tkliwie.

— Czyż być może, Elodio, że nie jestem ci obojętny? Mogęż wierzyć...

Zatrzymał się z obawy, by nie powiedzieć zbyt wiele i nie nadużyć tak ufnej przyjaźni.

Podąła mu pocziwą małą rączkę, wynurzającą się na wpół z ciasnego rękawa, przybranego koronką. Łono jej unosiło się westchnieniem.

— Przypisz mi, Ewaryście, wszystkie uczucia, które pragnąłbyś, bym miała dla ciebie, a nie zawiedziesz się co do skłonności mego serca.

— Elodio, Elodio, czy to, co mówisz, powtórzysz jeszcze, gdy się dowiesz...

Zawahał się.

Ona spuściła oczy.

Ewaryst dokończył ciszej:

— ...że cię kocham?

Usłyszawszy ostatnie słowa, zarumieniła się z radości. I podczas gdy oczy jej wyrażały tkliwą rozkosz, mimo woli uśmiech szyderyczy podnosił kąciki ust. Myślała sobie: „I jemu się zdaje, że pierwszy się oświadczył!... Lęka się może rozgniewać mnie!“

Ale rzekła doń z dobrocią:

— Więc tego nie widziałeś, mój drogi, nie widziałeś, że cię kocham?

Zdawało im się, że są sami na świecie. W uniesieniu Ewaryst wznosił oczy ku niebu, jaśniejącemu blaskiem i błękitem.

— Patrz, jak spogląda na nas niebo! Cudne jest i dobrotliwe jak ty, ukochana moja; ma twój blask, łagodność i uśmiech.

Czuł się zjednoczony z całą przyrodą, pragnął, by ona miała udział w jego radości i chwale. Dla niego, dla uświetnienia jego zaręczyn, kwiaty kasztanów zapalały się jak kandelabry, płonęły olbrzymie pochodnie topoli.

Radował się siłą swą i wielością. Ona, tkliwsza i subtelniejsza, miększa i słodsza, rada była swej słabości i zaraz po zdobyciu go poddawała mu się zupełnie; teraz, kiedy miała go pod swoją władzą, uznawała w nim pana, bohatera, boga, pragnęła słuchać go, podziwiać, oddać się cała. W cieniu altanki złożył na jej ustach długi, gorący pocałunek, pod którym zwisła jej ociężała głowa; w ramionach Ewarysta czuła, że ciało jej topnieje jak wosk.

Długo jeszcze mówili o sobie, zapominając o świecie całym. Ewaryst wypowiadał myśli ogólne i czyste, które Elodię w zachwyty wprawiały. Ona mówiła o rzeczach tkliwych, pożytecznych, osobistych. Potem, gdy uznała, że nie może pozostać dłużej, podniosła się stanowczym ruchem, dała ukochanemu czerwone goździki zakwitłe u jej okna i lekko wskoczyła do powoziku, który ją był przywiózł. Był to żółto malowany, najęty powozik na

wysokich kołach i zaiste nie było w nim nic szczególnego, zarówno jak i w stangrecie. Ale Gamelin nigdy nie brał powozu — ani on, ani nikt z jego otoczenia. Gdy ujrzał ją na tych wysokich, szybkich kołach, serce mu się ścisnęło, opadło go bolesne przecucie: przez pewien rodzaj czysto intelektualnej halucynacji zdawało mu się, że ten rumak unosi Elodję poza świat rzeczywisty, poza czas obecny, ku jakiemuś bogatemu wesołemu miastu, do siedzib zbytku i rozkoszy, dla niego na zawsze niedostępnych.

Powóz zniknął. Zmieszanie Ewarysta przeszło, ale pozostał mu głuchy niepokój; czuł, że godziny tkliwości i zapomnienia, które przeżył, nie powtórzą się już nigdy.

Przeszedł przez Pola Elizejskie, gdzie kobiety w jasnych sukniach siedziały szyjąc lub haftując, podczas gdy dzieci ich bawiły się pod drzwiami. Sprzedawczyni radostek, ze swym pudłem w kształcie bębna, przypomniała mu tę, którą spotkał w alei Wdów, i zdało mu się, że między tymi dwoma spotkaniami upłynął cały wiek jego życia. Minął plac Rewolucji. W ogrodzie Tuileries usłyszał donoszącą się z daleka ową ogromną wrzawę wielkich dni, owe zgodne głosy, które, jak utrzymywali nieprzyjaciele Republiki, umilknąć miały na zawsze. Przyspieszył kroku wśród wzrastających okrzyków i doszedł do ulicy Honorée, wypełnionej tłumami mężczyzn i kobiet, wołających: „Niech żyje Republika! Niech żyje Wolność!“ Mury ogrodów, okna, balkony, dachy pełne były widzów powiewających chustkami i kapeluszami. Poprzedzony przez żołnierza torującego drogę pochodowi, otoczony urzędnikami municypalnymi, gwardią narodową, żandarmami, kanonierami, huzarami, zbliżał się z wolna nad głowami obywateli człowiek o żółtej cerze, z głową otoczoną wieńcem dębowym, owinięty w stary zielony płaszcz z gronostajowym kołnierzem. Kobiety rzucały mu kwiaty. On toczył dokoła przenikliwym spojrzeniem swych żółtych oczu, jak gdyby w tym tłumie entuzjastów szukał jeszcze wrogów ludu do wskazania, zdrajców do ukarania. Na jego drodze Gamelin, z gołą głową, łącząc swój głos ze stoma tysiącami głosów, zawołał gromko:  
— Niech żyje Marat!

Triumfator wszedł jak Przeznaczenie do sali Konwentu. Podczas gdy tłum z wolna się rozchodził, Gamelin, siedząc na przydrożnym słupku w ulicy Honorée, przyciskał ręką mocno bijące serce. To, co widział przed chwilą, napełniało go płomiennym zapałem, wzniosłym uczuciem.

Czczył i kochał Marata, który co tydzień przyjmował go życzliwie w swym ubogim domu, stojącym dla wszystkich otworem, który mówił z nim z zapałem o sprawach publicznych, niekiedy wypytywał o zamiary wrogów ojczyzny i, choć obdarzony nieomylnym jasnowidzeniem, nie gardził zdaniem niezasłużonego jeszcze patrioty. Czczył tego człowieka chorego, z ogniem w żyłach, pożeranego wrzodami, oddającego resztę sił Republice. Podziwiał, że nieprzyjaciele Sprawiedliwego, spiskując na jego zgubę, zgotowali mu triumf;

błogosławił Trybunał Rewolucyjny, który uniewinniając Przyjaciela Ludu, wrócił Konwentowi najgorliwszego, najbardziej nieskazitelnego prawodawcę. Przed oczami widział ciągle tę głowę trawioną gorączką, uwieńczoną wieńcem obywatelskim, tę twarz nacechowaną cnotliwą dumą i bezlitosną miłością, to oblicze zbolące, zmienione, z kurczowo zaciśniętymi wargami, tę pierś szeroką, tego człowieka konającego, który z wysokości swego żywego triumfalnego wozu zdawał się wołać do współobywateli: „Bądźcie za moim przykładem patriotami aż do śmierci!”

Ulica była pusta, okryły ją cienie nocy; zapalacz latarni przeszedł ze swą latarką, a Gamelin szeptał:

— Aż do śmierci!...

## V

O dziewiątej rano Ewaryst zastał w Ogrodzie Luksemburskim Elodję; czekała nań na ławce. Od miesiąca, od chwili gdy wymienili swe wyznania miłosne, widywali się codziennie, to w składzie rycin, to w pracowni przy placu Thionville, bardzo tkliwie, z powściągliwością, jaką ich stosunkowi nadawał charakter kochanka. Poważny, cnotliwy, deista, dobry obywatel, Ewaryst, mając połączyć się z ukochaną w obliczu prawa lub Boga, stosownie do okoliczności, czynić to chciał tylko jawnie, wobec świata. Elodia uznawała całą szlachetność tego postanowienia; ale wątpiąc o małżeństwie, które w tych warunkach było niemożliwe, nie chcąc też iść wbrew przyjętym formom towarzyskim, w głębi duszy widziała rozwiązanie sprawy jedynie w związku, który jego trwałość uczyni szanownym, a tajemnica przyzwoitym. Spodziewała się też z czasem zwyciężyć skrupuły zbyt nieśmiałego kochanka. Ale nie chciała odkładać dłużej koniecznych zwierzeń i dlatego prosiła go o godzinę rozmowy w tym ustronnym ogrodzie przy kościele Karmelitów.

Spojrzała nań tkliwie i szczerze, wzięła go za rękę, kazała usiąść przy sobie i zaczęła mówić wolno, ze skupieniem:

— Zbyt szanuję cię, mój Ewaryście, bym ci cośkolwiek ukrywać miała. Uważam się za godną ciebie; nie byłabym nią, gdybym ci nie wszystko powiedziała. Wysłuchaj mnie i bądź moim sędzią. Nie mam sobie do zarzucenia żadnego czynu niskiego, nikczemnego lub podyktowanego korzyścią. Byłam słaba i łatwowierna... Musisz zważyć, mój drogi, trudne warunki mego życia. Wiesz, że nie miałam już matki; ojciec, młody jeszcze, myślał tylko o swoich przyjemnościach i nie troszczył się o mnie. Byłam wrażliwa; przyroda obdarzyła mnie sercem tklivym i duszą szlachetną, i choć nie odmówiła mi zdrowego i pewnego sądu, wówczas uczucie przeważało u mnie nad rozsądkiem. Niestety! Przeważyłyby i dzisiaj, gdy rozsądek i uczucie zgodnie oddają mi ciebie całą i na zawsze, Ewaryście!



Wyrażała się spokojnie, z umiarkowaniem, słowa jej były z góry przygotowane; od dawna postanowiła była wypowiadać się przed nim, gdyż była szczerą i lubiła naśladować Jana Jakuba Rousseau; przy tym bardzo rozsądnie myślała: „Ewaryst dowie się kiedyś o tajemnicę, która jest nie tylko moją własnością, lepiej więc, żeby wyznanie z własnej woli, zaszczyt mi przynoszące, uwiadomiło go o tym, o czym mógłby się kiedyś ku wstydowi memu dowiedzieć“. Tkliwa, przyrodzie powolna, nie czuła się bardzo winna, i to czyniło spowiedź jej mniej przykrą: zresztą liczyła, że powie to tylko, co potrzeba.

— Ach! — westchnęła — czemużeś wtedy nie był przy mnie, Ewaryście, w chwilach gdy byłam sama, opuszczona?...

Gamelin wziął dosłownie prośbę Elodii, by być jej sędzią. Z natury czy przez wychowanie literackie przygotowany do sprawiania domowych sądów, Ewaryst gotował się do przyjęcia wyznań Elodii. Widząc, że ukochana się waha, dał znak, by mówiła.

Zaczęła bardzo prosto.

— Pewien młody człowiek, wśród wielu wad mający też wiele zalet, których nie taił, znalazł we mnie powab i zajął się mną z gorliwością zadziwiającą; był w kwiecie wieku, pełen wdzięku, miał stosunki ze ślicznymi kobietami, jawnie go uwielbiającymi. Nie z urody, nawet nie z rozumu mi się spodobał: umiał mnie zjednać okazując mi miłość i zdaje mi się, że kochał mnie prawdziwie. Był tkliwy, uprzedzający. Żądałam tylko zobowiązań serca, a serce było niestałe... Oskarżam tylko siebie, ze swoich tylko czynów się spowiadam. Nie skarzę się nań, skoro stał mi się obcym. Ach! Przysięgam ci, Ewaryście, jest on teraz dla mnie tak, jak gdyby nigdy nie istniał.

Umilkła, Gamelin nic nie odrzekł. Skrzyżował ręce na piersiach, wzrok jego był ciężki i ponury. Myślał równocześnie o kochance i o siostrze swej Julii. Julia także usłuchała kochanka; ale niepodobna — myślał — do nieszczęśliwej Elodii, dała się wykraść, nie w omamieniu tkliwego serca, ale by znaleźć z dala od swoich zbytek i rozkosze. W surowości swojej potępił był siostrę i skłaniał się do potępienia kochanki. Elodia mówiła dalej głosem łagodnym:

— Przesiąknięta byłam filozofią: wierzyłam, że ludzie są z natury uczciwi. Nieszczęściem moim było, że spotkałam kochanka nie urobionego w szkole przyrody i moralności. Przesady społeczne, ambicja, miłość własna, fałszywy punkt Honoréu uczyniły go egoistą, przenieciercą.

Te wyrachowane słowa wywołały spodziewany skutek. Spojrzenie Gamelina złagodniało.

Zapytał:

— Kto był twoim uwodzicielem? Czy go znam?

— Nie znasz go.

— Wymień mi jego nazwisko.

Przewidziała to pytanie i zdecydowana była nie odpowiadać na nie. Podawała tego powody:

— Oszczędź mnie, błagam cię. Dla ciebie i dla mnie już i tak za wiele powiedziałam.

A gdy nalegał:

— Dla dobra naszej miłości nie powiem ci nic, co by w umyśle twoim bliżej określiło tego... obcego. Nie chcę stawiać widma dla twojej zazdrości, nie chcę natrętnego cienia między mną a tobą. Przecież nie teraz, gdy o człowieku tym zapomniałam, dam go poznać tobie.

Gamelin nalegał, by wymieniła mu nazwisko uwodziciela. Tego słowa używał stale, gdyż nie wątpił ani chwili, że Elodia została uwiedziona, oszukana. Nie pojmował nawet, by inaczej być mogło, by ona mogła posłuchać tajnego głosu krwi i ciała i być powolną nieprzepartemu pożądaniu. Nie mógł zrozumieć, by ta tkliwa i rozkoszna istota, ta piękna ofiara oddała się była sama. Dla zaspokojenia jego wyobrażeń trzeba było, by wzięta była przemocą lub chytrą, zgwałcona, wciągnięta w zastawione na nią sidła. Stawiał jej pytania w wyrażeniach ostrożne, ale ścisłe, stanowcze, krępujące. Pytał, jak zawiązał się ten stosunek, czy trwał długo lub krótko, czy był spokojny lub burzliwy i w jaki sposób został zerwany. Powracał ciągle do sposobów, jakich użył ten człowiek, by ją uwieść, jak gdyby tamten koniecznie musiał być używać jakichś środków dziwnych, niesłychanych. Wszystkie te pytania zadawał na próżno. Z błagalnym i łagodnym uporem milczała, z zaciśniętymi ustami i oczami pełnymi łez.

Jednak gdy Ewaryst zapytał, gdzie jest teraz ten człowiek, odrzekła:

— Opuścił Królestwo.

I szybko poprawiła się:

— Opuścił Francję.

— Emigrant! — zawołał Gamelin.

Spojrzała nań milcząc, jednocześnie uspokojona i zasmucona, że oto sam stwarza sobie rzeczywistość zgodną ze swymi namiętnościami politycznymi i tanim kosztem nadaje swej zazdrości barwę jakobińską.

W rzeczywistości kochanek Elodii był to kancelista prokuratorii, pisarczyk-cherubinek, którego ubóstwiała była i na którego wspomnienie po trzech latach jeszcze żary na nią były. On zaś starał się o względy zamożnych starszych pań; Elodię porzucił dla doświadczonej damy, która wynagradzała jego zasługi. Wstąpiwszy po zniesieniu kancelarii prawniczych w służbę magistratu paryskiego, był obecnie dragonem-sankiulotą i pieścidelkiem jakiejś bylej arystokratki.

— Arystokrata! Emigrant! — powtarzał Gamelin. Elodia nie wyprowadziła go z błędu; bynajmniej nie pragnęła bowiem, by wiedział całą prawdę.

— I niecnie cię porzucił! Spuściła głowę.

On przycisnął ją do serca.

— Droga ofiario monarchicznego zepsucia, moja miłość zemści się na tym nędzniku. Oby niebo dało mi go spotkać! Potrafię go poznać!

Odwróciła głowę, zasmucona, uśmiechnięta, a zarazem zawiedziona. Chciałaby go mieć inteligentniejszym w sprawach miłości, naturalniejszym, bardziej brutalnym. Widocznie dlatego przebacza tak łatwo, że ma wyobraźnię chłodną. Uczynione zwierzenie nie budzi w nim tych uczuć, nie nasuwa mu przed oczy tych obrazów, które są męką zakochanych, wreszcie w tym uwiedzeniu widzi tylko fakt moralny i społeczny.

Wstali i przechadzali się po cienistych alejach ogrodu. On zapewniał ją, iż dlatego, że cierpiała, ceni ją stokroć więcej. Elodia nie żądała tak wiele; kochała go, jakim był, i podziwiała tlejący w nim geniusz sztuki.

Wychodząc z Ogrodu Luksemburskiego, natknęli się na zbiegowiska w ulicy de l'Egalite i około teatru de la Nation, Teatru Narodowego; nie zdziwiło ich to bynajmniej: od kilku dni panowało wielkie wzburzenie w najbardziej patriotycznych sekcjach; denuncjowano tam frakcję Orleańską i współników Brissota, którzy, jak mówiono, sprzysięgli się na zgubę Paryża i rzeź republikanów. Ciamelin sam podpisał był niedawno petycję Komuny, żądającą wykluczenia dwudziestu jeden członków. Chcąc przejść pod arkadą łączącą teatr z sąsiednim domem, Kwaryst i Elodia musieli precyzyjnie się przez grupę obywateli w karmaniolach, do których przemawiał młody wojskowy, piękny jak Amor Praksytelesu pod swym hełmem ze skóry pantery. Uroczy wojskowy oskarżał Przyjaciela Ludu o brak energii:

— Ty śpisz, Maracie — wołał — a federaliści kuja nam kajdany!

Zaledwie Elodia zwróciła na niego wzrok:

— Chodź, Ewaryście! — zawołała żywo. Tłum, jak mówiła, przeraża ją, boi się zemdleć w tym tłoku.

Rozeszli się na placu de la Nation, przysięgając sobie wieczną miłość...

Tegoż ranka bardzo wczesnie obywatel Brotteaux podarował obywatelce Gamelin wspaniałego kapłona. Byłoby nieostrożnością, gdyby powiedział, skąd go otrzymał: dostał go bowiem od przekupki z Hal miejskich, której niekiedy służył za sekretarza, a wiadomo było, że przekupki z Hal żywią uczucia rojalistyczne i znoszą się z emigrantami. Obywatelka Gamelin przyjęła kapłona wdzięcznym sercem. Nieczęsto widzi się teraz takie sztuki: artykuły żywności drożeją. Lud obawia się głodu, arystokraci go pragną, a spekulanci przygotowują.

Obywatel Brotteaux, zaproszony na obiad dla zjedzenia swej części kapłona, stawił się na zaproszenie i wieszował gospodyni, że tak miły zapach potraw rozchodzi się z jej kuchni.

Istotnie, w pracowni malarza pachniało dobrym rosołem.

— Bardzo pan uprzejmy — odrzekła zacna dama. — Należy przygotować żołądek na przyjęcie pańskiego kapłona: ugotowałam smak jarzynowy ze skórką słoniny i kością szpikową. Nic nie dodaje rosolowi takiego zapachu, jak kość szpikowa.

— To chwalebna zasada, obywatelko — rzekł stary Brotteaux. — I rozumnie postąpisz, jeśli włożysz jutro, pojutrze i przez cały tydzień tę cenną kość do garnka, nie omieszka ona jeszcze nadać zapachu rosolowi. Tak postępowała Sybilla z Panzoust; gotowała ona kapuśniak ze skórką żółtej słoniny i starym savorados. Tak nazywa się w jej kraju, który jest i moim, kość szpikowa soczysta i smaczna.

— Dama, o której pan mówisz — rzekła obywatelka Gamelin — musiała być bardzo wyrachowana, skoro tak długo kładła do zupy te same kości.

— Żyła skromnie — odrzekł Brotteaux — była biedna, choć była prorokinią.

W tej chwili wszedł Ewaryst Gamelin, wzruszony jeszcze zwierzeniami, których był wysłuchał. Przysięgał sobie, że odnajdzie uwodziciela Elodii, by pomścić na nim i miłość swoją, i Republikę.

Po zwykłych powitaniach obywatel Brotteaux ciągnął dalej wątek swej przemowy.

— Rzadko się zdarza., by prorocy bogacili się. Zbyt prędko świat poznaje się na ich oszustwie i to czyni ich nienawistnymi. Ale daleko silniej należałoby ich nienawidzić, gdyby istotnie przepowiadali przyszłość. Życie człowieka byłoby nie do zniesienia, gdyby wiedział, co go ma spotkać. Widziałby męki przyszłe, z ich powodu cierpiałby z góry i nie cieszyłoby go dobro obecne, którego by kres widział. Nieświadomość jest koniecznym warunkiem szczęścia ludzkiego i trzeba przyznać, że najczęściej się do tego stosujemy. Nie wiemy o sobie nic prawie, o innych — nic zupełnie. Nieświadomość zapewnia nam pokój, a kłamstwo — szczęście.

Obywatelka Gamelin postawiła zupę na stole, odmówiła modlitwę, kazała usiąść synowi i gościowi, i nie korzystając z miejsca, które jej obywatel Brotteaux obok siebie ofiarował, zaczęła jeść stojąc, wiedziała bowiem — jak mówiła — do czego ją grzeczność obowiązuje.

## VI

Była godzina dziesiąta rano. Powietrze skwarne, bez tchnienia wiatru. Był to najgorętszy lipiec, jaki zapamiętano. W ciasnej ulicy Jerozolimskiej setka obywateli sekcji stała sznurem u drzwi piekarza, pod dozorem czterech żołnierzy gwardii narodowej, którzy z bronią u nogi spokojnie palili fajki.

Dekret Konwentu zarządził normę w wydawaniu żywności; zboże i mąka natychmiast zniknęły. Jak Izraelici na pustyni, paryżanie wstawali przed świtem, jeśli jeść chcieli.

Wszyscy ci ludzie tłoczyli się jeden koło drugiego — mężczyźni, kobiety, dzieci, pod niebem, które paliło jak roztopiony ołów, rozkładało gnijące odpadki ścieków i potęgowało wzyewy potu i brudu. Popychali się, nawoływali i patrzyli na siebie z wyrazem wszystkich uczuć, jakie istoty ludzkie żywić mogą jedne dla drugich; z antypatią, obrzydzeniem, niechęcią, obojętnością. Wiedziano ze smutnych doświadczeń, że nie ma chleba dla wszystkich, toteż ostatnio przybyli starali się przepychać naprzód: ci, co tracili pole, narzekali, gniewali się i daremnie powoływali się na swe zdeptane prawa. Kobiety zaciekle rozpychały się łokciami i biodrami, by zatrzymać swe miejsce lub zdobyć lepsze. Gdy ścisk stawał się jeszcze większy, wznosiły się okrzyki: „Nie pchać się!“, na które każdy protestował, broniąc się tym, że sam jest popychany.

Dla uniknięcia tych codziennych nieporządków wyznaczeni przez sekcję komisarze umyślili uwiązać do drzwi piekarza sznur, którego każdy trzymać się miał w szeregu ale zbyt zbliżone ręce spotykały się na sznurze i rozpoczynały walkę; kto raz sznur wypuścił, nie mógł go już uchwycić z powrotem; niezadowoleni lub żartownisie rozcinali sznur, trzeba więc było ten sposób zarzucić.

W szeregu tym duszono się, omdlewano, żartowano, dowcipkowano, rzucano obelgi na arystokratów i federalistów, sprawców całego nieszczęścia. Gdy pies przebiegał, wołano nań: Pitt. Niekiedy rozlegał się głośny policzek, wymierzony zuchwalcowi ręką dzielnej obywatelki, podczas gdy ściskana przez sąsiada młoda służąca, z przymkniętymi oczami i rozchylonymi ustami, wzdychała słodko. Za każdym słowem, gestem, ruchem, pobudzającym żartobliwy humor Francuzów, grupa młodych swawolników zaczynała nucić *Ca ira* mimo protestów starego jakobina, oburzonego, że do dwuznacznych, nieprzyzwoitych żarcików używa się zwrotki wyrażającej całą republikańską wiarę w jasną i szczęśliwą przyszłość. Rozlepiacz afiszów, z drabiną pod pachą, nakleił na murze naprzeciw piekarni obwieszczenie Komuny, nakazujące wydawanie na racje świeżego mięsa z jatek. Przechodnie zatrzymywali się i odczytywali mokre jeszcze ogłoszenie. Przekupka jarzyn z koszem na plecach zawołała grubym, rozbitym głosem:

— Poszły już piękne woły, nie ma! Ściskaj sobie kiszki!

Nagle z pobliskiego kanału rozeszła się tak smrodliwa woń, że kilku osobom zrobiło się słabo; jedna kobieta zemdląła. Powierzono ją dwóm gwardzistom, którzy zanieśli ją pod stojącą w pobliżu studnię. Zatykano sobie nosy, szedł głuchy pomruk, zamieniano słowa pełne przerażenia i lęku. Zadawano sobie pytanie, czy może zakopano tu jakie zdechłe zwierzę, czy to trucizna jaka rozsypana ze złej woli, czy może zapomniane w którejś z piwnic zwłoki ofiary dni wrześnieowych: arystokraty lub księdza.

— Czy składano ich tu?

— Składano ich wszędzie!

— To musi być któryś z Chatelet. Widziałem ich ze trzystu, cały stos na Pont au Change. Paryżanie lękali się zemsty byłych arystokratów, którzy, martwi, zatruli im powietrze. Ewaryst Gamelin zajmował także miejsce w szeregu, chciał oszczędzić starej matce trudu długiego stania. Sąsiad jego, obywatel Brotteaux, towarzyszył mu, spokojny, uśmiechnięty, z Lukrecjuszem w odstającej kieszeni brązowego fraka. Zaczynał staruszek wychwalać tę scenę rodzajową, godną pędzla nowoczesnego Teniersa.

— Ci tragarze i kumoszki — rzekł — zabawniejsi są niż Grecy i Rzymianie, tak cenieni teraz przez naszych malarzy. Co do mnie, zawsze gustowałem w stylu flamandzkim. Rozsądek i takt zamilczeć mu kazały, że posiadał niegdyś galerię obrazów flamandzkich, z którą co do ilości i wyboru malowideł równać się mógł jedynie gabinet pana de Choiseul.

— Piękna jest tylko starożytność i to, co z niej czerpie natchnienie — odrzekł malarz. — Ale zgadzam się z tym, że wiejskie i rodzajowe sceny Teniersa, Steena i van Ostade'a warte są więcej niż błahostki Watteau, Bouchera i Van Loo. Ludzkość zeszepecona jest tam, ale nie skalana, jak u jakiegoś Baudouina lub Fragonarda.

Przeszedł roznosiciel gazet wołając:

— Biuletyn Trybunału Rewolucyjnego!... Lista skazanych!

— Nie dość jednego Trybunału Rewolucyjnego — rzekł malarz. — Powinien być w każdym mieście. Co mówię? W każdym powiecie, w każdej gminie! Trzeba, aby wszyscy ojcowie rodzin, wszyscy obywatele byli sędziami. Gdy naród znajduje się pod armatami wrogów i sztyletami zdrajców, pobłażliwość jest ojcobójstwem. Co! Lyon, Marsylia, Bordeaux objęte powstaniem, Korsyka zbuntowana, Wandea w ogniu, Moguncja i Valenciennes w ręku koalicji, zdrada po wsiach, miastach, obozach, zdrada na ławach Konwentu, zdrada panosząca się z mapą w ręku na radach wojennych naszych generałów!... Niech gilotyna ratuje ojczyznę.

— Nie podnoszę zasadniczych zarzutów przeciwko gilotynie — odrzekł stary Brotteaux. — Przyroda, jedyna moja mistrzyni i władczyni, istotnie niczym nie przekonywa mnie, by życie ludzkie miało jakąś wartość, przeciwnie, w różny sposób poucza, że nie ma żadnej. Jedyńm celem istot, o ile się zdaje, jest, by stawały się pastwą istot innych, które takiz sam koniec czeka. Morderstwo jest prawem przyrodzonym, a zatem kara śmierci jest słuszną pod warunkiem, by nie wykonywać jej ani dla cnoty, ani dla sprawiedliwości, lecz z konieczności lub dla osiągnięcia pewnych korzyści. Muszę jednak mieć przewrotne instynkty, bo nie mogę patrzeć bez wstrętu na rozlew krwi; jest to zwyrodnienie, którego cała moja filozofia usunąć nie zdołała.

— Republikanie — odparł Ewaryst — są ludzcy i tkliwi. Tylko despoci utrzymują, że kara

śmierci jest nieodzownym atrybutem władzy. Władczy lud zniesie ją kiedyś. Robespierre zwalczał ją, a z nim wszyscy patrioci; dekret znoszący karę śmierci nie będzie nigdy zbyt wcześnie wydany. Ale zastosowany być winien wtedy dopiero, gdy ostatni wróg Republiki zginie pod mieczem prawa.

Gamelin i Brotteaux mieli teraz za sobą wielu spóźniających się, a między nimi kilka kobiet z sekcji; wśród nich odznaczała się piękna, wysoka pończoszniczka w chusteczce i sabotach, z szablą przewieszoną przez ramię, młoda, jasnowłosa rozczochrana dziewczyna w mocno zmiętej chusteczce skrzyżowanej na piersiach i młoda matka, szczupła i blada, karmiąca wynędzniałe niemowlę. Dziecko, nie znajdując już mleka w piersi, krzyczało, ale krzyk ten był słaby, żalospny i tłumity go łkania. Dziecko zdawało się bardzo małe, cerę miało bladą, oczy rozpalone; matka przypatrywała mu się z bolesną pieczołowitością.

— To dzieciątko jest jeszcze bardzo małe — rzekł Gamelin zwracając się ku nieszczęsnemu niemowlęciu, jęczącemu za jego plecami, w ścisku ostatnio przybyłych.

— Ma sześć miesięcy, biedny kochaneczek!... Ojciec jego jest w wojsku, jest on z tych, co odparli Austriaków w Conde. Nazywa się Michał Dumonteil, z zawodu handlarz sukna, zaciągnął się w prowizorycznym teatrze wzniesionym przed Ratuszem. Biedak chciał bronić ojczyzny i zobaczyć kawał świata. Piszczę często. zaleca mi cierpliwość. Cierpliwość! Tak się to mówi... Jakże mam wykarmić mego Pawelka, kiedy nic mam czym pożywić się sama.

— Ach! — zawołała młoda blondynka — wypadnie nam tu stać jeszcze z godzinę, a wieczorem trzeba tę samą ceremonię powtórzyć przed drzwiami kupca korzennego. Z narażeniem życia otrzymuje się parę jaj i pół funta masła.

— Masła — westchnęła obywatelka Dumonteil — od trzech miesięcy nie widziałam!

I chór kobiet począł biadać nad drożyzną i brakiem środków żywności, rzucał przekleństwa na emigrantów i wysyłał na gilotynę komisarzy sekcji, którzy bezwstydnym kobietom za cenę haniebnych względów wydają pulardy i czterofuntowe chleby. Rozsiewano alarmujące opowieści o wołach topionych w Sekwanie, o workach mąki wysypywanych do kanałów, o chlebach rzucanych do ustępów... To głodziciele ludu, rojaliści, rolandyści, brissotyści tępią lud paryski.

Nagle owa młoda blondynka w zmiętej chusteczce krzyknęła, jak gdyby płonęły na niej suknie, które wstrząsała gwałtownie. Przewracała kieszenie, wołając, że skradziono jej sakiewkę.

Na wieść o tej kradzieży wielkie oburzenie owładnęło tym drobnym ludem, który burzył pałace na Faubourg Saint-Germain i zalał swą falą Tuilerie nic nie unosząc, tymi gosposiami i rzemieślnikami, co ochoczym sercem spaliliby zamek wersalski, a czuliby się zhańbieni, gdyby zabrali szpilkę. Młodzi swawolnicy przygodzie młodej dziewczyny poświęcili kilka

dwuznacznych żartów, natychmiast stłumionych przez ogólne szemranie. Mówiono już o powieszeniu złodzieja na latarni, rozpoczynano śledztwo burzliwe i stronnnicze. Wysoka pończoszniczka, ukazując palcem na staruszkę, wyglądającego na mnicha, który zrzucił habit, przysięgała, że zrobił to „kapucyn“. Tłum, natychmiast przekonany, wydawał groźne okrzyki śmierci.

Starzec, tak gwałtownie wydany na pastwę mściwości publicznej, stał bardzo skromnie przed obywatelem Brotteaux. Wyglądał istotnie na byłego zakonnika. Jego twarz szanowną kaził wyraz strachu, wywołany gwałtownością tłumu i świeżymi jeszcze wspomnieniami dni wrześnieowych. Lęk, malujący się na jego twarzy, czynił go podejrzanym ludowi, wierzącemu chętnie, że tylko winowajcy boją się jego sądów, jak gdyby nierozważna szybkość tych sądów nie mogła przerazić najniewinniejszych.

Brotteaux przyjął był za zasadę nie sprzeciwiać się nigdy uczuciom ludu, zwłaszcza gdy te były głupie i okrutne, „bo wtedy — mawiał — głos ludu jest głosem Boga“. Ale Brotteaux był niekonsekwentny, oświadczył zatem, że bez względu, czy człowiek ten jest kapucynem lub nie jest nim, nie mógł ukraść sakiewki obywatelce, do której nie zbliżył się ani na chwilę. Tłum wywnioskował stąd, że kto broni złodzieja, jest jego współnikiem, i już przebąkiwał o konieczności surowego potraktowania obu przestępców. A gdy Gamelin zaręczał za obywatela Brotteaux, najrozumnijsi postanowili odesłać go do sekcji wraz z dwoma poprzednimi.

Ale nagle radosny okrzyk młodej dziewczyny oznajmił, że znalazła się sakiewka.

Natychmiast dały się słyszeć szydercze okrzyki i piski pod adresem dziewczyny, zmieszane z groźbą publicznego oćwiczenia za ten niepotrzebny alarm.

— Dziękuję panu — rzekł duchowny do obywatela Brotteaux — że wziąłeś mnie pan w obronę. Nazwisko moje nie ma żadnego znaczenia, ale powinienem powiedzieć je panu: nazywam się Ludwik de Longuemare. Jestem istotnie zakonnikiem; ale bynajmniej nie kapucynem, jak mówiły te kobiety. Jestem członkiem zakonu reguły barnabitów, który dał Kościołowi wielu uczonych i świętych. Nie dość jest wyprowadzać jego początek od świętego Karola Boromeusza; za fundatora zakonu uważać należy apostoła Pawła, którego monogram zakon ma w swym herbie. Musiałem opuścić klasztor, gdy ten stał się siedzibą sekcji Pont-Neuf, i przybrałem suknie świeckie.

— Mój ojciec — rzekł Brotteaux przypatrując się długiemu surdutowi pana de Longuemare — ubranie pańskie dostatecznie świadczy, że nie zapałeś się twego stanu: patrząc na nie, należałoby raczej sądzić, że zreformowałeś, a nie, że porzuciłeś swój zakon. Pod tą surową i poważną powierzchownością dobrowolnie narażasz się na obelgi bezbożnego motłochu.

— Nie mogę jednak — odrzekł duchowny — ubrać się w błękitny frak, jak tancerz!



— Mój ojciec, tym, co o twoim ubraniu mówię, chcę złożyć hołd twemu charakterowi i ostrzec cię przed niebezpieczeństwami, na jakie się wystawiasz.

— Ach, mój panie, należałoby, przeciwnie, dodać mi odwagi do wyznania mej wiary. Bo niestety, aż nazbyt skłonny jestem do lęku przed niebezpieczeństwem. Porzuciłem suknię zakonną, co jest rodzajem odstępstwa; byłbym pragnął przynajmniej nie opuszczać domu, w którym przez lat tyle Bóg pozwolił mi spędzić życie w ukryciu i pokoju. Pozwolono mi pozostać, zatrzymałem tam swoją celę, podczas gdy kościół i klasztor przekształcono na rodzaj małego ratusza, który nazwali sekcją. Widziałem, panie, widziałem, jak rozbijali emblematy świętej wiary, jak imię apostoła Pawła zastąpiła czapka galernika. Niekiedy nawet uczestniczyłem w poufnych zebraniach sekcji i słyszałem, jak wypowiedano tam zadziwiające błędy. Wreszcie opuściłem tę sprofanowaną siedzibę i żyję z pensji tysiąca franków, wypłacanej mi przez Zgromadzenie; mieszkam w stajni, z której zabrano konie na potrzeby armii. Tam odprawiam mszę dla kilku wiernych, których obecność świadczy o wiekuistości Kościoła Chrystusowego.

— Ja, mój ojciec — odrzekł tamten — nazywam się Brotteaux i byłem niegdyś finansistą.

— Panie — odrzekł ojciec Longuemare — wiedziałem z przykładu świętego Mateusza, że i od handlarza można spodziewać się życzliwego słowa.

— Zbyt wiek uprzejmości, ojciec.

— Obywatelu Brotteaux — rzekł Gamelin — podziwiał, jak ten pocziwy lud bardziej aniżeli chleba spragniony jest sprawiedliwości. Każdy tu gotów był porzucić swoje miejsce, by ukarać złodzieja. Te kobiety, ci mężczyźni tak biedni, wszystkiego pozbawieni, są nieskazitelnie uczciwi, nie mogą znieść nierzetelnego czynu.

— Trzeba przyznać — odrzekł Brotteaux — że ludzie ci w chwalebnej chęci powieszenia złodzieja byliby ładnie potraktowali tego pocziwego księdza, jego obrońcę i obrońcę jego obrońcy. Skąpstwo i egoistyczne przywiązanie do własności nimi kierowało. Złodziej, krzywdząc jednego, zagrażał wszystkim; karząc go, zabezpieczali siebie. Zresztą prawdopodobne jest, że te gosposie, ci rękodzielnicy są uczciwi i szanują dobro cudze. Uczucia te od dzieciństwa wpajane im były przez rodziców, którzy zapewne nie żalowali im różeg...

Gamelin nie taił przed starym Brotteaux, że taka mowa wydaje mu się niegodną filozofa.

— Cnota — rzekł — jest człowiekowi przyrodzona: Bóg złożył jej zaród w sercach ludzi. Stary Brotteaux był ateistą i z ateizmu swego czerpał obfite źródło rozkoszy.

— Widzę, obywatelu Gamelin, że choć rewolucjonista w sprawach ziemskich, co się tyczy nieba, jesteś konserwatystą, a nawet reakcjonistą. Robespierre i Marat też ci wiele nie ustępują. I dziwne mi się zdaje, że Francuzi, którzy nie chcą już króla śmiertelnego, upierają

się, by zatrzymać władcę nieśmiertelnego, daleko okrutniejszego i despotyczniejszego. Bo czymże jest Bastylia, a nawet tortury w porównaniu z piekłem? Ludzkość kopiuje swych bogów według swych tyranów, a wy, co odrzucacie oryginał, zachowujecie kopie!

— Obywatelu — zawołał Gamelin — czyż nie wstydzisz się tak mówić? I jak możesz ciemne bóstwa, poczęte z niewiedzy i lęku, mieszać z Twórcą przyrody? Wiara w Boga dobrego jest konieczną dla moralności. Istota Najwyższa jest źródłem cnót wszystkich i nie jest republikaninem, kto nie wierzy w Boga. Wiedział o tym Robespierre, gdy kazał usunąć z sali jakobinów popiersie filozofa Helvetiusa, który zawinił, bo ucząc Francuzów ateizmu, przygotował ich do służalstwa... Spodziewam się, obywatelu Brotteaux, że gdy Republika ustanowi kult Rozumu, nie odmówisz zgody i uznania religii tak rozsądnej.

— Rozum miłuję, ale nie mam dlań fanatyzmu — odrzekł Brotteaux. — Rozum kieruje nami i oświeca nas; ale gdy z niego bóstwo zrobicie, będzie was zaślepiać i godzić ze zbrodnią. I Brotteaux rozumował dalej, stojąc w rynsztoku, tak jak czynił to dawniej w złoconych fotelach barona Holbacha, które, według jego słów, były podwaliną filozofii przyrody.

— Jan Jakub Rousseau — rzekł — ma pewne talenty, głównie w muzyce. Był żartownisiem, gdy twierdził, że zasady moralne czerpie z przyrody, w rzeczywistości bowiem czerpał je z przepisów Kalwina. Przyroda uczy nas pożerać się wzajemnie i daje nam przykład wszystkich zbrodni i występków, które ład społeczny poprawia lub skrywa. Należy miłować cnotę; ale dobrze jest wiedzieć, że jest to prosty wybieg wymyślony przez ludzi, by mogli wygodnie żyć razem. To, co nazywamy moralnością, jest rozpaczliwym buntem naszych bliźnich przeciwko porządkowi wszechświata, którym jest walka, rzeź i ślepa gra sił ze sobą sprzecznych. Bunt ten niweczy się sam przez się i im więcej myślę nad tym, tym bardziej przekonuję się, że świat jest szalony. Teologowie i filozofowie, którzy podają Boga za twórcę przyrody i budowniczego wszechświata, przedstawiają nam go złym i nierozumnym. Nazywają go dobrym, bo go się boją, ale zmuszeni są przyznać, że postępuje w sposób okrutny. Przypisują mu złośliwość rzadką nawet u człowieka. I przez to robią go godnym uwielbienia. Bo nędzny nasz ród nie czciłby bogów sprawiedliwych i dobrych, których nie potrzebowałby się obawiać, i dla ich dobrodziejstw nie czułby niepotrzebnej wdzięczności. Bez czyścica i piekła Bóg byłby bardzo mizernym władcą.

— Panie — rzekł Longuemare — nie mów o przyrodzie, bo nie wiesz, co to jest.

— Wiem równie dobrze jak ty, mój ojczel!

— Nie możesz wiedzieć, skoro nie masz religii, a tylko religia uczy nas, czym jest przyroda, w czym jej dobroć i jak ją zepsuto. Zresztą nie licz na to, bym ci odpowiedział. Bóg dla odparcia twych błędów nie dał mi ani wymowy dość żarliwej, ani siły rozumowania.

Obawiałbym się, że nieudolność moja stałaby się powodem jeszcze większej zatwardziałości i

bluźnierstw, i gdy całym sercem pragnąłbym ci służyć, jako jedyne owoce swego niedyskretnego miłosierdzia zebrałbym...

Zdanie przerwał okrzyk, który wyszedł z pierwszych szeregów i zawiadomił wszystkich, że piekarnia otwarta. Zaczęto posuwać się naprzód bardzo powoli. Gwardzista, pełniący służbę, po jednym wpuszczał kupujących. Piekarz, żona jego i pomocnik sprzedawali chleb pod dozorem dwóch komisarzy cywilnych z trójkolorową szarfą na ramieniu, którzy sprawdzali, czy nabywca należy do sekcji i otrzymuje ilość chleba proporcjonalną do liczby członków swej rodziny.

Obywatel Brotteaux za cel życia uważał poszukiwanie przyjemności; był zdania, że w braku bogów rozum i zmysły, jedyni sędziowie, innego celu mieć nie mogą. Uważając zatem, że w opiniach malarza za wiele jest fanatyzmu, aby mógł w nich zagustować, rozumny ten człowiek, chcąc w chwilowych warunkach stosować swe postępowanie do swej doktryny i długie jeszcze czekanie uprzyjemnić sobie, wyjął z kieszeni surduta swego ulubionego Lukrecjusza, najmiłszą swą rozkosz i jedyne zadowolenie. Czerwona safianowa okładka miała rogi obszarpane od używania; obywatel Brotteaux przezornie zeskrobał był z niej herby — trzy złote wysepki, które ojciec jego kupił był za dobrą gotówkę. Brotteaux otworzył książkę w miejscu, gdzie poeta-filozof, pragnąc uleczyć ludzi z próżnych niepokojów miłości, opisuje kobietę wśród tajników jej toalety. Obywatel Brotteaux czytając te wiersze rzucał ukradkiem spojrzenia na złotawy karczek swej ładnej sąsiadki i wdychał z rozkoszą woń wilgotnej skóry tego brudaska. Poeta Lukrecjusz posiadał jedną tylko mądrość, uczeń jego Brotteaux miał ich kilka.

Czytał, co kwadrans posuwając się o dwa kroki naprzód. Do uszu jego, pieszczonych poważnymi i dźwięcznymi strofami, nadaremnie donosiły się krzyki kumoszek, biadających nad podrożeniem chleba, cukru, kawy, świec i mydła. Tak w spokoju ducha dotarł do drzwi piekarni. Za nim Ewaryst Gamelin widział nad swą głową złoty snop zboża, na kracie zamykającej wejście.

Gdy przyszła nań kolej, wszedł do sklepu: półki i kosze były puste; piekarz dał mu ostatni pozostały bochenek. Ewaryst zapłacił i natychmiast zamknięto za nim kratę z obawy, by tłum nie wtargnął do piekarni. Była to płonna obawa: wszyscy ci biedacy, przyuczeni do posłuszeństwa przez swych dawnych ciemężycieli i dzisiejszych oswobodzicieli, oddalali się spokojnie, ze spuszczoną głową, powłócząc nogami.

Gamelin, doszedłszy do rogu ulicy, spostrzegł obywatelkę Dumonteil z niemowlęciem; siedziała na słupku przydrożnym. Siedziała nieruchoma, blada, bez łez, bez spojrzenia. Dziecko chciwie ssało jej palec. Gamelin chwilę zatrzymał się przed nią, niepewny, nieśmiały. Zdawała się go nie widzieć.

Szepnął słów kilka, potem wyciągnął nóż z kieszeni — prosty nóż składany z rogową rączką — przekroił chleb przez środek i połowę położył na kolanach młodej kobiety, patrzącej za nim ze zdziwieniem. Ale już był zakręcił na rogu ulicy. Wróciwszy do domu, Ewaryst zastał matkę przy oknie, cerującą pończochy. Wesoło wcisnął jej do ręki przyniesiony chleb. — Wybacz mi, mateczko: zmęczony długim staniem, znużony upałem, wracając zjadłem, kęs po kęsie, połowę naszego chleba. Zaledwie twoja część została... I udał, że strzepuje okruchy z kamizelki.

## VII

Obywatelka wdowa Gamelin, posługując się starym utartym wyrażeniem, rzekła tylko: — Od ciągłego jedzenia kasztanów w kasztany się zamienimy.

Tego bowiem dnia, 13 lipca, ona i syn jej w południe za cały obiad spożyli ugotowane i przetarte kasztany. Kończyli już ten skromny posiłek, gdy dama jakaś pchnęła drzwi i napęłniła nagle pracownię blaskiem swym i wonią perfum. Ewaryst poznał obywatelkę Rochemaure. Sądząc, że weszła przez omyłkę i szuka obywatela Brotteaux, swego niegdyś przyjaciela, Ewaryst chciał już wskazać jej strych byłego arystokraty lub zawołać obywatela Brotteaux, by oszczędzić eleganckiej kobiecie wdrapywania się po młynarskiej drabinie. Ale okazało się zaraz, że wizyta tyczyła się obywatela Ewarysta Gamelin. Dama oświadczyła, iż bardzo rada jest, że go zastaje i nazwać się może jego uniżoną służką.

Nie byli sobie zupełnie obcy, widzieli się kilka razy w pracowni Davida, na trybunie zgromadzenia u jakobinów, u restauratora Venua; zauważyła go była dla jego piękności, młodości i interesującego wyrazu twarzy. W kapeluszu przybranym mnóstwem kokard i pióropuszków, jak kapelusz reprezentanta ludowego przy pełnieniu urzędu, obywatelka Rochemaure była wyperukowana, wymalowana, wypięzmonowana, z ciałem świeżym jeszcze pod tyłoma przyborami mody; to gwałtowne hołdowanie modzie zdradzało konieczność życia spieszego, gorączkę tych strasznych dni o niepewnym jutrze. Stanik jej o wielkich wyłogach i długich połach, świecący, mnóstwem ogromnych guzików stalowych, czerwony był jak krew i nie wiadomo było — tak wydawała się jednocześnie arystokratką i rewolucjonistką — czy nosi ona barwy ofiar, czy też barwy kata. Towarzyszył jej młody wojskowy, dragon. Z długim kijem z masy perłowej w ręku, wysoka, piękna, okazała, obywatelka Rochemaure obesła całą pracownię i, zbliżając lornetkę do swych szarych oczu, przyglądała się płótnom artysty, uśmiechnięta, skłonna dla piękności malarza podziwiać prace jego, pochwalająca, aby być chwaloną.

— Co to jest — zapytała obywatelka — ten obraz tak wzruszający i szlachetny, przedstawiający piękną i tkliwą niewiastę przy młodym chorym?

Gamelin odrzekł, że płótno wyobraża Orestesa, pielęgnowanego przez siostrę, Elektrę, i że gdyby był mógł je wykończyć, byłaby to zapewne jego najlepsza praca.

— Treść — dodał — wzięta jest z Eurypidesowego „Orestesa“. Czytałem w jakimś dawniejszym tłumaczeniu tej tragedii scenę, która przejęła mnie zachwytem; jest to scena, w której Elektra, podnosząc brata na łożu boleści, ociera mu pianę z ust, odgarnia włosy zakrywające mu oczy i błaga ukochanego brata, by wysłuchał, co mu powie, podczas gdy milczą Furie... Czytając i odczytując to tłumaczenie, czułem jakby mgłą zasłaniającą mi kształty greckie, nie mogłem jednak mgły tej usunąć. Wyobrażałem sobie tekst oryginału bardziej nerwowo, silniej. Żywo pragnąłem wyrobić sobie o nim dokładne pojęcie i w tym celu uprosiłem pana Gail, wykładającego naówczas język grecki w College de France (było to w r. 91), by przetłumaczył mi tę scenę słowo za słowem. Uczynił to i przekonałem się, że starożytni są daleko prostsi i łatwiej zrozumieli, niż sobie wyobrażamy. Elektra mówi do Orestesa: „Bracie ukochany, jak wielką radość sprawił mi twój sen! Czy chcesz, bym pomogła ci unieść się?“ A Orestes odpowiada: „Tak, pomóż mi unieść się, weź mię i otrzyj resztę piany przylepionej do mych ust i oczu. Pierś twoją przyłóż do mej piersi i zgarnij z mej twarzy splątane włosy, bo zakrywają mi oczy...“ Przejęty tą poezją tak świeżą i żywą, tymi wyrażeniami tak naiwnymi i silnymi, naszkicowałem obraz, który tu widzisz, obywatelko. Malarz, zazwyczaj dyskretnie mówiący o swych pracach, nad tą nie przestawał się rozwodzić. Zachęcony znakiem obywatelki Rochemaure, ciągnął dalej:

— Hennequin po mistrzowsku traktował szalę Orestesa. Ale Orestes wzrusza nas daleko silniej w swym smutku niż w szale. Jakże straszny jest los jego! Przez miłość synowską, przez posłuszeństwo dla świętych rozkazów popelniał zbrodnie, z której bogi rozgrzeszyć go muszą, ale której ludzie nie przebaczą nigdy. Dla pomszczenia obrażonej sprawiedliwości zaparł się przyrodzonego uczucia, stal się nieludzki, wydarł sobie trzewia. I dumnym pozostał pod brzemieniem swej strasznej a cnotliwej zbrodni... To chciałbym wyrazić w tej grupie brata i siostry.

Zbliżył się do płótna i popatrzył na nie z zadowoleniem.

— Niektóre części — rzekł — są prawie wykończone; na przykład głowa i prawe ramię Orestesa.

— To kapitalny kawałek! I Orestes podobny do ciebie, obywatelu Gamelin.

— Tak sądzisz, obywatelko? — rzekł malarz z poważnym uśmiechem.

Pani Rochemaure usiadła na krześle podanym jej przez Gamelina. Młody wojskowy stal przy niej z ręką opartą o poręcz krzesła, na którym siedziała. Po tym można było poznać, że Rewolucja już dokonana, bo za czasów dawnego porządku żaden mężczyzna nie byłby przy obcych śmiało palcem dotknąć krzesła, na którym siedziała dama. Wychowanie kazało dawniej

stosować się do trudnych nieraz wymagań grzeczności; uważano zresztą, że powściągliwość przy świadkach szczególniejszą wartość nadaje tajemnemu sam na sam schadzek i że na to, by stracić szacunek, trzeba najpierw go mieć.

Ludwika Masché de Rochemaure, córka łowczego królewskiego, wdowa po prokuratorze i przez lat dwadzieścia wierna kochanka finansisty Brotteaux des Ilettes, szczerze przystała do przekonań republikańskich. Widziano ją, jak w lipcu 1790 r. grabiła Pole Marsowe. Jej zdecydowany pociąg do sfer będących u władzy łatwo przenosił ją od konstytucjonalistów do żyrondyistów i od żyrondyistów do Góry, podczas gdy duch zgodności, wszechobejmującej życzliwości i pewien geniusz intryg wiązał ją jeszcze z arystokratami i kontrrewolucjonistami. Była to osoba powszechnie znana; bywała w teatrach, modnych restauracjach, szulerniach, salonach, w kancelariach dzienników i przedpokojach sekcji. Rewolucja dawała jej rozmaitość, rozrywkę i radość, uśmiechy, interesa, korzystne przedsięwzięcia. Zawiażywała intrygi polityczne i miłosne, grała na harfie, rysowała pejzaże, śpiewała tkliwe pieśni, tańczyła tańce greckie, wydawała uczty, przyjmowała piękne kobiety, jak np. księżnę de Beaufort i aktorkę Descoings. Całą noc rozstawione były u niej stoły hazardowej gry w karty i toczyła się ruleta — a przy tym wszystkim miała jeszcze czas dla swych kochanków. Ciekawa, ruchliwa, czynna, lekkomyślna, znająca ludzi, a nie znająca tłumów, obca zarówno opiniom, które podzielała, jak i tym, które odrzucić należało, nie rozumiejąc absolutnie nic z tego, co działo się we Francji, była przedsiębiorcza, odważna, śmiała, bo nie rozumiała niebezpieczeństw i miała nieograniczoną ufność w siłę swych wdzięków.

Towarzyszący jej wojskowy był w kwiecie młodości. Miedziany kask przybrany skórą pantery, u szczytu zdobny pąsową sznelą, ocieniał jego twarz cherubina; z kasku tego spływała na plecy długa i straszna grzywa. Czerwona kurtka, rodzaj kaftanika, nie sięgała bioder, aby nie skrywać ich eleganckiego zarysu. U pasa miał ogromną szablę o błyszczącej rękojeści w kształcie orłogo dzioba. Obcisłe bladoniebieskie spodnie oblepiały piękne, toczone łydki, a bogate arabeski, ciemnoszafirową pasmanterią wyszyte, zdobiły jego uda. Wyglądał jak tancerz ukostiumowany przez skrupulatnego ucznia Davida do jakiejś roli marsowej lub roli pierwszego kochanka w „Achillesie na Skiros“ lub „Weselu Aleksandra“.

Gamelin mgliście przypominał sobie, że widział go już kiedyś. Istotnie był to ten sam oficer, którego przed dwoma tygodniami widział i słyszał, jak przemawiał z galerii teatru de la Nation.

Obywatelka Rochemaure przedstawiła go:

— Obywatel Henry, członek Komitetu Rewolucyjnego z sekcji Praw Człowieka.

Trzymała go ciągle koło siebie, jako żywe świadectwo prawomyślności i uczuć miłosnych.

Obywatelka wieszowała Gamelinowi jego talentów i zapytała, czy zgodziłby się narysować kartę reklamową dla modniarki, którą się ona interesuje; wybrałaby treść odpowiednią, na przykład: kobietę przymierzającą szarfę przed lustrem lub młodą robotnicę z pudełkiem od kapeluszy w ręku.

Do wykonania pracy tego rodzaju polecono jej Fragonarda syna, młodego Ducisa lub niejakiego Prudhomme'a, ale ona wolała zwrócić się do obywatela Ewarysta Gamelin. Nie dawała jednak żadnych objaśnień w tym przedmiocie i czuć było, że wspomniała o tym obstalunku jedynie dla nawiązania rozmowy. Istotnie przyszła w zupełnie innej sprawie. Żądała przysługi od obywatela Gamelin. Wiedząc, że zna on dobrze obywatela Marata, przyszła prosić, by ją wprowadził do Przyjaciela Ludu, z którym pomówić chciała. Gamelin odrzekł, że jest zbyt mało znaczącą osobistością, aby mógł wprowadzać do Marata. Zresztą wprowadzenie jest zbyt cenne; Marat, choć obciążony pracą, nie jest wcale tym niewidzialnym człowiekiem, za jakiego go podają.

I Gamelin dodał:

— Przyjmie cię, obywatelko, jeśli jesteś nieszczęśliwa, bo jego wielkie serce czyni go dostępnym dla niedoli i litościwym dla wszelkich cierpień. Przyjmie cię, jeśli masz mu coś do powiedzenia w sprawie publicznej, poświęcił bowiem życie swe demaskowaniu zdrajców.

Obywatelka Rocheмаure odrzekła, że poczyta sobie za szczęście powitać w Maracie znakomitego obywatela, który tak wielkie usługi oddał krajowi i oddać może jeszcze większe. Pragnęła zaś poznać tego prawodawcę z ludźmi dobrze myślącymi, z zamożnymi filantropami, mogącymi dostarczyć mu nowych środków zaspokojenia gorącego umiłowania ludzkości.

— Byłoby pożądane — dodała — aby bogaczy skłonić do współdziałania dla pomyślności ogólnej.

W rzeczywistości obywatelka przyrzekła była bankierowi Morhardtowi zaprosić go na obiad z Maraton. Morhardt, rodem Szwajcar jak i Przyjaciel Ludu, zamierzał z kilku deputowanymi Konwentu: Julienem (z Tuluzy), Delaunayem (z Angres) i byłym kapucynem Chabotem, spekulować akcjami Kompanii Indyjskiej. Gra, bardzo prosta, zasadzała się na oszukańczym, sztucznym obniżeniu akcji do 650 liwów, na skupieniu po tej cenie akcji jak najwięcej i na podniesieniu ich potem do kursu 4000 do 5000 liwów za pomocą uspokajających wieści. Ale Chabot, Julien, Delaunay byli podejrzani Lacroix, Fabre d'Eglantine, a nawet Danton, słusznie czy niesłusznie, także uchodzili za podejrzanych. Agent tej spekulacji, baron de Batz, szukał nowych współników w Konwencie i doradzał bankierowi Morhardtowi zaznajomić się z Maratem.

Ten pomysł kontrrewolucyjnych spekulantów nie był tak dziwny, jakby się zdawać mogło.

Ludzie tacy zawsze starali się łączyć z potęgami chwili, a Marat przez swą popularność, swe pióro, charakter był siłą potężną, jedyną, która nie była jeszcze zachwiana. Żyrondyści tonęli; dantoniści, smagani zawieruchą, już nie rządili. Robespierre zdawał się przeznaczony do losu miernego, jak jego umysł. Zresztą był podejrzliwy i nieposzlakowanie uczciwy: z takim człowiekiem nie było co robić. Ważne było, by podejść Marata, zapewnić sobie jego życzliwość na dzień, gdy zostanie dyktatorem. A wszystko zapowiadało, że nim będzie: popularność jego, ambicja, zamiłowanie do silnych środków. A zresztą może ten człowiek przywróci ład, finanse, dobrobyt... Kilkakrotnie powstawał był przeciwko zapaleńcom, przesadzającym się w patriotyzmie; od jakiegoś czasu omal tak samo denuncjował demagogów jak umiarkowanych. Podjudziwszy z początku lud do wieszania spekulantów zbożowych w ich ograbionych sklepach, teraz nakłaniał obywateli do spokoju i ostrożności; stawał się mężem opatrnościowym rządów. Mimo pewnych wieści rozsiewanych o nim, jak o wszystkich innych ludziach Rewolucji, ci zgarniacze złota nie mieli go za przekupnego, ale wiedzieli, że jest próżny i łatwowierny; spodziewali się pozyskać go pochlebstwem, a głównie życzliwą familiarnością, którą uważali ze swej strony za najponętniejsze pochlebstwo. Liczyli na to, że dzięki niemu oni ustanawiać będą kurs wszystkich walorów, które zechcą kupować lub sprzedawać, i że potrafią tak nim kierować, by służył ich interesom, gdy przekonany będzie, że służy tylko interesom ogółu.

Chętna do działania na różnych polach, mimo że jeszcze była w wieku miłostek, obywatelka Rochemaure wzięła sobie za zadanie zetknąć prawodawcę-dziennikarza z bankierem. Szalona jej wyobraźnia ukazywała jej człowieka podziemi, z rękami zbroczonymi jeszcze krwią ofiar wrześnieowych, już związanego z grupą finansistów, których była agentką, rzuconego właśnie z powodu swej wrażliwości i ufności w sam wir spekulacji, w ten miły światek dostawców, spekulantów, emisariuszy zagranicy, bankierów i kobiet lekkich obyczajów.

Zaczęła nalegać, by Gamelin zaprowadził ją do Przyjaciela Ludu. Marat mieszkał niedaleko, na ulicy des Cordeliers obok kościoła. Po niedługim czasie malarz zgodził się uczynić zadość życzeniu obywatelki.

Dragon Henry, któremu proponowano, by przyłączył się do nich, odmówił; chciał, jak mówił, zachować swą niezależność i swobodę, nawet jeśli chodzi o Marata. Wprawdzie oddał on wielkie usługi Republice, ale teraz energia jego słabnie: czyż w dzienniku swoim nie zalecał rezygnacji ludowi paryskiemu?

I młody Henry, głosem melodyjnym i z głębokimi westchnieniami, biadał nad Republiką, zdradzoną przez tych, co byli całą jej nadzieją: Danton odrzuca projekt opodatkowania bogaczy, Robespierre powstaje przeciwko stałemu urzędowaniu sekcji, Marat swymi nieśmiały mi radami łamie rozpęd obywateli.



— Och! — zawołał — jak słabi są ci ludzie wobec Leclerca i Jakuba Roux!... Roux! Leclerc!  
Wy jesteście prawdziwymi przyjaciółmi ludu!

Gamelin nie słyszał tych wywodów, które byłyby go oburzyły: przeszedł do sąsiedniego pokoju, aby włożyć niebieski frak.

— Możesz być dumna z twego syna — rzekła obywatelka Rochemaure do obywatelki Gamelin — wielki to talent i wielki charakter.

Obywatelka wdowa Gamelin dała w odpowiedzi pochlebne świadectwo o swoim synu, nie pysznąc się nim jednak zbyt przed damą wyższej sfery. Nauczono ją bowiem w dzieciństwie, że pierwszym obowiązkiem maluczkich jest pokora wobec możnych. Miała ochotę pozalić się; aż nadto miała do tego powodów i w skargach znajdowała ulgę dla swych smutków. Obficie zwierzała się ze swych cierpień przed tymi, którzy, jak sądziła, ulżyć by im mogli, a pani de Rochemaure zdawała się do nich należeć. Toteż, korzystając ze sposobnej chwili, jednym tchem wypowiadała niedolę matki i syna, którzy oboje umierają z głodu. Obrazów zupełnie już nie można sprzedać: Rewolucja zabiła handel, jakby nożem uciął. Środków żywności mało i dochodzą cen niebywałych.

I zacna niewiasta lamentsy swoje wypowiadała z szybkością, na jaką stać było jej obwisłe wargi. Chciała skończyć przed powrotem syna, którego duma nie pozwoliłaby na podobne skargi. Starła się w możliwie najkrótszym czasie wzruszyć damę, która zdawała się być bogata, i zainteresować ją losem swego dziecka. Czuła, że piękność Ewarysta jest dobrym sprzymierzeńcem dla wzruszenia damy ze sfer wyższych.

Istotnie obywatelka Rochemaure okazała współczucie, wzruszyła się cierpieniami Ewarysta i jego matki i szukała sposobów, by je osłodzić. Każę ludziom bogatym, swoim przyjaciołom, zakupie prace malarza.

— Są — rzekła z uśmiechem — są jeszcze pieniądze we Francji, ale się kryją.

Albo lepiej jeszcze: ponieważ sztuka upadła, postara się dla Ewarysta o posadę u barona Morhardta albo u braci Perregaux, lub o miejsce pomocnika u dostawcy dla armii.

Potem pomyślała, że nie są to stanowiska odpowiednie dla człowieka takiego charakteru, i po chwili rozwagi zrobiła znak, że znalazła, co trzeba.

— Mają jeszcze mianować kilku przysięgłych w Trybunale Rewolucyjnym. Przysięgły, sędzia, to właśnie odpowiednie jest dla twego syna. Mam stosunki z członkami Komitetu Ocalenia Publicznego; znam Robespierre'a starszego, brat jego bywa u mnie. Pomówię z nimi, każę przemówić za twym synem Montanemu, Dumasowi, Fouquierowi. Obywatelka Gamelin, wzruszona i wdzięczna, przyłożyła palec do ust: Ewaryst wchodził do pralni. Zeszedł z obywatelką Rochemaure po ciemnych schodach, po stopniach pokrytych grubą warstwą brudu.

Na Pont-Neuf słońce, nisko już stojące, wydłubało cień cokołu, na którym niegdyś stał koń spiżowy, teraz zaś powiewały na nim chorągwie o barwach narodowych; tłumy mężczyzn i kobiet z ludu w małych grupkach słuchały niespokojnych, cichych szeptów obywateli. Tłum przerażony milczał, od czasu do czasu tylko wybuchał jęk lub okrzyk gniewu. Wielu oddalało się szybko w kierunku ulicy Thionville, dawniej ulicy Delfiny. Gamelin, docisnąwszy się do jednej z grup, usłyszał, że Marat zabity. Powoli wiadomość potwierdzała się, podawano szczegóły: zabity został w wannie, przez kobietę umyślnie przybyłą z Caen dla spełnienia zbrodni. Niektórzy utrzymywali, że zdołała uciec; większość twierdziła, że jest aresztowana. I wszyscy stali bezradni, jak stado bez pasterza. Dumali:

„Marata, tkliwego, ludzkiego, dobroczynnego Marata, nie ma już, żeby nas prowadził, jego, co nie mylił się nigdy, wszystko przewidywał, wszystko śmiał wyjawić!... Co robić, co robić? Straciliśmy naszego doradcę, obrońcę, przyjaciela“.

Wiedzieli, skąd pochodzi cios i kto kierował ręką tej kobiety. Biadali:

— Marata ugodziły zbrodnicze ręce, które chcą nas wytępić. Śmierć jego jest hasłem wymordowania wszystkich patriotów. Rozmaicie przytaczano okoliczności tej tragicznej śmierci i ostatnie słowa ofiary; pytano o zabójcę, o którym wiadano tyle tylko, że jest to młoda kobieta, wysłana przez zdrajców federalistów. Obywatelki, szczerząc zęby i wyciągając ręce niby szpony, wysyłały zbrodniarkę na męki i uważały, że gilotyna jest zbyt łagodna. Żądały na takiego potwora kar najsroższych, chłosty, wplecenia w koło, ćwiartowania — wymyślały nowe, jeszcze straszniejsze tortury.

Uzbrojeni gwardziści wlekli do sekcji człowieka o zdecydowanej minie. Ubranie jego było poszarpane, po bladej twarzy spływały strugi krwi. Przychwycono go, gdy mówił, że Marat zasłużył na swój los przez ciągłe podjudzanie do mordów i grabieży i z wielkim trudem policjanci ustrzegli go przed wściekłością tłumów. Wskazywano nań palcem jako na współnika zabójcy i groźby śmierci rozlegały się na jego drodze.

Gamelin osłupiał z bólu. Skąpe łzy zasychały w jego płomiennych oczach. Z jego synowskim żalem łączyła się troska patriotyczna i miłość do ludu rozdzierała mu serce.

Myślał z bólem:

„Po Le Peltierze, po Bourdonie — Marat!... Widzę los patriotów; mordowani na Polu Marsowym, w Nancy, w Paryżu, zginą wszyscy“.

I myślał o zdrajcy Wimpfenie, który niedawno jeszcze, na czele sześćdziesięcioletniej hordy rojalistów, maszerował na Paryż, i gdyby dzielni patrioci nie zatrzymali go, byłby ogniem i mieczem zniszczył bohaterskie, na zagładę skazane miasto. A ileż jeszcze niebezpieczeństw, ile zbrodniczych planów, ile zdrad, które tylko mądrość i czujność Marata znać i odwrócić mogła! Kto po nim potrafi denuncjować Custine'a, beczynnego w dawnym obozie Cezara, odmawiającego odsiecz

Valenciennes, Birona beczynnego w Dolnej Wandei, pozwalającego na zdobycie Saumur i oblężenie Nantes, Dillona, zdradzającego ojczyznę w Argonnach?...

Tymczasem wokół Ewarysta, pogrążonego w myślach, z każdą chwilą wzmagaly się posępne okrzyki:

— Marat nie żyje! Arystokraci go zabili!

A gdy z sercem przepelnionym bólem, nienawiścią i miłością szedł złożyć pośmiertny hołd męczennikowi wolności, stara wieśniaczka w czepcu, jakie noszą w okolicach Limoges, podeszła doń i zapytała, czy ten pan Marat, którego zabili, nie jest księdzem proboszczem Mara z Saint-Pierre-de-Queyroix.

## VIII

W wigilię uroczystości, w cichy i pogodny wieczór, Elodia wsparta na ramieniu Ewarysta przechadzała się po błoniu de la Fédération. Robotnicy pośpiesznie wznosili kolumny, posągi, świątynie, pagórek, ołtarz. Olbrzymie symbole: Lud-Herkules wywijający maczugą, Przyroda karmiąca wszechświat u swego niewyczerpanego łona — wznosiły się nagle w stolicy, wydanej na łup głodu i lęku, nasłuchującej, czy od strony Meaux nie słychać armat austriackich. Wandeia śmiałymi zwycięstwami okupywała swe niepowodzenie pod Nantes. Pierścień ognia, żelaza i nienawiści otaczał wielki gród rewolucyjny. A jednak gród przyjmował z przepychem, jak władca wielkiego państwa, deputowanych zgromadzeń okręgowych, które przyjęły były konstytucję. Federalizm był pokonany. Republika, jedna i nierozdzielna, zwycięży wszystkich swych wrogów.

— Tu — rzekł Ewaryst wskazując na ludne błonie — niecny Bailly 17 lipca 91 r. strzelać kazał do ludu, zebranego u stóp ołtarza ojczyzny. Grenadier Passavent, świadek mordu, wrócił do domu, zdarł mundur i wołając: „Przysięgłem zginąć wraz z wolnością; nie ma jej już; umieram!“, palnął sobie w łeb.

Artyści i spokojni mieszczanie przypatrywali się przygotowaniom do uroczystości, na twarzach ich malowało się umiłowanie życia równie posępne, jak ich życie samo: najważniejsze wydarzenia, wnikając do ich umysłów, kruszyły się na ich miarę i stawały się bezbarwne jak oni. Każde stadło niosło na ręku, prowadziło przed sobą lub wiodło za rękę dzieci, wcale nie piękniejsze od swych rodziców i nie zapowiadające, że będą szczęśliwsze, a które znów wydadzą na świat dzieci, nie lepiej od nich uposażone w urodę i radość. Tu i ówdzie przechodziła piękna dziewczyna, w młodych ludziach wznecając szlachetną żądzę, w starcach — żal za czarem życia.

Obok Szkoły Wojskowej Ewaryst wskazał Elodii posągi egipskie, rysowane przez Davida według wzorów rzymskich z epoki Augusta. Usłyszeli, jak niemłody paryżanin zauważył;

— Można by sądzić, że jesteśmy nad brzegami Nilu!

Od trzech dni, jak Elodia nie widziała Ewarysta, wielkie zdarzenia zaszły w domu jej ojca. Obywatela Blaise zadenuncjowano przed Komitetem Bezpieczeństwa o oszustwa w dostawach. Ale na szczęście handlarz rycin znany był w swej sekcji: Komitet Nadzoru sekcji Praw Człowieka poręczył przed Komitetem Bezpieczeństwa za jego prawomyślność i to w zupełności go usprawiedliwiło.

Opowiedziawszy ze wzruszeniem to zdarzenie, Elodia dodała:

— Jesteśmy spokojni teraz, ale popłoch był wielki! Niewiele brakowało, by ojca mego wtrącono do więzienia. Gdyby niebezpieczeństwo było potrwało jeszcze kilka godzin, byłabym przybiegła do ciebie, Ewaryście, prosić cię, abyś u twych wpływowych przyjaciół poczynił kroki w obronie mego ojca.

Ewaryst nic nie odrzekł. Elodia nie myślała mierzyć całej głębi tego milczenia.

Szli, trzymając się za ręce, wzdłuż brzegów Sekwany i wypowiadali sobie swą tklivość wzajemną słowami Julii i Saint-Preux; dobry Jan Jakub Rousseau dostarczał im sposobu określania i ozdabiania ich miłości.

Władze miejskie dokonały były tego cudu, by w ogłodzonym mieście na jeden dzień zapanowała obfitość żywności. Budy jarmarczne zajęły plac Inwalidów, nad brzegiem rzeki kupcy sprzedawali w namiotach kielbasy, serdelki, kiszki, szynki przybrane zielenią, ciasta, pierniki, wafle, czterofuntowe chleby, lemoniadę i wino. Były też kramy, w których sprzedawano pieśni patriotyczne, kokardy, trójkolorowe wstążki, sakiewki, mosiężne łańcuszki i różne drobne klejnociki. Ewaryst zatrzymał się przed wystawą skromnego jubilera, wybrał srebrny pierścionek z płaskorzeźbą przedstawiającą głowę Marata, owiniętą chustką, i wsunął go na palec Elodii.

Gamelin tegoż wieczora udał się na ulicę de l'Arbre-Sec do obywatelki Rochemaure, która wzywała go w pilnej sprawie. Zastał ją w sypialni na szezlongu, w ponętym negliżu.

Podczas gdy poza obywatelki wyrażała słodką omdlałość, wszystko, co ją otaczało, mówiło o jej wdziękach, zabawach, talentach — harfa obok otwartego klawikordu, gitara na fotelu; krosienka z naciągniętą materią jedwabną; na stole rozpoczęta miniatura, papiery, książki; biblioteka w nieładzie, przewracana ręką równie chciwą poznania, jak dotykania.

Dała mu swą rękę do pocałowania.

— Witaj, obywatelu przysięgły!... Dziś właśnie Robespierre starszy dał mi list w twej sprawie do prezydenta Hermana, list bardzo dobrze napisany. Mówi w nim mniej więcej: „Wskazuję panu obywatela Gamelin jako godnego polecenia dla swych talentów i patriotyzmu. Mam sobie za obowiązek przedstawić panu patriotę z zasadami, którego postępowanie trzyma się ściśle linii rewolucyjnej. Nie wątpię, że zechcesz przysłużyć się rzetelnemu

republikaninowi...“. Bez zwłoki odniosłam ten list do prezydenta Hermana, przyjął mnie z nadzwyczajną uprzejmością i zaraz podpisał twą nominację. To sprawa załatwiona.

— Obywatelko — rzekł Gamelin po chwili milczenia — choć nie mam kęsa chleba dla mojej matki, przysięgam na Honoré, że przyjmuję urząd przysięgłego na to tylko, by służyć Republice i pomścić ją na jej wrogach.

Obywatelka pomyślała, że podziękowanie jest nieco chłodne, a wygłoszone zdanie zbyt surowe. Posądziła Gamelina o brak wdzięku. Ale zbyt kochała młodość, by nie miała mu wybaczyć pewnej szorstkości. Gamelin był piękny: widziała w tym zasługę. „Urobi go się“ — pomyślała. I zaprosiła go na swe kolacyjki; przyjmowała co wieczór, po teatrze.

— Zastaniesz u mnie ludzi inteligentnych i utalentowanych: Elleviou, Talma, obywatel Vigee, który rymuje z zadziwiającą łatwością. Obywatel Francois czytał nam swoją „Pamelę“, którą przygotowuje teraz na scenę teatru de la Nation. Styl jest czysty i elegancki, jak wszystko, co wychodzi spod pióra obywatela Francois. Sztuka jest wzruszająca; lzy nam wycisnęła. Młoda Lange gra rolę Pamelę.

— Polegam na twym sądzie, obywatelko — odrzekł Gamelin. — Ale teatr de la Nation jest mało narodowy. I dla obywatela Francois jest pożałowania godne, że dzieła jego grane są na deskach skalanych nikczemnymi wierszami Laya: nie zapomniano jeszcze skandalu „Przyjaciela Praw“...

— Obywatelu Gamelin, daruję ci Laya; nie należy do moich przyjaciół.

Obywatelka nie z czystej dobroci użyła swego wpływu, by mianowano Gamelina na stanowisko przez wielu upragnione; po tym, co zrobiła dla niego i co pewnie jeszcze zrobić będzie mogła, spodziewała się, że silnie przywiąże go do siebie i zapewni sobie jego poparcie w sądzie, przed którym dziś lub jutro stanąć może — boć ostatecznie wysyłała mnóstwo listów do Francji i za granicę, a takie korespondencje były wtedy podejrzane.

— Czy często chodzisz do teatru, obywatelu? W tej chwili wszedł obywatel Henry, piękniejszy niż dziecię Bathyllos. Dwa ogromne pistolety miał za pasem. Pocałował rękę pięknej obywatelki, która rzekła doń:

— Oto obywatel Ewaryst Gamelin, dla którego cały dzień spędziłam w Komitecie Bezpieczeństwa Powszechnego. A nie jest mi wdzięczny za to. Zburcz go jak należy!

— Ach, obywatelko — zawołał oficer — widziałas naszych prawodawców w Tuileriach! Co za zasmucający widok! Reprezentanci wolnego ludu czyż powinni zasiadać w komnatach despoty!? Te same świeczniki, płonące niegdyś nad spiskami Capeta i orgiami Antoniny, przyświecają dziś nocnym naradom naszych prawodawców. Natura wzdryga się na to!

— Mój przyjacielu, powinszuj obywatelowi Gamelin — odrzekła — mianowano go

przysięgłym Trybunału Rewolucyjnego.

— Winszuję, obywatelu! — rzekł Henry. — Szczęśliw jestem, że obowiązki przysięgłego pełnić będzie człowiek takiego charakteru. Ale, prawdę mówiąc, mam mało zaufania do tej sprawiedliwości metodycznej, stworzonej przez umiarkowanych członków Konwentu, do tej dobroduszej Nemezis, oszczędzającej spiskowców, oszczędzającej zdrajców, która za ledwie śmie godzić w federalistów i boi się powołać Austriaczkę przed kratki. Nie, nie Trybunał Rewolucyjny ocali Republikę. Bardzo zawinili ci, co w rozpaczliwym położeniu, w jakim się znajdujemy, wstrzymali zapęd sprawiedliwości ludowej!

— Henry — rzekła obywatelka Rochemaure — podaj mi ten flakon.

Wróciwszy do domu, Ewaryst zastał w pracowni matkę i starego Brotteaux. Grali w pikietę przy świetle kopczącej świecy. Obywatelka, nie wstydząc się, zapowiadała „tercja od króla“. Na wiadomość, że syn mianowany jest przysięgłym, uścisnęła go czule, myśląc, że jest to wielki zaszczyt dla obojga i że odtąd oboje będą jeść codziennie.

— Szczęśliwa i dumna jestem, że jestem matką przysięgłego — rzekła. — Sąd to piękna rzecz i najkonieczniejsza: bez sądów słabi byliby krzywdzeni na każdym kroku. I zdaje mi się, że dobrze będziesz sędzić, mój Ewaryście, bo od dzieciństwa byłeś sprawiedliwy i dobrotliwy we wszystkim. Nie mogłeś znieść niesprawiedliwości i całą siłą sprzeciwiałeś się gwałtom. Miałeś litość nad nieszczęśliwymi, a litość to najpiękniejsza cnota sędziego... Ale powiedz mi, Ewaryście, jak jesteście ubrani w tym wielkim trybunale!

Gamelin odrzekł, że sędziowie noszą kapelusze z piórami, ale przysięgli nie mają jednolitego ubioru, noszą zwykłe ubrania.

— Lepiej byłoby — zauważyła obywatelka — aby nosili togę i perukę; wyglądałoby czcigodniej. Ty, chociaż najczęściej ubrany niedbale, jesteś piękny i zdobisz swoje suknie, ale większość ludzi koniecznie potrzebuje ozdoby, aby przedstawić się okazalej. Lepiej by było, żeby przysięgli nosili togę i perukę.

Obywatelka słyszała była, że urząd przysięgłego przynosi jakieś dochody, nie mogła więc powstrzymać się od zapytania, czy zarabia się dość, by żyć przyzwoicie, bo „przysięgły — mówiła — musi coś reprezentować w świecie“. Z zadowoleniem dowiedziała się, że przysięgły otrzymuje wynagrodzenie w kwocie osiemnastu liwrów za każde posiedzenie, a mnogość zbrodni przeciwko bezpieczeństwu państwa zmusza ich do częstych posiedzeń. Stary Brotteaux zebrał karty, wstał i rzekł do Gamelina:

— Obywatelu, przyjąłeś urząd dostojny i groźny. Winszuję ci, że światła twego sumienia używać będziesz trybunałowi, może mniej omylnemu od innych, gdyż poszukuje on dobra i zła nie dla nich samych, nie w ich istocie, lecz tylko odnośnie do interesów dotykanych i uczuć jawnych. Będziesz musiał rozstrzygać między miłością a nienawiścią, co robi się nagle,

bez przygotowania, a nie między prawdą a błędem, których rozpoznanie jest niemożliwe dla słabych umysłów ludzkich. Sądząc według serc waszych, nie potrzebujecie obawiać się omyłki; każdy wyrok będzie dobry, byle zadowolił namiętności, które są waszym świętym prawem. Ale gdybym był waszym prezesem, zrobiłbym jak Bridoie, zdałbym się na rzucanie kości. W rzeczach sprawiedliwości — to jeszcze najpewniejsze.

## IX

Ewaryst Gamelin miał rozpocząć urzędowanie 14 września, po przekształceniu Trybunału Rewolucyjnego, rozdzielonego odąd na cztery sekcje, z piętnastoma przysięgłymi w każdej. Więzienia były przepelnione; oskarżyciel publiczny pracował osiemnaście godzin na dobę. Porażkom armii, buntom prowincji, sprzysiężeniom, spiskom, zdradom Konwent przeciwstawiał terror. Bogowie łaknęli krwi...

Pierwszym krokiem nowego przysięgłego było złożyć uszanowanie prezydentowi Hermanowi, który zachwyił go słodyczą wymowy i łagodnością obejścia. Ziomek i przyjaciel Robespierre'a, którego uczucia podzielał, okazał serce tkliwe i pełne cnót. Był do głębi przenikniemy owymi uczuciami ludzkimi, zbyt długo obcymi sercu sędziów, a które stanowią wieczną chwałę takiego Dupaty i Beccarii. Winszował sobie złagodzenia obyczajów, które w prowadzeniu śledztwa ujawniło się w zniesieniu tortury i mąk okrutnych i hańbiących. Radował się, iż kara śmierci, dawniej stosowana za najmniejsze przewinienia, teraz stała się rzadszą i zachowuje się tylko dla wielkich zbrodni. Tak jak Robespierre, zniósłby ją chętnie, o ile nic dotyczyłoby to bezpieczeństwa publicznego. A teraz uważałby, że zdradza Państwo, nie karząc śmiercią zbrodni popełnionych przeciwko samowładztwu narodu. Wszyscy koledzy jego tak samo myśleli; stara monarchiczna idea racji stanu kierowała Trybunałem Rewolucyjnym. Osiem wieków władzy absolutnej ukształtowało sędziów i na zasadzie prawa z bożej łaski sądzili oni nieprzyjaciół wolności.

Tegoż samego dnia Ewaryst Gamelin przedstawił się oskarżycielowi publicznemu, obywatelowi Fouquier, który przyjął go w swoim gabinecie, gdzie pracował z pisarzem. Był to człowiek silny, o grubym głosie i kocich oczach. Jego szeroka, ospowata twarz, ziemista cera nosiły ślady spustoszeń, jakie wywiera życie siedzące i zamknięte na naturach stworzonych do ruchu i przebywania na świeżym powietrzu. Akty wznosiły się wkoło niego jak ściany grobowca, ale widocznie lubił te straszne papierzyska, które zdawały się go dusić. To, co mówił, zdradzało urzędnika pracowitego, pilnie spełniającego swe obowiązki, ale którego umysł nie wybiegał poza koło jego czynności. Oddech jego przesycony był wódką; popijał ją dla pokrzepienia się, nie uderzała mu jednak do głowy, bo nie mąciła jasności jego przeciętnych zdań. Mieszkał w małym mieszkanku w gmachu sądu ze swą młodą żoną, która

obdarzyła go była bliźniętami, z ciotką Henryką i służącą Pelagią, dla których był dobry i łagodny. Jednym słowem, był to człowiek doskonały dla swej rodziny i zawodu, bez szerszych poglądów i zupełnie bez wyobraźni. Gamelin z pewną niechęcią zauważył, że wszyscy ci urzędnicy nowego porządku rzeczy podobni są z umysłu i sposobu zachowania się do urzędników poprzedniego ustroju. I nic dziwnego: Herman pełnił był urząd adwokata generalnego rady w hrabstwie Artois; Fouquier był prokuratorem w Chatelet. Zachowali swoje cechy, Ewaryst Gamelin wierzył zaś w odrodzenie rewolucyjne.

Wychodząc z sądu, Ewaryst przeszedł pod galeriami gmachu sądowego i zatrzymał się przed sklepami, w których różne przedmioty z gustem były wystawione. U wystawy obywatelki Tenot przerzucił dzieła historyczne, polityczne i filozoficzne: „Kajdany niewolnictwa“, „Szkice o despotyzmie“, „Zbrodnie królowych“. „To rozumiem! — pomyślał. — To są utwory republikańskie!“ I zapytał kupcową, czy dużo tych książek sprzedaje. Potrząsnęła głową.

— Sprzedaje się tylko piosenki i romanse. I wyciągnęła mały tomik z szuflady.

— Oto — dodała — coś dobrego.

Ewaryst przeczytał tytuł: „Zakonnica w koszuli“.

Przed sklepem sąsiednim Ewaryst ujrzał Filipa Desmahis, jak pośród perfum, pudrów i saszetek obywatelki Saint-Jorre, wspaniały i tkliwy, zapewniał piękną perfumiarzkę o swej miłości, obiecywał zrobić jej portret i prosił o chwilę rozmowy w ogrodzie Tuilerii, wieczorem. Był piękny. Przekonanie płynęło z ust jego, tryskało z oczów. Obywatelka Saint-Jorre słuchała w milczeniu i, gotowa wierzyć, spuszczała oczy. Dla oswojenia się ze strasznymi swymi obowiązkami nowy przysięgły zapragnął, zmieszany z tłumem, przysłuchać się sprawie sądzonej w Trybunale Rewolucyjnym. W tym celu wstąpił na schody, na których, jak w amfiteatrze, siedziały tłumy ludu, i wszedł do dawnej sali Parlamentu. Duszone się, by widzieć sądzonego generała. Bo wówczas, jak mawiał stary Brotteaux, „Konwent, za przykładem rządu Jego Królewskiej Mości Króla Wielkiej Brytanii, w braku generałów zdrajców, którzy się sądzić nie pozwalali, stawiał przed sąd generałów zwyciężonych... Nie dlatego — dodawał Brotteaux — by generał zwyciężony miał być koniecznie zbrodniczy, boć w bitwie zawsze jeden pobity być musi, ale nic tak nie podnosi ducha u innych, jak skazanie jednego z nich na śmierć...“

Już kilku po kolei zasiadało na miejscu oskarżonego, kilku z tych wojskowych upartych i lekkomyślnych, o mózgadi ptasich w czaszkach byków. I ten niewiele więcej wiedział o oblężeniach i bitwach, którymi dowodził, niż urzędnicy, którzy go badali: oskarżenie i obrona gubiły się w tych wszystkich szczegółach o liczebności armii, zapasach amunicji, marszach i kontrmarszach. A tłumy obywateli śledzących te ciemne, bez końca długie debaty, widziały



za tym głupim generałem ojczyznę rozdartą, bezbronną, konającą, więc spojrzeniem i głosem naglili sędziów, spokojnych na swej ławie, by wymierzili wyrok jak uderzenie maczugi, wyrok na tych strasznych wrogów Republiki.

Ewaryst czuł żywo, że w tym nieszczęśliwcu ugodzić trzeba w dwa potwory ohydne, rozdzierające Republikę: w bunt i porażkę. Bardzo też istotnie ważne jest, czy ten generał winny, czy niewinny! Gdy Wandea podnosi na nowo głowę, Tulon poddaje się nieprzyjacielowi, armia nadreńska cofa się przed zwycięzcami Moguncji, armia północna, stojąca w dawnym obozie Cezara, może być jednym zamachem zniesiona przez wojska cesarskie, Anglików i Holendrów, zdobywców Valenciennes, wtedy ważne jest nauczyć generałów zwyciężać lub umrzeć. Patrząc na tego niedołęznego, ogłupiałego żołdaka, który na sądzie płacze się w zeznaniach, jak plątał się na polach północy, Gamelin, aby nie krzyknąć: „Na śmierć!” wraz z publicznością, wyszedł spiesźnie z sali.

Na zgromadzeniu sekcji nowy przysięgły przyjął powinszowania od prezesa Oliviera, który przy głównym ołtarzu u Barnabitów, przemienionym na ołtarz ojczyzny, przysięg mu kazał, że w imię ludzkości stłumił w swym sercu wszelką słabość człowieczą.

Gamelin, z podniesioną ręką, powołał na świadka swej przysięgi dostojne cienie Marata, męczennika wolności, którego popiersie świeżo umieszczono na jednym z filarów dawnego kościoła, naprzeciwko podobizny Le Peltiera.

Rozległo się trochę oklasków zmieszanych z szemraniem. Zgromadzenie było wzburzone. U wejścia nawy grupa członków sekcji, uzbrojonych w piki, wykrzykiwała gniewnie.

— Jest czynem antyrepublikańskim — rzekł prezes — nosić broń w zgromadzeniu ludzi wolnych. — I kazał natychmiast złożyć fuzje i piki w byłej zakrystii.

Garbusek z żywymi oczami, obywatel Beauvisage z Komitetu Czujności, zajął miejsce na kazalnicy, zamienionej na mównicę uwieńczoną czerwoną czapką.

— Generałowie zdradzają nas — rzekł — i wojsko nasze oddają Wręce nieprzyjaciół.

Cesarscy wysyłają oddziały konnicy aż w okolice Poronne i Saint-Quentin. Tulon wydany został Anglikom, którzy wysadzają tam czternaście tysięcy ludzi. Wrogowie Republiki spiskują w łonie samego Konwentu. W stolicy knują się niezliczone spiski w celu uwolnienia Austriaczki. W chwili kiedy to mówię, obiegają wieści, że syn Capeta, uciekły z Tempie, obnoszony jest w triumfie w Saint-Cloud; chcą na jego korzyść podnieść na nowo obalony tron tyrana. Podrożenie żywności, spadek asygnat są skutkiem intryg dokonywanych w naszych domach, w naszych oczach przez agentów zagranicy. W imię dobra publicznego wzywam obywatela przysięgłego, by był nielitościwy dla spiskowców i zdrajców.

Gdy mówca schodził z trybuny, w zgromadzeniu rozległy się głosy:

— Precz z Trybunałem Rewolucyjnym! Precz z umiarkowanymi!

Człowiek tęgi, rumiany, obywatel Dupont starszy, stolarz z placu Thionville, wszedł na trybunę, pragnąc, jak mówił, zwrócić się z zapytaniem do obywatela przysięgłego. I zapytał Gamelina, jaka będzie jego postawa w sprawie brissotystów i wdowy Capet. Ewaryst był nieśmiały i nie umiał przemawiać publicznie. Ale oburzenie natchnęło go. Wstał bladej i rzekł głuchym głosem:

— Jestem sędzią. Słuchać muszę swego tylko sumienia. Wszelkie obietnice, jakie bym wam uczynił, byłyby przeciwne memu obowiązкови. Mówić muszę w Trybunale, a milczeć wszędzie indziej. Nie znam was więcej! Jestem sędzią: nie znam ani przyjaciół, ani wrogów! Zgromadzenie, różnorodne, niepewne, chwiejne jak wszystkie zgromadzenia, przyznało mu słuszność. Ale obywatel Dupont starszy nie dał za wygraną — nie mógł przebaczyć Gamelinowi, że zajmuje posadę, którą sam pragnąłby być objąć.

— Rozumiem — rzekł — pochwalam nawet skrupuły obywatela przysięgłego. Uchodzi za dobrego patriotę: sam winien osądzić, czy sumienie pozwala mu zasiadać w Trybunale, ustanowionym dla tępienia wrogów Republiki, a zdecydowanym oszczędzać ich. Są wspólnoty, od których dobry obywatel winien się uchylić. Czy nie jest faktem niezbitym, że kilku przysięgłych Trybunału dało się przekupić złotem, i czy prezes Montane nie dopuścił się fałszerstwa aktu dla ocalenia głowy Karoliny Corday?

Na te słowa sala zatrzęsa się od oklasków. Ostatnie ich echa jeszcze nie obły się o sklepienia, gdy Fortunat Trubert wstąpił na trybunę. Schudł on znacznie przez ostatnie miesiące. Na bladej twarzy rozognione policzki prawie przebijały skórę: powieki były rozpalone, źrenice szkliste.

— Obywatele — rzekł głosem słabym, przerywanym, dziwnie przejmującym — nie można podejrzewać Trybunału Rewolucyjnego nie podejrzewając równocześnie Konwentu i Komitetu Ocalenia Publicznego, z których wyszedł. Obywatel Dupont zaniepokoił nas, wspominając nam, że prezes Montane zmienił procedurę sądową na korzyść winowajcy. Dlaczego nie dodał dla uspokojenia nas, że nil denuncjację oskarżyciela publicznego Montane został złożony z urzędu i uwięziony?... Czyż nie można czuwać nad dobrem publicznym bez rzucania wszędzie podejrzeń? Czyż nie ma już cnót i zdolności w Konwencie? Robespierre, Couthon, Saint-Just czyż nie są ludźmi uczciwymi? Charakterystyczne, że najgwałtowniejsze zdania wypowiadają ci, których nie widziano nigdy w walce o dobro Republiki. Gdyby chcieli uczynić ją nienawistną, nie mogliby przemawiać inaczej... Obywatele, mniej hałasu, a więcej roboty! Armatami, a nie wrzaskiem ocali się Francję! Polowa piwnic sekcji nie została jeszcze przeszukana. Wielu obywateli posiada jeszcze wielkie ilości brązu. Przypominamy bogatym, że dary patriotyczne są dla nich najlepszym zapewnieniem prawomyślności. Polecam waszej szczodrości córki i żony naszych żołnierzy, okrywających się chwałą na

granicy i nad Loarą. Jeden z nich, huzar August Pommier, poprzednio czeladnik tapicerski na ulicy Jerozolimskiej, dziesiątego zeszłego miesiąca koło Conde, prowadząc konie do pojenia, zaskoczony został przez sześciu kawalerzystów austriackich; dwóch zabił, a resztę zabrał do niewoli. Żądam, by sekcja oświadczyła, że August Pommier spełnił swój obowiązek.

Przemowę tę nagrodzono oklaskiem... Członkowie sekcji rozchodzili się powoli wśród okrzyków „Niech żyje Republika!”

Pozostawszy sam w nawie z Trubertem, Gamelin uściśnął mu rękę.

— Dziękuję ci. Jakże się masz?

— Ja... bardzo dobrze, bardzo dobrze! — odrzekł Trubert, zakasłał i splunął krwią do chustki.

— Republika ma dużo wrogów na zewnątrz i wewnątrz; nasza sekcja też liczy ich sporo. Ale żelazem i prawami tworzy się państwa... Dobranoc, Gamelin: mam kilka listów do napisania. I z chustką przy ustach wszedł do byłej zakrystii.

Obywatelka wdowa Gamelin, z kokardą teraz lepiej przyczepioną do czepka, nabrała z dnia na dzień powagi mieszczańskiej, dumy republikańskiej i godnej postawy, stosownej dla matki obywatela przysięgłego. Cześć dla sprawiedliwości, w jakiej była wychowana, nieśmiały podziw, jaki od dzieciństwa wzbudzała w niej toga i biret, święty lęk, jakiego doświadczała zawsze na widok ludzki, którym Bóg sam zlecił na ziemi swe prawo życia i śmierci — wszystkie te uczucia czyniły dla niej syna, którego niedawno uważała prawie za dziecko, dostojnym, czcigodnym, niemal świętym. W prostocie swej pojmowała ciągłość sprawiedliwości poprzez Rewolucję, równie dobrze jak prawodawcy Konwentu pojmowali ciągłość państwa w przemianie ustroju rządowego. Trybunał Rewolucyjny miał dla niej ten sam majestat, co dawne sądy, które nauczono ją szanować.

Stary Brotteaux okazywał młodemu sędziemu pewne zainteresowanie, zmieszane ze zdziwieniem i wymuszonym szacunkiem. Jak obywatelka wdowa Gamelin, również uznawał ciągłość sprawiedliwości poprzez różne ustroje rządowe, ale, odmiennie od tej damy, gardził Trybunałem Rewolucyjnym tak samo, jak sądami dawnych rządów. Nie śmiejąc jednak jawnie wypowiedzieć swej myśli i nie chcąc też milczeć, wpadał w paradoksy, z których Gamelin rozumiał dość, by posądzać go o nieprawomyślność.

— Dostojny Trybunał Rewolucyjny, w którym niedługo zasiadać będziesz — rzekł mu raz — ustanowiony został przez senat francuski dla ocalenia Republiki; i było zaiste cnotliwym czynem naszych prawodawców wyznaczyć sędziów swoim wrogom. Pojmuję całą szlachetność tego czynu, ale nie było to politycznie. Byłoby, zdaje mi się, roztropniej z ich strony godzić w ciemności w swych najbardziej nieprzejednanych przeciwników, innych zaś zjednywać darami i obietnicami. Sąd działa pomału i więcej wywołuje strachu, niż wyrządza zła. Wadą sądu waszego jest to, że jednoczy on wzajem tych wszystkich, których przeraża,

przez co z tłumu, mającego różne interesy, spreczne namiętności, wytwarza wielką partię zdolną do wspólnej potężnej akcji. Siejcie strach, a strach pewniej niż odwaga rodzi bohaterów. Oby którego dnia cuda strachu nie wybuchnęły przeciwko wam, obywatelu Gamelin !

Rytownik Desmahis, zakochany w tym tygodniu w czarnowłosej Florze, olbrzymce, dziewczynie z Palais-Egalite, znalazł jednak chwilę czasu, by powinszować towarzyszowi i powiedzieć mu, że taka nominacja przynosi wielki zaszczyt sztukom pięknym.

Nawet Elodia, bezwiednie nienawidząca wszystkiego, co tyczyło się Rewolucji, bojąca się spraw publicznych jako niebezpiecznych rywalek, zdolnych wyprzeć ją z serca kochanka, nawet ta tkliwa Elodia odczuwała wpływ i powagę sędziego, powołanego do rozstrzygania w sprawach życia i śmierci. Zresztą nominacja Ewarysta na urząd przysięgłego wywołała skutek korzystny dla niej, z którego radowała się szczerze: obywatel Jan Blaise poszedł do pracowni na plac Thionville uściskać przysięgłego z całym wylewem męskiej czułości. Jak wszyscy kontrrewolucjoniści, miał on wielkie poszanowanie dla władz Republiki, a odkąd zadenuncjowano go o oszustwo w dostawach dla armii, Trybunał Rewolucyjny wzbudzał w nim święty strach. Był osobistością zbyt widoczną, w mnóstwo interesów zaplątaną, by mógł zażywać zupełnego bezpieczeństwa; Ewaryst Gamelin był dlań człowiekiem, którego należało sobie zachować. Ostatecznie jest się dobrym obywatelem, zwolennikiem praw...

Podał rękę malarzowi-sędziemu, okazał się serdecznym, patriotą, przychylnym sztuce i wolności. Gamelin, wspaniałomyślny, niepomny urazy, uścisnął tę rękę, szeroko otwartą. — Obywatelu Ewaryście Gamelin — rzekł Jan Blaise — odwołuję się do twej przyjaźni i talentów. Zabieram cię jutro na dwudniową wycieczkę na wieś: będziesz rysował, pogadamy. Kilka razy do roku handlarz rycin urządzał dwui trzydniowe wycieczki na wieś w towarzystwie malarzy, którzy pod jego kierunkiem rysowali krajobrazy i ruiny. Z wprawą i zręcznością wybierając to, co publiczności podobać się będzie, powracał z tych objazdów ze szkicami, które, wykończone w pracowni lub z gustem wyrzyte, dawały ryciny sangwiną lub barwne, przynoszące bardzo dobre zyski. Według tych szkiców kazał także wykonywać medaliony do umieszczania nad drzwiami lub na ścianach: sprzedawały się one równie dobrze, a może nawet lepiej niż dekoracyjne prace Huberta Robert.

Tym razem chciał zabrać z sobą obywatela Gamelin, żeby szkicował z natury — tak bowiem od czasu nominacji urósł w jego oczach malarz. Jeszcze dwaj inni artyści mieli należeć do tej wyprawy; rytownik Desmahis, bardzo ładnie rysujący, i nie znany jeszcze artysta Filip Dubois, doskonale pracujący w guście Roberta. Jak zwykle, towarzyszyć miała artystom obywatelka Elodia ze swą przyjaciółką, obywatelką Hasard. Jan Blaise, umiejący łączyć dbałość o interes z własną przyjemnością, zaprosił też na tę wycieczkę obywatelkę Thevenin,

aktorkę z Vaudeville, która uchodziła za jego kochankę.

## X

W sobotę o siódmej z rana obywatel Blaise, w trójgraniastym kapeluszu, szkarłatnej kamizelce, łośiowych spodniach i żółtych butach z wyłogami, rączką szpicruty zastukał do drzwi pracowni przy placu Thionville. Obywatelka wdowa Gamelin zabawiła się właśnie rozmową z obywatelem Brotteaux, Ewaryst zaś przed kawałkiem lustra zawiązywał szeroki biały krawat.

— Wesolej podróży, panie Blaise! — rzekła obywatelka. — Ale skoro jedziecie malować krajobrazy, czemu nie mielibyście zabrać obywatela Brotteaux, który także jest malarzem.

— Dobrze! — rzekł Jan Blaise. — Obywatelu Brotteaux, jedź z nami.

Upewniwszy się, że nie będzie natrętnym, Brotteaux, towarzyski z natury i rad zabawie, przyjął zaproszenie.

Obywatelka Elodia weszła była cztery piętra, by uściskać obywatelkę Gamelin, którą nazywała swą dobrą mateczką. Była cała w bieli i pachniała lawendą.

Stary kocz podróżny, w parę koni zaprzężony, z podniesioną budą czekał na placu. Róża Thevenin z Julią Hasard siedziały w głębi. Elodia kazała aktorce usiąść po prawej stronie, sama usiadła po lewej, a szczupłą Julię umieściła pośrodku. Brotteaux usiadł na przednim siedzeniu, naprzeciw obywatelki Thevenin, Filip Dubois naprzeciw obywatelki Hasard, a Ewaryst naprzeciw Elodii. Co do Filipa Desmahis, ten wystawiał swój atletyczny tors na koźle, na lewo od stangreta, którego w zdumienie wprawiał, opowiadając mu o pewnym kraju w Ameryce, gdzie na drzewach rosną kiszki i kiełbasy.

Obywatel Blaise, doskonały jeździec, odbywał drogę konno i jechał przodem, aby nie łykać kurzu unoszącego się za powozem.

W miarę jak koła szybko toczyły się po bruku przedmieść, podróżni zapominali o troskach; na widok pól, drzew, nieba myśli ich stawały się wesole i radosne. Elodia pomyślała, że byłaby stworzona do hodowania kur u boku Ewarysta, sędziego pokoju w jakiejś wiosce nad brzegiem rzeki, niedaleko lasu.

Wiązy szosy mknęły na ich drodze. Przy wjeździe do wioski kundły zabiegały z boku i czekały zajadle pod nogami koni, wielki wyżeł, leżący w poprzek gościńca, podnosił się z żalem; kury podlatywały rozpierzchnione i uciekając przebiegały drogę; gęsi zbite w gromadę oddalały się z wolna. Umorusane dzieci patrzyły na przejeżdżający powóz. Dzień był ciepły, niebo czyste. Spękana ziemia czekała deszczu. Wysiedli niedaleko Villejuif. Gdy przechodzili przez sioło, Desmahis wszedł do owocarni, by kupić czereśni, którymi chciał poczęstować zgrzane obywatelki. Sprzedająca była ładną dziewczyną. Desmahis nie wracał. Filip Dubois

zawołał go po przydomku, jakim nazywali go zwykle:

— Hej! Barbaroux!... Barbaroux!

Na to znienawidzone nazwisko przechodnie nadstawili uszu, twarze ukazały się we wszystkich oknach. I gdy ujrzeli wychodzącego z owocami pięknego młodzieńca w rozpiętej kamizelce z koronkowym żabotem, spływającym na atletyczną pierś, z koszykiem czereśni na ramieniu i frakiem na końcu kija, sankiuloci wzięli go za wygnanego żyrondistę i pochwycili gwałtownie. Byliby go zawlekli niechybnie do urzędu mimo jego gniewnych protestów, gdyby stary Brotteaux, Gamelin i trzy młode kobiety nie były zaświadczyły, że obywatel ów nazywa się Filip Desmahis, jest artystą rytownikiem i dobrym jakobinem. Mimo to podejrzany musiał pokazać swe świadectwo prawomyślności, które dziwnym trafem miał przy sobie, zazwyczaj bowiem nie dbał o te rzeczy. Dzięki temu wyrwał się z rąk wieśniaków-patriotów bez innej straty jak oberwany mankiet koronkowy; ale szkoda to była niewielka. Gwardziści, którzy najmocniej go poturbowali, przepaszali uroczyście i chcieli nawet w triumfie zanieść go do urzędu gminnego.

Oswobodzony, otoczony przez obywatelki Elodię, Różę i Julię, Desmahis rzucił gorzki uśmiech Filipowi Dubois, którego nie lubił i podejrzewał o fałsz. Górując nad nim o całą głowę, zawołał:

— Dubois! Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie Barbaroux, nazwę ciebie Brissot! To mały człek, gruby i śmieszny, z tłustym włosiem, błyszczącą skórą, lepkiemi rękami. Nikt nie będzie wątpił, że jesteś niecnym Brissotem, wrogiem ludu, i republikanie na twój widok obrzydzeniem i wstrętem zdjęci, powieszą cię na pierwszej latarni... Zrozumiane?

Obywatel Blaise, który napoił był konia, zapewnił, że sprawę załatwił, choć jasne było dla wszystkich, że sprawa załatwiła się bez niego.

Zajęto znów miejsca w powozie. W drodze Desmahis opowiadał stangretowi, że niegdyś właśnie na te pola Longjumeau spadło kilku mieszkańców księżycy z kształtu i koloru podobnych do zab, ale znacznie większych. Filip Dubois i Gamelin rozmawiali o sztuce. Dubois, uczeń Regnaulta, był jakiś czas w Rzymie. Widział był freski Rafaela, które stawiał ponad wszelkie arcydzieła. Podziwiał koloryt Correggia, kompozycję Annibala Carracci i rysunek Domenichina, ale nie znał nic, co by równać się mogło co do stylu z obrazami Pompejusza Batoniego. W Rzymie obcował z panem Menageot i panią Lebrun, że zaś oboje oświadczyli się przeciw Rewolucji, teraz nie wspominał o nich. Ale chwalił Angelikę Kaufmann, która miała styl czysty, znała i ceniła starożytność.

Gamelin ubolewał, że po rozkwicie malarstwa francuskiego, rozkwicie tak późnym, gdyż datował się od Le Sueura, Claude'a i Poussina i przypadł na schyłek szkoły włoskiej i flamandzkiej, nastąpił tak szybki i głęboki upadek. Przyczyn upatrywał w obyczajach

publicznych i w Akademii, która była tych obyczajów wyrazem. Ale Akademia na szczęście jest zniesiona i pod wpływem nowych zasad David jego szkoła stwarzają nową sztukę, godną wolnego Judu. Z młodych malarzy Gamelin bez zawiści na pierwszym miejscu stawiał Hennequina i Topino-Lebruna. Filip Dubois wyżej niż Davida cenił mistrza swego Regnaulta i w młodym Gerardzie widział przyszlą chwałę malarstwa.

Elodia wieszowała obywatelce Thevenin jej gustownej toalety, czerwonego toczka i białej sukni. Aktorka także podziwiała gust w ubraniu swych dwóch towarzyszek i wskazywała im sposób, jakby było jeszcze ładniej; jej zdaniem należało usunąć wszelkie ozdoby.

— Nie jest się nigdy dość prosto ubranym — mówiła. — Uczymy się tego w teatrze, gdzie strój winien nie przeszkadzać uwydatnieniu kształtów i póz. To jego cała wartość i piękno; innej nie wymaga.

— Dobrze mówisz, moja droga — odpowiedziała Elodia — ale najkosztowniejszą w toalecie rzeczą jest prostota. I nie zawsze ze złego gustu uciekamy się do tych ozdób; często czynimy to z oszczędności.

Z zajęciem rozmawiały o modach jesiennych, gładkich sukniach, krótkich stanach.

— Tyle kobiet szpeci się hołdując modzie! — rzekła panna Thevenin. — Należałoby ubierać się stosownie do swych kształtów.

— Piękne są tylko materie okręcane koło ciała i na nim układane w draperie — rzekł Gamelin. — Wszystko, co zostało przykrajane i zeszyte, jest szkaradne. Te idee, które właściwsze byłyby w dziele Winckelmanna niż w ustach człowieka mówiącego do paryżanek, odrzucone zostały ze wzgardą obojętności.

— Na zimę — rzekła Elodia — robią salopki á la laponne z florentyny lub popeliny i redyngoty á la Zulima z okrągłymi połami i wykończone kamizelką á la turque.

— To są okryjbiedy — rzekła Thevenin. — Sprzedaje się to gotowe. Mam skromną krawcową, która szyje jak anioł i nie jest droga; przyślę ci ją, moja kochana.

I słowa biegły lekkie, szybkie, chyże, rozwijając i unosząc cienkie tkaniny, florentynę w paski, gładki jedwab, krepę, gazę, tiule, nankiny.

A stary Brotteaux, słuchając ich, z melancholijną rozkoszą dumiał o tych zasłonach rzucanych przez jeden sezon na śliczne kształty, tak niedługo trwające, a odradzające się wiecznie, jak kwiaty polne. I oczy jego, przechodząc z trzech młodych kobiet na chabry i maki bruzd polnych, zwilżały się radosnymi łzami.

Przybyli do Orangis około dziewiątej i zatrzymali się w oberży „Pod Dzwonem“, gdzie małżonkowie Poitrine gościli podróżnych pieszych i konnych. Obywatel Blaise, który już był przyprowadził do porządku swoją toaletę, podał rękę obywatelkom. Zamówiwszy obiad na południe, poprzedzeni przez wiejskiego chłopaka, niosącego ich pudła, płótna, sztalugi i

parasole, gromadką udali się pieszo, przez pola, do zbiegu rzeczek Yvette i Orge, do tych miejsc ślicznych, skąd rozciąga się widok na zielone błonia Longjumeau, obramowane Sekwaną i lasami Sainte-Genevieve. Jan Blaise, prowadząc gromadkę artystów, zamieniał z byłym finansistą wesołe żarciki, w których bez ładu i miary powtarzały się nazwiska Verboqueta Wspaniałomyślnego, Katarzyny Cuissot, panien Chaudron, czarnoksiężnika Galichet i świeższe postaci kadeta Rousselle'a i pani Angot.

Ewarysta na widok żniwiarzy, wiążących snopki, zdjęło nagle umiłowanie przyrody. Uczuł, jak łyzy nabiegają mu do oczu; marzenia o zgodzie i miłości wypełniły mu serce. Desmahis zdmuchiwał na włosy obywaterek delikatne puchy ostromleczów. Wszystkie trzy w bukietach zamiłowane mieszcзки zaczęły zbierać na łące dziewanny, ściśle przylegające do łądygi jak ziarna w kłosie, rezedę, krwawnik, delikatne liliowe dzwonki kondygnacjami na łądyżce zawieszzone, cienkie gałązki pachnącej werweny, karłowaty bez, miętę, koniczynę, polne bratki i powoje, całą tę florę polną kończącego się lata. A ponieważ Jan Jakub Rousseau uczynił botanikę modną wśród dziewcząt miast, znały wszystkie nazwy i zwyczaje kwiatów. Widząc, jak delikatne listeczki, zwiędłe od suszy, opadają w jej rękach i deszczem wonnym sypią się do jej stóp, Elodia z prawdziwym smutkiem westchnęła:

— Przechodzą już kwiatki!

Wszyscy zabrali się do roboty i każdy starał się odtworzyć przyrodę tak, jak ją widział; ale każdy widział ją na wzór jakiegoś mistrza. W krótkim czasie Filip Dubois naszkicował w rodzaju Roberta opuszczoną chatę, zwalone pnie drzew i wyschły potok. Ewaryst Gamelin na brzegach Yvette'y odnalazł krajobraz Poussina, Filip Desmahis pracował nad gołębnikiem na sposób Cammusa Duplessisa. Stary Brottetux, który rościł sobie pretensje, że naśladowuje flamandczyków, starannie rysował krowę. Elodia szkicowała chatę, a jej przyjaciółka Julia, córka handlarza farb, przygotowywała paletę. Dzieci obstały ją wkoło i przyglądały się jej robocie; odganiała je od światła, nazywając natrętnymi muchami i obdzielając karmelkami. Obywatelka Thevenin, jeśli wśród gromadki znajdowała jakie ładne dzieci, myła je, całowała i wtykała im kwiatki we włosy. Pieściła je z melancholijną słodyczą, bo nie miała szczęścia być matką; chciała się też upiększyć wyrazem tkliwego uczucia i wykazać swój kunszt grupowania i pozy.

Ona jedna tylko nie rysowała i nie malowała. Zajęta była uczeniem się roli, a bardziej jeszcze podobaniem się. I z kajetem w ręku szła od jednego do drugiego, lekka i czarująca. „Ani cery, ani kibici, ani ciała, ani głosu“ — mówiły o niej kobiety, a ona wypełniała przestrzeń ruchem, barwą, harmonią. Zwiędła, ładna, znużona, niestrudzona, była rozkoszą wyprawy. Z usposobienia kapryśna, a jednak zawsze wesoła, łatwo obrażająca się i gniewna, lecz zgodna i łatwa w pozyciu, języczek ostry przy najuprzejmiejszym tonie, próżna i skromna, szczerą,



falszywa, rozkoszna — jeśli mimo to Róża Thevenin nie robiła świetnych interesów i dotąd nie była diwą, to tylko dlatego, że czasy były złe i nie było już w Paryżu ołtarzy i kadzideł dla Gracyj. Obywatelka Blaise, choć mówiąc o niej krzywiła się i nazywała „macochą“, nie mogła, widząc ją, oprzeć się tylu wdziękom. W teatrze Feydeau szły próby z komedii „Wizytki“ i Róża radu była, że ma w tej sztuce rolę pełną naturalności. Naturalności szukała, goniła za nią i znajdowała ją.

— A zatan nie ujrzymy Pameli? — rzekł piękny Desmahis.

Teatr de la Nation był zamknięty, aktorów i aktorki odesłano do Magdalenek i Świętej Pelagii.

— Czy to nazywa się wolnością?! — zawołała panna Thevenin podnosząc w niebo oczy, pałające oburzeniem.

— Aktorzy teatru de la Nation — rzekł Gamelin — są to arystokraci, a sztuka obywatela Francois ma zgubną tendencję, każe żałować zniesionych przywilejów szlachty.

— Panowie — rzekła Thevenin — czyż tylko tych, co wam pochlebiają, słuchać umiecie?...

Około południa wszyscy uczyli porządny głód, więc mała gromadka udała się do oberży.

Ewaryst szedł obok Elodii i z uśmiechem przypominał ich pierwsze spotkania.

— Dwa ptaszki, gnieźdzące się pod dachem, spadły na brzeg okienka. Żywiłaś je dając im jeść do dziobka: jeden odchowwał się i uleciał, drugi zginął w gniazdku z waty, które mu przygotowałaś. „Tego właśnie bardziej lubiłam“, rzekłaś wtedy. Tego dnia miałaś czerwoną wstążkę we włosach.

Filip Dubois i Brotteaux, pozostali nieco w tyle, rozmawiali o Rzymie, gdzie byli obaj:

Brotteaux w 1772 r., Dubois w ostatnich czasach Akademii. Brotteaux wspominał księżnę Mondragone, do której chętnie byłby wzdychał, gdyby nie to, że hrabia Altieri nie odstępował jej jak cień. Dubois nie zaniedbał opowiedzieć, że był zaproszony na obiad do kardynała de Bernis i że był to najmiłszy w świecie gospodarz.

— Znałem go — rzekł Brotteaux — i mogę powiedzieć, nie chwając się, że jakiś czas należałem do jego zażytych przyjaciół: chętnie obcował on z hołotą. Był to miły człowiek i chociaż zazwyczaj plótł bajki, miał w małym palcu więcej zdrowej filozofii, niż jej mają w głowach wszyscy wasi jakobini, chcący nas ucności i rozbestwiać. Zaiste wolę naszych prostych bogożerców, którzy nie wiedzą ani co mówią, ani co czynią, niż tych wściekłych bazgraczy praw, skwapliwie gilotynujących nas, aby nas zrobić cnotliwymi i mądrymi i kazać nam czcić Istotę Najwyższą, która urobiła ich na swój obraz i podobieństwo. Niegdyś, w minionych już czasach, kazałem odprawiać mszę w kaplicy des llettes mizernemu księżyżynie, który po kilku kieliszkach mawiał: „Nie mówny źle o grzesznikach; my, księża niegodni, żyjemy z nich!“ Przyznaj pan, że ten zjadacz litanii miał zdrowe zasady rządu.

Należałoby do nich powrócić i rządzić ludźmi takimi, jacy są, a nie, jakimi by się mieć ich chciało.

Thévcnin zbliżyła się do starego Brotteaux. Wiedziała ona, że człowiek ten niegdyś żył szeroko, i wyobraźnia jej tym świetnym wspomnieniem zdobiła obecne ubóstwo byłego finansisty; było ono mniej upokarzające, skoro było ogólne i spowodowane ruiną publiczną. Z ciekawością i pewnym szacunkiem podziwiała w nim jednego z tych szczodrych Krezusów, którzy wielbili aktorki, jej poprzedniczki. Przy tym sposób zachowania się tego dobrodusznego jegomościa w brązowym surducie, tak zniszczonym a czystym, podobał jej się bardzo.

— Panie Brotteaux — rzekła — wiadomo, że niegdyś w pięknym parku, podczas jasno oświetlonych nocy, przy dalekim odgłosie fletów i skrzypiec, wsuwałeś się do gajów mirtowych w towarzystwie aktorek i tancerek. Niestety — piękniejsze były, nieprawdaż, wasze diwy z Opery i Komedii Francuskiej niż my, biedne aktoreczki narodowe?

— Nie wierz temu, obywatelko — odrzekł Brotteaux — i wiedz, że gdyby wówczas znalazła się która podobna do ciebie, gdyby tylko była zechciała, przechadzałyby się bez rywalki, jak królowa po tym parku, o którym łaskawie masz tak pochlebne pojęcie...

Oberża „Pod Dzwonem“ była prawdziwie sielska. Gałązka ostrokrzewu wisiała nad wrotami, prowadzącymi na wielkie, zawsze mokre podwórze, po którym dziobały kury. Dom wznosił się w głębi dziedzińca i składał się z parteru i pierwszego piętra, zakończonego wysokim dachem z omszałych dachówek; ściany domu ginęły pod różnymi krzakami, gęsto osypanymi kwieciami. Na prawo, spoza niskiego muru ogrodowego wyglądały przycięte wierzchołki drzew owocowych. Na lewo znajdowała się stajnia ze żłobem na zewnątrz i stodoła. Drabina stała oparta o mur. Z tej strony również, pod szopą zapełnioną narzędziami rolniczymi i pniami, z wysokości starej bryczki biały kogut pilnował swych kokoszy. Dziedziniec w tej stronie zamykały obory, przed którymi, niby wzgórek chwały, leżała kupa nawozu; w obecnej chwili nawóz ten przewracała widłami dziewczka szersza niż wysoka, z włosami koloru słomy. Płynny nawóz, napełniający jej saboty, obmywał jej boscie nogi. Unosząc się od czasu do czasu, ukazywała żółte jak szafran pięty. Podkasana spódnica swobodnie pozwalała oglądać brud jej grubych, krótkich łydek. Podczas gdy Filip Desmahis przypatrywał się jej zdziwiony i rozbawiony tym osobliwym wybrykiem natury, który dziewczynę tę stworzył wszczepiając zamiast wzdłuż, oberżysta zawołał:

— Hej, La Tronche! Idź, przynieś wody!

Odwróciła się i ukazała twarz czerwoną i ogromne usta, w których brakło przedniego zęba. Trzeba było rogu byka, by zrobić wyłom w tym potężnym uzębieniu. Z widłami na ramieniu śmiała się; podniesione jej ręce, grube jak uda, błyszczały w słońcu.

Stół nakryty był w sali na dole, gdzie też na różnie dopiekały się kurczęta pod okapem komina, obwieszonym starymi fuzjami. Bieloną salę, na dwadzieścia stóp długą, oświetlały zielonkowane szybki drzwi wejściowych i jedno okno obramowane różami, u którego przy kołowrotku siedziała babunia. Na głowie miała czepiec koronkowy z czasów Regencji, sękaty palce powalane ziemią trzymały kądziel. Muchy siadały na jej powiekach, ale nie odganiała ich. Dzieckiem jeszcze, na rękach matki, widziała była Ludwika XIV jadącego w karecie. Przed sześćdziesięcioma laty odbyła podróż do Paryża i opowiadała stojącym przed nią trzem młodym kobietom, głosem słabym i śpiewnym, jak widziała Ratusz, Tuilcrie i „Samarytankę“ i jak, gdy przechodziła przez Pont-Royal, czółno, wiozące jabłka na targ, przewróciło się, jabłka popłynęły z biegiem wody i rzeka była od nich czerwona.

Wiedziała o świeżo zaszłych w królestwie zmianach, a głównie o rozterce między proboszczami, którzy złożyli przysięgę, a tymi, co składać jej nie chcieli. Wiedziała też, że były wojny, głody i znaki na niebie. Nie wierzyła, że król nie żyje. Dano mu uciec przez podziemia, a katowi wydano na jego miejsce człowieka z pospólstwa. U stóp babuni ząbkował w swoim koszyku Janek, najmłodszy potomek Poitrine'ów. Obywatelka Thevenin uniosła kołyskę z łożyny i uśmiechnęła się do dziecka; jęczało ono z cicha, wyczerpane gorączką i konwulsjami. Musiało być bardzo chore, bo wzywano doń lekarza, obywatela Pelleport, który co prawda, jako zastępca deputowanego w Konwencie, nie kazał sobie płacić za wizyty.

Obywatelka Thevenin, dziecię teatru, w oberży czuła się jak u siebie w domu. Niezadowolona ze źle mytych przez La Tronche naczyń, przecierała talerze, szklanki, widelce. Podczas gdy obywatelka Poitrine przyrządzała zupę, którą jako dobra oberżystka kosztowała, Elodia krajała chleb czterofuntowy, świeżo wyjęty z pieca. Gamelin patrzył na nią i rzekł:

— Czytałem przed kilku dniami książkę, napisaną przez młodego Niemca i bardzo dobrze przełożoną na język francuski. Nazwiska autora zapomniałem. Przedstawia w tej książce piękną, młodą dziewczynę, na imię jej Karolina, która jak ty, Elodio, krajała chleb i jak ty czyniła to z wdziękiem i tak ładnie, że młody Werter w niej się zakochał.

— I kończy się to małżeństwem? — spytała Elodia.

— Nie — odrzekł Ewaryst — rzecz kończy się gwałtowną śmiercią Wertera.

Zjedli obiad obfity, gdyż byli bardzo głodni, ale jedzenie było nieszczególnie; Jan Blaise uskarżał się na to, był bowiem smakoszem i z dobrego jadła robił regułę życia. Zapewne panujący ogólnie głód pobudzał go, by łakomstwo stawiać jako system. Rewolucja we wszystkich domach przewróciła była rondle dnem do góry. Ogół obywateli nie miał co włożyć do ust. Ludzie obrotni, którzy, jak Jan Blaise, długo zarabiali na powszechnej biedzie, szli do restauracji i tam, objadając się, składali dowód swego rozumu. Co zaś do obywatela

Brotteaux, który w roku II Republiki żył kasztanami i skórkami chleba, to wspominał on, jak jadał u Grimod de la Reyniere u wjazdu na Pola Elizejskie. Pragnąc także zasłużyć na tytuł smakosza, nad talerzem kapusty kraszonej słoniną w zajeździe obywatelki Poitrine dawał przepisy różnych smakołyków i przypraw gastronomicznych. A gdy Gamelin oświadczył, że republikanin gardzi rozkoszami stołu, stary finansista, amator starożytności, dał młodemu Spartaninowi prawdziwy przepis na czarną polewkę.

Po obiedzie Jan Blaise, nie zapominając nigdy o interesie, kazał swej wędrownej akademii szkicować oberżę, wydawała mu się bowiem dostatecznie romantyczna w swym zapuszczeniu. Podczas gdy

Filip Desmahis i Filip Dubois szkicowali obory. La Tronche przyniosła pomyje dla świń.

Obywatel Pelleport, przybyły, aby udzielić pomocy lekarskiej małemu Poitrine, równocześnie z nią wyszedł z dolnej sali; podszedłszy do artystów i w kilku komplementach wyraziwszy, że talenty ich przynoszą zaszczyt całemu narodowi, wskazał im dziewczynę otoczoną prosiętami.

— Widzicie to stworzenie — rzekł — to nie jest jedna dziewczyna, jakbyście sądzić mogli, to dwie. Mówię zupełnie ściśle. Zdziwiony jej ogromnymi rozmiarami, zbadałem ją i przekonałem się, że prawie wszystkie jej kości są podwójne; w każdym udzie ma dwie kości biodrowe spojone razem, u każdej łopatki dwie kości ramieniowe. Ma także niektóre mięśnie podwójne. Są to, moim zdaniem, dwie bliźniaczki złączone razem, ściśle mówiąc, stopione w jedno. Jest to wypadek rzadki. Zwróciłem na to uwagę pana de Saint-Hilaire, który był mi bardzo za to wdzięczny. Widzicie tu potwora, obywatele. Ludzie tutejsi nazywają ją La Tronche, w liczbie pojedynczej, a należałoby nazywać ją w liczbie mnogiej: Les Tronches. Przyroda miewa niekiedy takie dziwactwa... Dobranoc, obywatele malarze! Będziemy mieli burzę tej nocy...

Po kolacji, spożytej przy świecach, akademie Blaise z córką i synem małżonków Poitrine na dziedzińcu oberży bawili się w ślepą babkę; młodzież obu płci w zabawie tej okazała ożywienie, które ich wiek młody dostatecznie usprawiedliwiał, tak że zbyteczne byłoby dociekać, czy czasem gwałtowność i niepewność owych dni nie pobudzała ich zapału. Gdy zanowała noc zupełna, Jan Blaise zaproponował, by w sali na dole zabawić się w niewinne gry. Elodia zażądała „polowania na serce“, co całe towarzystwo przyjęło chętnie. Według wskazań młodej dziewczyny Filip Desmahis nakreślił kredą na meblach, drzwiach, ścianach siedem serc, to jest o jedno mniej, niż było graczy, gdyż stary Brotteaux uprzejmie wziął udział w zabawie. Utworzywszy koło, tańczyli na nutę pieśni „Strzeż się, La Tour!“, po czym na znak Elodii rozbiegali się i każdy szybko kładł ręce na jedno z serc. Gamelin, roztargniony i niezgrabny, znalazł wszystkie serca już zajęte: dał fant, ów mały nożyk za sześć centymów z

jarmarku w Saint-Germain, którym odkroił był chleb dla ubogiej matki. Rozpoczęto na nowo i kolejno nie trafiali na wolne serca Jan Blaise, Brotteaux, Elodia, Thevenin i dali za fanty: pierścionek, torebkę, książeczkę w safianowej oprawie, bransoletkę. Potem rozlosowano fanty złożone na kolanach Elodii i każdy, aby wykupić swój fant, musiał wystąpić z jakimś talentem towarzyskim, zaśpiewać piosenkę, deklamować wiersze. Brotteaux wypowiedział przemowę patrona Francji z pierwszej pieśni „Dziewicy Orleańskiej“:

Jestem Dionizy, z zawodu święty. Kocham Galię...

Obywatel Blaise, choć mniej ocytany, bez wahania dał odpowiedź Richemonda:

Mój panie święty, toż nie warto było Niebiańską rzucać siedzibę...

Wszyscy czytali wtedy z rozkoszą „arcydzieło Ariosta francuskiego“: najpoważniejsi ludzie śmiali się z miłostek Joanny i Dunois, przygód Agnieszki i Monrose'a i dzielnych czynów skrzydlatego osła. Ludzie wykształceni umieli na pamięć najpiękniejsze ustępy z tego zabawnego i filozoficznego poematu. Nawet Ewaryst Gamelin, mimo surowego usposobienia, biorąc swój fant z kolan Elodii, chętnie wypowiedział wstąpienie Grisbourdona do piekła.

Obywatelka Thevenin zaśpiewała bez akompaniamentu romans Niny: „Gdy powróci ukochany“, Desmahis zaśpiewał na nutę „La Faridondaine“:

Jedni wzięli wieprza

Świętego Antoniego,

Wsadzili mu kaptur,

Zrobili zeń mnicha...

Ale Desmahis był smutny. W tej chwili kochał gorąco wszystkie trzy kobiety, z którymi rozgrywał fanty, i wszystkim trzem rzucał palące i słodkie spojrzenia. Kochał Thevenin za jej wdzięk, gibkość, za jej sztukę, za zerkanie oczami i głos wnikaający do serca; kochał Elodię, bo przeczuwał w niej naturę pełną, bogatą i szczerze darzącą; kochał Julię Hasard mimo jej spłowiałych włosów, białych brwi, piegów i chudości, bo za przykładem owego Dunois, o którym mówi Wolter w „Dziewicy“, we wspałości swej gotów był dać dowód miłości nawet najbrzydszej, tym bardziej że wydawała mu się też najmniej zajęta w chwili obecnej, a zatem najdostępniejszą. Zupełnie pozbawiony próżności, nie był nigdy pewny, że przejętym będzie, nie był też pewny, że nim nie będzie. Toteż na wszelki wypadek zalecał się. Korzystając ze szczęśliwego zbliżenia podczas zabawy, szepnął kilka słodkich słówek pannie Thevenin; nie rozgniewała się o to, ale nie mogła ich odwzajemnić pod zazdrosnym spojrzeniem Jana Blaise. Jeszcze miłośniej przemówił do obywatelki Elodii, o której wiedział, że jest zaręczona z Gamelinem; ale nie był tak wymagający, by żądać miał jej serca wyłącznie dla siebie. Elodia kochać go nie mogła, ale widziała, że jest piękny, i niezupełnie umiała to przed nim ukryć. Wreszcie najbardziej namiętne życzenia szepnął do ucha obywatelki Hasard,

odpowiedziała na to miną zdumioną, która mogła wyrażać zarówno zupełną uległość, jak ponurą obojętność... I Desmahis wcale nie uwierzył w jej obojętność.

W oberży były tylko dwie sypialnie, obie na pierwszym piętrze i obie na jednym korytarzu. Pokój na lewo, najpiękniejszy, wyklejony był jasnymi tapetami w kratki, przybrany lustrem wielkości dłoni, którego złożone ramki muchy pstrzyły już za pierwszych lat Ludwika XV. Tu pod baldachimem z wzorzystego perkaliku stały dwa łóżka, dobrze zasłane puchowymi poduszkami, pierzynami i watowanymi kołdrami. Pokój ten przeznaczony był dla obywaterek. Gdy nadeszła pora spoczynku, Filip Desmahis i Julia Hasard, trzymając każde lichtarz w rękę, życzyli sobie dobrej nocy.

Na korytarzu zakochany rytownik wsunął córce handlarza farb bilecik, w którym prosił ją, aby gdy wszyscy już spać będą, przyszła doń na strych, nad pokojem obywaterek.

Przezorny i rozumny, już w dzień rozpatrzył był rozkład i zwiedził strych pełen starych kufrów, skrzyń, pęczków cebuli i suszących się owoców, nad którymi unosiły się roje os. Widział tam też stary kulawy tapczan, zapewne wycofany z użytku, a na nim rozdarty siennik, po którym skakały pchły.

Naprzeciw pokoju obywaterek był pokój o trzech łóżkach, gdzie spać mieli, jak się da, obywatele podróżni. Brotteaux, jako prawdziwy sybaryta, poszedł spać do stodoły na sianie. Jan Blaise gdzieś znikł. Dubois i Gamelin zasnęli natychmiast. Desmahis położył się do łóżka, ale gdy cisza jak stojąca woda objęła dom cały, rytownik wstał i udał się na strych po drewnianych schodach: schody skrzypiały pod jego bosymi nogami. Drzwi strychu były odemknięte. Buchał z nich upał i ostry zapach gnijących owoców. Na dziurawym tapczanie spała La Tronche z otwartymi ustami, uniesioną koszulą, rozrzuconymi nogami. Była potworna. Promień księżycy, przenikając przez okienko w dachu, oblewał srebrem i błękitem jej skórę, która błyszczała młodością i świeżością poprzez brud i plamy nawozu. Desmahis rzucił się na nią; przebudzona nagle, złąkla się i krzyknęła, ale gdy zrozumiała, czego chcą od niej, uspokoiła się i nie okazała ani zdziwienia, ani niechęci, i udała, że jest jeszcze pogrążona w półśnie, który, odejmując jej świadomość rzeczy, pozwalał jednak na nieco uczucia...

Desmahis powrócił do swego pokoju, gdzie spał do rana spokojnym i głębokim snem.

Nazajutrz po jednym dniu pracy, wędrowna akademia udała się w powrotną drogę do Paryża. Obywatel Poitrine; któremu Jan Blaise zapłacił asygnatami, biadał, że obecnie widzi się tylko „kwadratowe pieniądze“, i obiecywał postawić piękną świeczkę na ołtarzu temu, kto znów wprowadzi złoto.

Obywatelkom ofiarował kwiaty. Z jego polecenia La Tronche, podkasana, z brudnymi błyszczącymi łydkami, stojąc na drabinie, niezmordowanie ścinała róże z krzewów pokrywających mury domostwa. Z jej ogromnych rąk róże deszczem, potokiem, lawiną

spadały w nadstawione spódnice obywaterek Elodii, Julii i Róży. Kocz wypełniony był kwiatami.

Wszyscy, wróciwszy już w nocy, unosili całe pęki róż, a woń cudna przesycala ich sen i przebudzenie nazajutrz.

## XI

Rano siódmego września obywatelka Rochemaure, idąc do przysięgłego Gamelina — chciała zainteresować go losem jednego ze swych znajomych, podejrzanego o nieprawomyślność — spotkała w sieni na schodach byłego arystokratę Brotteaux des Ilettes, którego kochała była w dniach pomyślności. Brotteaux szedł właśnie dostawić dwanaście tuzinów swoich pajaców handlarzowi zabawek z ulicy de la Loi. By je łatwiej nieść było, zdecydował się zawiesić je na końcu długiej tyki, tak jak robią wędrowni handlarze. Brotteaux był uprzejmy i wytworny dla kobiet, nawet dla tych, których wdzięki wskutek długiego przyzwyczajenia mogły stracić dlań powab, jak to było z panią de Rochemaure — o ile zdrada, oddalenie, niewierność i tusza nie mogłyby jej na nowo uczynić jeszcze dlań ponętną. Jak bądź, w brudnej sieni o źle spojonej podłodze, przyjął ją tak samo, jak przyjmował ją niegdyś na schodach przedsionka w Ilettes, i prosił, by zechciała wejść na jego poddasze. Dość zręcznie weszła po drabinie i znalazła się pod wiązaniem dachowym, którego pochyle belki dźwigały dach z cegieł, z wybitym okienkiem. Nie można tam było stanąć prosto. Usiadła więc na jedynym krześle i wodząc przez chwilę wzrokiem po źle spojonych ceglach, zapytała zdziwiona i zasmucona: — Więc tu mieszkasz, Maurycy? Istotnie nie bardzo możesz liczyć na odwiedziny życzliwych. Trzeba być diabłem lub kotem, by cię tu znaleźć.

— Niewiele mam tu przestrzeni — odrzekł były arystokrata. — I nie taję przed tobą, że czasem deszcz pada na mój barłóg. Ale to drobna niewygoda. Za to w jasne noce widzę księżyc... Bo księżyc, pani, bywał zawsze wzywany przez kochanków na świadka, i w czas pełni, błądy i krągły, przypomina kochankowi przedmiot jego miłości.

— Tak — rzekła obywatelka.

— Na wiosnę koty tęgie hałasy wyprawiają na dachu. Ale trzeba wybaczyć miłości, że miauczy i piszczy po dachach, skoro męką i zbrodniami napełnia życie ludzi.

Oboje, bardzo rozumnie, spotkali się jak przyjaciele, którzy rozeszli się wczoraj, by udać się na spoczynek, i chociaż obcymi stali się sobie, rozmawiali z sobą swobodnie i życzliwie.

Pani de Rochemaure była jednak przygnębiona. Rewolucja, dotąd dla niej wesoła i owocna, teraz przynosiła jej troski i niepokoje. Kolacyjki jej stawały się coraz mniej świetne i huczne. Dźwięki jej harfy nie rozjaśniały już posępnych twarzy. Jej stoliki do kart stały bezczynne, opuścili je najbogatsi gracze. Kilku najzażyłszych jej przyjaciół musiało ukrywać się, stali się

bowiem podejrzani. Finansista Morhardt, także jej przyjaciel, został aresztowany i dla niego przysłała właśnie prosić o pomoc przysięgłego Gamelina. Ją samą nawet podejrzewano. Gwardziści narodowi robili u niej rewizję, splądrowali szuflady jej komód, poodrywali deski posadzki, poprzebijali materace bagnetami. Nic nie znaleźli, przeprosili ją i wypili jej wino. Ale przeszli tuż, tuż koło jej korespondencji z emigrantem, panem d'Expilly. Miała między jakobinami kilku przyjaciół i ci ostrzegli ją, że piękny Henry, jej kochanek od serca, kompromituje się przez swą gwałtowność, zbyt przesadzoną, by mogła być szczerą. Z łokciami na kolanach i z pięściami przy twarzy, stroskana, zapytywała swego starego przyjaciela, siedzącego na sienniku:

— Co myślisz o tym wszystkim, Maurycy?

— Myślę, że ci ludzie filozofowi i amatorowi widowisk dostarczają dość materiału do rozmyślenia i zabawy, ale że lepiej byłoby dla ciebie, moja miła, abyś znalazła się poza granicami Francji.

— Dokąd nas to zaprowadzi, Maurycy?

— To samo pytanie zadałaś mi, Ludwiko, pewnego dnia, w powozie nad brzegiem rzeki Cher, na drodze do Ilettes, gdy koń nasz rozbrykany ponosił nas w szalonym galopie. Jakież kobiety są ciekawe! I dziś jeszcze chcesz wiedzieć, dokąd dążymy. Każ sobie to z kart wywróżyć. Nie jestem wieszczbiarzem, moja miła, a filozofia nawet najtęższa nie na wiele się przyda dla poznania przyszłości. Te rzeczy się kończą, bo kończy się wszystko. Można przewidzieć kilka różnych końców, na przykład zwycięstwo koalicji i wejście sprzymierzonych do Paryża. Już nie są od miasta daleko. Nie sądzę jednak, żeby weszli do Paryża. Ci żołnierze Republiki dają się pokonywać z zapalem, który niczym stłumić się nie da. Być może, że Robespierre ożeni się z siostrą królewską i każe się mianować protektorem królestwa na czas małoletności Ludwika XVII.

— Tak sądzisz? — zawołała obywatelka, rada jak najprędzej wmieszać się w tę piękną intrygę.

— Może też być — ciągnął dalej Brotteaux — że Wandeja zwycięży i powrócą rządy księży na zwałach ruin i kupach trupów. Nie masz pojęcia, moja droga, jaką jeszcze władzę ma zawsze duchowieństwo nad tłumami miernych... Chciałem powiedzieć „wiernych“.

Przepraszam, język mi się splątał. Najprawdopodobniejszym zaś według mego zdania jest to, że Trybunał Rewolucyjny sprowadzi zgubę systemu rządowego, który go do życia powołał: zbyt wielu głowom zagraża. Niezliczone jest mnóstwo tych, których przeraża; zjednoczą się więc i żeby go zniszczyć, zniszczą sam ustrój. Zdaje mi się, żeś do tego Trybunału kazała mianować młodego Gamelina. Jest cnotliwy; będzie straszny. Im więcej myślę nad tym, moja piękna kochaneczko, tym bardziej sądzę, że ten Trybunał ustanowiony dla ocalenia Republiki



zgubi ją właśnie. Konwent chce mieć, tak jak dawniej, rządy królewskie, swe wielkie dni, swe sądy wyjątkowe, chce, by bezpieczeństwa strzegli urzędnicy mianowani przezeń i jemu podlegli. Lecz o ileż mniej wspaniałe są wielkie dni Konwentu od wielkich dni monarchii, a jego sądy wyjątkowe o ileż mniej polityczne od sądów Ludwika XIV! W Trybunale Rewolucyjnym panuje duch marnej sprawiedliwości i płaskiej równości, a to niedługo uczyni go wstrętnym, śmiesznym i obrzydliwym wszystkim. Czy uwierzysz, Ludwiko, że ten Trybunał, który ma powołać przed kratki królową Francji i dwudziestu prawodawców, skazał wczoraj służącą za to, że wołała „Niech żyje król!“ w złej myśli i z zamiarem obalenia!... Nasi czarno upierzeni sędziowie pracują w stylu owego Williama Szekspira, tak drogiego Anglikom, który do najtragiczniejszych scen swych dramatów wprowadza prostackie błazeństwa.

— A cóż, Maurycy — zapytała obywatelka — czy zawsze jeszcze szczęśliwy jesteś w miłości?

— Niestety! — odrzekł Brotteaux. — Synogarlice ulatują do białych gołębników i nie siadają już na ruinie wieży.

— Nie zmieniłeś się wcale... Do widzenia, przyjacielu.

Tegoż wieczoru kawalerzysta Henry zaszedł nie proszony do obywatelki Rochemaure i zastał ją, jak pieczętowała list, na którym wyczytał adres obywatela Rauline w Vernon. Był to, wiedział on o tym, list do Anglii. Rauline odbierał korespondencję pani de Rochemaure za pośrednictwem pocztyliona karetki pocztowej i przysyłał ją do Dieppe przez handlarkę ryb morskich. Stamtąd pewien właściciel łodzi odwoził ją na okręt angielski, krążący wzdłuż wybrzeży. Emigrant, pan d'Expilly, odbierał ją w Londynie i jeśli uważał za potrzebne, udzielał gabinetowi w Saint-James.

Henry był młody i piękny. Achilles, gdy wdziewał zbroję, podawaną mu przez Ulissesa, nie łączył tyle wdzięku z tak wielką dzielnością. Ale obywatelka Rochemaure, niegdyś wrażliwa na wdzięki młodego bohatera Komuny, teraz odwracała odeń wzrok i myśli, odkąd uprzedzono ją, że zadenuncjowany przed jakobinami jako zbyt gorliwy, młody ten żołnierz może skompromitować ją i zgubić. Henry czuł, że znajdzie w sobie dość siły, aby przestać kochać piękną panią de Rochemaure, ale gniewało go, że ona nie zwraca już nań uwagi. Wreszcie, wspomniawszy, do jakich ostateczności posunąć się mogą kobiety, jak szybko przechodzą od najgorętszej tkliwości do najchłodniejszej nieczułości, jak łatwo im poświęcić to, co kochały, i zgubić, co uwielbiały, posądził tę śliczną Ludwikę, że może ona którego dnia kazać wtrącić go do więzienia, by go się pozbyć. Rozum kazał mu odzyskać na nowo tę utraconą piękność. I dlatego przybył zbrojny we wszystkie swe powaby. Zbliżał się do niej, cofał, znów przystępował, odbiegał, według reguł uwodzenia w baletach. Potem rzucił się na

fotel i głosem niezwykłym, tym głosem, który do głębi wzruszał kobiety, zachwalał czar przyrody i samotności i z westchnieniem zaproponował przechadzkę do Ermenonville.

Tymczasem pani de Rochemaure wydobywała akordy z harfy i poglądała naokół zniecierpliwionym i znudzonym spojrzeniem. Nagle Henry zerwał się, ponury i zdecydowany, i zawiadomił ją, że jedzie do armii i za kilka dni będzie pod Maubeuge.

Nie okazując ani zdziwienia, ani powątpiewania, zrobiła głową gest potakujący.

— Winszujesz mi tego postanowienia?

— Winszuję.

Czekała na nowego kochanka, który podobał jej się niezmiernie i z którego zamierzała wyciągnąć wielkie korzyści, na kochanka zupełnie innego jak ten oto. Kochanek nowy, coś niby zmartwychwstały Mirabeau, Danton oszlifowany, przedzierzgnięty w dostawcę, lew, który wszystkich patriotów topić będzie w Sekwanie. Co chwila zdawało jej się, że słyszy dzwonek, i drżała. Ażeby wyprawić Henry'ego, umilkła, ziewnęła, przerzuciła jakieś nuty i znów ziewnęła. Widząc, że mimo to nie odchodzi, oznajmiła mu, że musi wyjść, i przeszła do swej gotowalni.

Wołał za nią wzruszonym głosem:

— Żegnaj, Ludwiko!... Czy kiedykolwiek ujrzę cię jeszcze?!

A ręce jego grzebały w otwartym biureczku.

Znalazłszy się na ulicy, otworzył list adresowany do obywatela Rauline i przeczytał go z zajęciem. Zawierał istotnie ciekawy obraz stanu umysłów we Francji. Mowa tam była o królowej, o Róży Thevenin, nawet o zacnym Brotteaux.

Skończywszy czytanie i włożywszy list do kieszeni, wahał się chwil kilka, po czym, jak człowiek, który powziął postanowienie i powiada sobie, że im wcześniej, tym będzie lepiej, skierował kroki ku Tuileriom i wszedł do przedpokoju Komitetu Bezpieczeństwa

Powszechnego.

Tegoż dnia o trzeciej po południu Ewaryst Gamelin po raz pierwszy zasiadł na ławie przysięgłych, w towarzystwie czternastu kolegów, których przeważnie już znał. Byli to ludzie prości, porządni i patrioci, uczeni, artyści, rzemieślnicy: był między nimi malarz, jak i on, i rytownik, obaj pełni talentu, chirurg, szewc, były markiz, który dał był dowody wielkiej prawomyślności, drukarz, drobni kupcy — jednym słowem okazy ludu paryskiego. Siedzieli na ławie w ubraniu mieszczańskim lub robotniczym, jedni ostrzyżeni á la Tytus, drudzy z harcapem; w trójgraniastych kapeluszach nasuniętych na oczy, inni w okrągłych kapeluszach zsuniętych na tył głowy lub w czerwonych czapkach, zakrywających uszy. Jedni ubrani w spodnie, kamizelkę i frak, jak za czasów monarchii, drudzy w karmanioli i spodniach w paski na sposób sankiulotów; w butach, trzewikach ze sprzączkami lub w sabotach — służyć mogli

za typy wszystkich ubrań męskich, jakie wówczas były w użyciu. Wszyscy zasiadali już kilkakrotnie i czuli się swobodnie na swej ławie. Gamelin zazdrościł im spokoju. Serce jego biło silnie, w uszach mu szumiało, wzrok mu się przesłaniał, wszystko naokół miało dlań barwę trupią. Gdy woźny oznajmił wejście Trybunału, trzech sędziów zasiadło na małej estradzie, przed stołem pokrytym zielonym suknem. Na głowie mieli kapelusze z kokardą i wielkimi czarnymi piórami. Ubrani byli w togi z trójkolorową wstęgą, z której zwieszał się na piersi ciężki srebrny medal. Przed nimi, u stóp estrady, zasiadł w takimże ubraniu zastępca oskarżyciela publicznego. Pisarz umieścił się między Trybunałem a próżnym fotelem oskarżonego. Gamelinowi ludzie ci wydali się inni niż dotąd: piękniejsi, poważniejsi, groźniejsi, chociaż zachowywali się prosto i przyjaźnie, przerzucali papiery, wołali woźnego lub przechylali się w tył, dla wysłuchania, co ma do powiedzenia któryś z przysięgłych lub oficer służbowy.

Nad sędziami zawieszono były Tablice Praw Człowieka. Z prawej i lewej strony, na starych feudalnych murach widniały popiersia Marata i Le Peltiera Saint-Fargeau. Na wprost ławy przysięgłych, w głębi sali, wznosiła się trybuna dla publiczności. Pierwszy rząd zajmowały kobiety, które wszystkie, czy blondynki, czy brunetki, czy już siwe, nosiły wysokie czepce z plisowanymi falbankami, po bokach ocieniającymi im policzki; na piersiach, którym moda ówczesna nadawała jednostajną objętość piersi karmicielskiej, krzyżowała się biała chusteczka lub pokrywał ją napierśnik niebieskiego fartucha. Ręce opierały na balustradzie trybuny. Za nimi widać było obywateli rozsypanych z rzadka po stopniach, ubranych z tą różnaitością, jaka wówczas nadawała tłumom tak dziwny i malowniczy pozór. Na prawo, przy wejściu, za barierą była przestrzeń dla publiczności stojącej. Tym razem publiczności było niedużo. Sprawa, którą ta sekcja Trybunału zajmować się miała, interesowała tylko niewielu widzów i zapewne inne sekcje, równocześnie zasiadające, rozstrzygały bardziej poruszające sprawy.

Było to niejakiem uspokojeniem dla Gamelina, którego wzruszenie na pierwszy raz nie zniósłoby pewnie gorącej atmosfery donioślejszej sprawy. Oczy jego czepiały się najdrobniejszych szczegółów, widział watę w uchu pisarza i atramentową plamę na aktach zastępcy oskarżyciela. Wyraźnie, jak przez lupę, widział kapitele o liściach rzeźbionych w czasach, gdzie wszelka znajomość starożytnego stylu była zatracona; kapitel ten gotyckie kolumny wieńczył girlandami pokrzyw i jemioly. Ale spojrzenia jego powracały uparcie do tego staroświeckiego, czerwonym aksamitem wybitego fotela o zniszczonym siedzeniu i szerniałych poręczach. Zbrojni gwardziści stali u wszystkich wyjść.

Wreszcie wszedł oskarżony wśród grenadierów, jednak bez żadnych więzów, wedle przepisów prawa. Był to człowiek pięćdziesięcioletni, chudy, śniady, całkiem łysy, o

policzkach zapadłych i wąskich, sinych wargach; ubrany był we frak ciemnoczerwony według dawniejszej mody. Zapewne z powodu, że miał gorączkę, oczy jego błyszcząły silnie, policzki świeciły. Usiadł. Nogi, które jedną na drugą założył, były niemożliwie chude, sękatę rękę skrzyżował pod kolanami. Nazywał się Maria Adolf Guillergues; oskarżony był o roztrwonienie furazów Republiki. Akt oskarżenia zarzucał mu liczne i poważne winy, z których żadna nie była zupełnie stwierdzona. Zapytany, Guillergues większości zarzuconych mu czynów zaprzeczył, inne wytłumaczył na swoją korzyść. Mowa jego była zwięzła i chłodna, nadzwyczaj zręczna, odnosiło się wrażenie, że jest to człowiek, z którym niedobrze mieć sprawę. Miał odpowiedź na wszystko. Gdy sędzia zadawał mu jakieś kłopotliwe pytanie, twarz jego pozostawała spokojna, słowa — stanowcze, ale obie ręce złożone na piersiach kurczyły się z niepokoju. Gamelin spostrzegł to i rzekł do swego kolegi, również malarza: — Patrz na jego palce!

Pierwszy przesłuchiwany świadek zeznawał obciążająco. Na nim opierało się całe oskarżenie. Następni zaś, przeciwnie, zeznawali przychylnie dla oskarżonego. Zastępca oskarżyciela wystąpił z gwałtowną mową, ale nie stanowczą. Obrońca przemówił z akcentem prawdy i szczerości, która zjednała oskarżonemu sympatię, jakiej sam sobie zapewnić nie umiał. Rozprawę przerwano i przysięgli udali się do sali narad. Tu, po niejasnej i bezładnej dyskusji, podzielili się na dwie grupy, prawie równe liczebnie. Z jednej strony byli obojętni, chłodni rezonerzy, których żadna nie ożywiała namiętność; z drugiej strony ci, którzy kierowali się uczuciem, okazywali się niedostępni rozumowaniu i sądzili tylko sercem. Ci skazywali zawsze. To byli dobrzy, szczerzy patrioci. Myśleli tylko o ocaleniu Republiki, nie troszcząc się o nic więcej. Ich postawa zrobiła wielkie wrażenie na Gamelinie, który poczuł swą łączność z nimi.

„Ten Guillergues — myślał — to zręczny łotr, zbrodniarz, który spekulował na furazie naszej konnicy. Uniewinnić go znaczyłoby dać umknąć zdrajcy, zdradzić ojczyznę, armię wydać na zgubę i porażkę“. I Gamelin widział już, jak huzarów Republiki na ślaniających się koniach pałaszuje nieprzyjacielska konnica... „Ale jeśli Guillergues jest niewinny?...”

Wspomniał nagle o Janie Blaise, również posądzonym o nadużycia w dostawach. Tylu innych musiało postępować tak samo jak Blaise i Guillergues, przygotować porażkę, gubić Republikę! Trzeba przykładu. Ale jeśli Guillergues jest niewinny?...

— Nie ma dowodów — rzekł Gamelin głośno.

— Nigdy nie ma dowodów — odrzekł wzruszając ramionami przewodniczący przysięgłych, jeden z dobrych, szczerych patriotów.

W końcu okazało się, że siedem głosów padło za skazaniem, osiem za uniewinnieniem.

Przysięgli powrócili na salę i rozprawę podjęto na nowo. Przysięgli obowiązani byli

motywować swój wyrok; każdy przemawiał po kolei przed pustym fotelem. Niektórzy przemawiali rozwleknie, drudzy zadowalali się jednym słowem, byli tacy, co wymawiali słowa niezrozumiale.

Gdy przysła kolej na Gamelina, wstał i rzekł:

— Wobec tak wielkiej zbrodni, jak odjęcie obrońcom ojczyzny możności zwycięstwa, trzeba dowodów formalnych; tych dowodów nie mamy.

Większością głosów oskarżonego uniewinniono. Guillergues przeprowadzony został przed sędziów; towarzyszyły mu życzliwe szepty widzów, zwiastujące mu jego uniewinnienie. Był innym człowiekiem. Sztywność jego rysów twarzy stajała, wyraz ust zmięknął. Wyglądał czcigodnie, twarz wyrażała niewinność. Prezes sądu głosem wzruszonym odczytał werdykt uniewinniający, sala zatrzęsała się od oklasków. Żandarm, który przyprowadził Guillergues'a, rzucił się w jego objęcia. Prezes przywołał go i oddał mu uścisk braterski. Przysięgli całowali go. Gamelin płakał rzewnymi łzami. Na dziedzińcu sądowym, rozświetlonym przez ostatnie błyski dnia, poruszały się wyjące tłumy. W przeddzień cztery sekcje Trybunału wydały trzydzieści wyroków śmierci i na stopniach głównych schodów tłum kobiet, z tych, co zawsze obecne były na rozprawach, czekał na wyjazd wózków ze skazańcami. Gamelin, schodząc po stopniach z falą przysięgłych i widzów, nie widział i nie słyszał nic prócz swego czynu sprawiedliwego i ludzkiego; wieszował sobie szczerze, że poznał niewinność oskarżonego. Na podwórzu Elodia, blada, ze łzami i uśmiechem rzuciła mu się na szyję, na pół omdlała. A gdy w końcu odzyskała głos, rzekła: — Ewaryście, jesteś piękny, jesteś dobry, jesteś szlachetny! W tej sali głos twój męski i słodki przenikał mnie na wskroś, jak fale magnetyczne. Elektryzował mnie. Podziwiałam cię na twej ławie, widziałam tylko ciebie. A ty, mój miły, czy nie odgadłeś mej obecności? Czyż nic ci nie oznajmiło, że tam jestem? Byłam na trybunie, w drugim rzędzie na prawo. Mój Boże, jak słodkim jest dobry uczynek! Ocaliłeś tego nieszczęśliwego. Bez ciebie już by było po nim: zginąłby. Wróciłeś go do życia, wróciłeś go rodzinie. W tej chwili błogosławić cię musi. O Ewaryście, jak szczęśliwa i dumna jestem, że cię kocham!...

Trzymając się za ręce, przytuleni do siebie, szli przez ulice; lekko im było, jak gdyby unosiły ich skrzydła.

Szli do domu pod godłem „Miłość malarzem“. Doszedłszy do Oratoire:

— Nie przechodźmy przez sklep — rzekła Elodia. Wprowadziła go przez bramę i, wszedłszy na schody, w sieni wyjęła z torebki duży klucz żelazny.

— Myślałby kto, że to klucz od więzienia — rzekła. — Ewaryście, będziesz więźniem moim. Przeszli pokój jadalny i weszli do pokoju Elodii. Ewaryst czuł na swych ustach płomienną świeżość ust Elodii. Wziął ją w objęcia. Z głową w tył odrzuconą, z zamglonymi oczami,

rozpuszczonym włosom, na wpół omdlała, wyrwała mu się i pobięła zamknąć drzwi na zasuwę...

Noc już była późna, gdy obywatelka Blaise otworzyła kochankowi drzwi pokoju i cicho szepnęła mu w cieniu:

— Żegnaj, kochanku! To pora powrotu ojca. Jeśli usłyszysz szelest na schodach, wejdź prędko na wyższe piętro i nie schodź wprzód, aż już nie będzie obawy, by cię spostrzeżono. Trzy razy zapukaj do okienka odzwiernej, aby otworzono ci drzwi na ulicę. Żegnaj, moje życie, żegnaj, duszo moja!

Gdy Ewaryst znalazł się na ulicy, spostrzegł, że okno pokoju Elodii odmyka się i mała rączka zrywa goździk, który upadł mu do stóp, jak kropla krwi.

## XII

Pewnego wieczoru, gdy Brotteaux odniósł dwanaście tuzinów pajaców do składu zabawek obywatela Caillou na ulicy de la Loi, kupiec ten, zawsze grzeczny i uprzejmy, przyjął go z miną surową.

— Strzeż się, obywatelu Brotteaux — rzekł — strzeż się. Nie zawsze pora śmiać się; żarty nie zawsze są dobre: członek Komitetu Bezpieczeństwa naszej sekcji, który wczoraj przeglądał mój sklep, widział twoje pajace i uznał, że są antyrewolucyjne.

— Kpił sobie! — rzekł Brotteaux.

— Nie, nie, obywatelu, nie. To człowiek, co nie żartuje. Powiedział, że w tych małych figurkach chytrze skarykaturowane jest przedstawicielstwo narodowe, że mianowicie poznać można karykatury Couthona, Saint-Justa i Robespierre'a. Zabrał te sztuki. To strata dla mnie, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie, na jakie jestem wystawiony.

— Co! Te Arlekiny, Scaramouche, Guilles, te Coliny i Coletty, które malowałem tak, jak malował je Boucher przed pięćdziesięciu laty, miałyby być karykaturami Couthona i Saint-Justa? Nikt rozsądny nie będzie tego utrzymywał!

— Być może — odrzekł obywatel Caillou — że działałeś bez złej woli, choć nigdy nie należy dowierzać tak rozumnemu jak ty człowiekowi. Ale gra jest niebezpieczna. Dam ci zaraz przykład. Natoile, utrzymujący mały teatrzyk na Polach Elizejskich, został aresztowany wczoraj za nieprawomyślność, bo kazał poliszynełowi przedstawiać Konwent.

— Jeszcze jeden cios — rzekł Brotteaux unosząc płachtę pokrywającą jego małych wisielców. — Przypatrz się tym maskom i twarzom, czyż są one inne niż twarze figur z komedii lub sielanki? Jak mogłeś dać sobie wmówić, obywatelu, że przedstawiam tu Konwent Narodowy?!

Brotteaux był zdziwiony. Choć dużo przypisywał głupocie ludzkiej, nie sądził jednak, by

mogła kiedykolwiek rzucić podejrzenie na jego Arlekinów i Colinetty. Zapewniał więc o ich i swojej niewinności. Ale obywatel Caillou nic słyszeć nie chciał.

— Obywatelu Brotteaux, zabierz swoje pajace. Szanuję cię, poważam, ale nie chcę ani narażać się na naganę, ani na kłopoty z twojej przyczyny. Szanuję prawo. Chcę pozostać dobrym obywatelem i za dobrego obywatela być uważanym. Dobranoc, obywatelu Brotteaux; zabierz swoje pajace.

Stary Brotteaux poszedł do domu, niosąc swoich podejrzanych jegomościów na końcu długiej tyki; śmiały się zeń dzieci uliczne, biorąc go za tępicieła szczurów. Myśli jego były smutne. Bez wątpienia, pajace nie stanowiły jedyne go utrzymania: malował też portrety po pięć franków sztuka pod bramami domów i w beczce w Halach, w towarzystwie lataczek odzieży; wielu młody chłopców, idąc do wojska, chciało zostawić swe portrety kochankom. Ale te drobne roboty kosztowały go wiele trudu i robił je o wiele gorzej niż pajace. Czasem służył za sekretarza przekupkom z Hal, ale to było już mieszanie się do spisków rojalistycznych i ryzyko było wielkie. Przypomniiał sobie, że na ulicy Neuve-des-Petits-Champs, blisko dawnego placu Vendôme, jest inny sklep z zabawkami, niejakiego Joly, i postanowił nazajutrz ofiarować mu towar, którego tchórzliwy Caillou przyjąć nie chciał.

Zaczął padać drobny deszcz. Brotteaux z obawy, aby nie zniszczyły się pajace, przyspieszył kroku. Przechodził właśnie przez Pont-Neuf, ciemny i pusty, i skręcał na plac Thionville, gdy przy świetle latarni ujrzał siedzącego na przydrożnym słupku chudego starca, który choć wycieńczony zmęczeniem i głodem, wyglądał czcigodnie. Ubrany był w długi, podarty surdut duchownego kroju; był bez kapelusza i wyglądał na lat przeszło sześćdziesiąt.

Zbliżywszy się do tego biedaka, Brorteaux poznał w nim ojca Ludwika de Longuemare, którego przed sześciu miesiącami ocalił od stryczka, gdy obaj stali w rzędzie przed piekarnią na ulicy Jerozolimskiej. Czując się przez raz już wyświadczoną przysługę zobowiązanym względem tego duchownego, Brotteaux zbliżył się doń i przypomniał mu się jako ów finansista, który znalazł się raz obok niego w tłumie hołoty pewnego dnia wielkiego głodu, i zapytał, czy może mu być w czymś użyteczny.

— Wydajesz się znużony, mój ojczy. Weź kroplę tego kordiału.

I Brotteaux z kieszeni swego brązowego fraka wyciągnął małą flaszczkę wódki, którą nosił tam obok ulubionego Lukrecjusza.

— Wypij! Pomogę ci wrócić do domu. Ojciec Longuemare odsunął ręką flaszkę i próbował wstać. Ale zaraz opadł na swoje miejsce.

— Panie — rzekł słabym, lecz pewnym głosem — od trzech miesięcy mieszkałem w Picpus. Uprzedzony, że wczoraj o piątej rano mieli przyjść aresztować mnie w domu, nie wróciłem już do swego mieszkania. Nie mam schronienia, błąkam się po ulicach i jestem trochę

zmęczony.

— A więc, ojcie — rzekł Brotteaux — zrób mi ten zaszczyt i zamieszkać ze mną na moim poddaszu.

— Panie — rzekł barnabita — słyszysz przecież, że jestem podejrzany.

— Ja jestem nim również — rzekł Brotteaux — i moje pajace także, co jest o wiele gorsze. Widzisz je oto pod tą cienką płachtą, wystawione na deszcz, który i nas przenika. Bo widzisz, mój ojcie, że ja, niegdyś bogacz, teraz, aby żyć, wyrabiam pajace.

Ojciec Longuemare wziął rękę, którą wyciągnął doń były finansista, i przyjął ofiarowaną gościnnie. Brotteaux na poddaszu podał mu chleb, ser i wino, które chłodził w rynnie; był bowiem sybarytą.

— Panie — rzekł ojciec Longuemare zaspokoiwszy głód — muszę opowiedzieć ci okoliczności, które spowodowały moją ucieczkę i rzuciły mnie ledwie żywego na miejsce, gdzie mnie znalazłeś. Wygnany z mego klasztoru, żyłem z mizernej pensji, jaką wyznaczyło mi Zgromadzenie; dawałem lekcje łaciny i matematyki, pisałem broszury o prześladowaniu Kościoła we Francji. Napisałem nawet obszerniejsze dzieło dla wykazania, że konstytucyjna przysięga przeciwna jest przepisom kościelnym. Postępy Rewolucji odebrały mi wszystkich uczniów; wyznaczonej mi pensji nie mogłem pobierać z braku świadectwa prawomyślności. Po to świadectwo poszedłem do Ratusza, przeświadczony, że na to zasługuję. Członek reguły ustanowionej przez samego apostoła Pawła, który szczyił się tytułem obywatela rzymskiego, pochlebiałem sobie, że idę za jego przykładem jako dobry obywatel francuski, szanujący wszystkie prawa ludzkie, o ile nie są sprzeczne z prawami boskimi. Przedstawiłem moje życzenia panu Colin, masarzowi i urzędnikowi municypalnemu, wyznaczonemu do wydawania tego rodzaju świadectw. Zapytał mnie o stan mój. Odrzekłem, że jestem księdzem; następnie zapytał, czy jestem żonaty, a na moją przeczącą odpowiedź oświadczył, że tym gorzej dla mnie. Wreszcie po rozmaitych pytaniach chciał jeszcze wiedzieć, czy dowiodłem prawomyślności w dniach 10 sierpnia, 2 września i 31 maja. Świadectwa, dodał, wydaje się tylko tym, którzy postępowaniem swoim dowiedli prawomyślności w tych trzech okolicznościach. Nie mogłem dać mu zadowalającej odpowiedzi. Zapisał jednak mój adres i nazwisko i obiecał, że prędko przeprowadzi śledztwo w mojej sprawie. Dotrzymał słowa, a rezultatem tego było, że dwaj komisarze Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego w Picpus w towarzystwie siły zbrojnej zjawili się w .moim mieszkaniu podczas mej nieobecności, aby wtrącić mnie do więzienia. Nie wiem, o jaką oskarżają mnie zbrodnię. Ale przyzna pan, że należy ubolewać nad panem Colin, którego umysł jest tak dalece zamroczony, że może duchownemu za zarzut poczytać, iż nie dowiódł swej prawomyślności w dniu 10 sierpnia, 2 września i 31 maja! Człowiek zdolny do takiej myśli godzien jest litości.



— Ja także nie mam świadectwa prawomyślności — rzekł Brotteaux — obaj jesteśmy podejrzani. Ale jesteś zmęczony, mój ojczy, połóż się. Jutro pomyślimy o twym bezpieczeństwie.

Dał gościowi materac, sobie zachował siennik, ale ksiądz przez pokorę tak usilnie nalegał o siennik, że trzeba go było zadowolić, inaczej byłby się na gołych deskach położył.

Skończywszy te przygotowania, Brotteaux zdmuchnął świecę przez oszczędność i ostrożność.

— Panie — rzekł ksiądz — uznaję i cenię, co czynisz dla mnie, ale niestety! niewiele ci przyjdzie z mej wdzięczności. Oby ci to Bóg za zasługę poczytał! To byłoby dla ciebie rzeczą wielkiego znaczenia. Ale Bóg nie bierze w rachubę tego, co nie było zrobione dla Jego chwały, co jest tylko wynikiem cnoty czysto przyrodzonej. Dlatego błagam cię, panie, byś uczynił dla Niego to, co chciałeś uczynić dla mnie.

— Mój ojczy — odrzekł Brotteaux — nie troszcz się, proszę, i nie bądź mi wdzięcznym wcale. Przeceniasz mój postępek. Tego, co robię w tej chwili, nie robię z miłości dla ciebie, bo wreszcie, choć miłym jesteś człowiekiem, mój ojczy, za mało cię znam, bym mógł cię kochać. Nie robię też tego

z umiłowania ludzkości, bo nie jestem tak głupi jak Don Juan, żeby sądzić jak on, że ludzkość ma pewne należne jej prawa. Przesąd ten u tak wyzwolonego umysłu martwi mnie srodze!

Robię to przez egoizm, który dyktuje człowiekowi wszystkie poświęcenia i czyny szlachetne, każe mu w każdym nieszczęśliwym poznawać siebie, w niedoli innych skłania go do ubolewania nad własną niedolą i każe nieść pomoc bliźniemu, któremu dopomagając, ma złudzenie, że dopomaga samemu sobie. Czynię to też z nudów, bo życie nasze jest tak dalece pozbawione smaku, iż potrzeba nam rozrywki za wszelką cenę; dobroczynność jest wprawdzie rozrywką mdłą, ale w braku smaczniejszej trzeba się nią zadowolić. Czynię to też z dumy, aby mieć wyższość nad tobą; czynię to wreszcie, aby ci pokazać, do czego zdolny jest ateusz.

— Nie oczerniaj się pan — odrzekł ojciec Longuemare. — Bóg dał mi więcej łask, niż udzielił ich tobie do tej pory, ale jestem mniej wart od ciebie i stoję o wiele niżej pod względem cnót przyrodzonych. Pozwól mi jednak mieć w czymś wyższość nad tobą. Nie znając mnie, nie możesz mnie miłować. A ja, mój panie, nie znając cię, miłuję cię więcej niż samego siebie. Bóg mi to nakazuje.

Co rzekłszy, ojciec Longuemare ukląkł na podłodze. Zmówiwszy pacierze, położył się na swym sienniku i usnął snem głębokim.

### XIII

Ewaryst Gamelin zasiadł w Trybunale Rewolucyjnym po raz wtóry. Przed otwarciem

rozprawy rozmawiał z kolegami o nadeszłych z rana wieściach. Wieści te były niepewne i fałszywe; ale już te, które za pewnik wziąć było można, były straszne. Wanda zwycięska, Lyon zbuntowany, Tulon wydany Anglikom, którzy wysadzili tam czternaście tysięcy ludzi. Dla sędziów były to nie tylko zdarzenia interesujące świat cały, ale wprost sprawy domowe. Pewni zguby, jeśli zginie ojczyzna, robili z ocalenia publicznego sprawę własną. Interes narodu, z ich własnym interesem złączony, kierował ich uczuciami, namiętnościami, postępowaniem.

Gamelin na swej ławie otrzymał list od Truberta, sekretarza Komitetu Obrony; było to zawiadomienie o nominacji na komisarza, kierującego rozdziałem prochów i saletry. Przekopiesz wszystkie piwnice sekcji, by z nich otrzymać substancje potrzebne do fabrykacji prochu. Nieprzyjaciel może jutro będzie pod murami Paryża : trzeba, by ziemia naszej ojczyzny dostarczyła nam piorunów, które ciskać będziemy na jej ciemnych. Załączam ci przy niniejszym instrukcję Konwentu co do obchodzenia się z saletrą. Pozdrowienie i braterstwo.

W tej chwili wprowadzono oskarżonego. Był to jeden z ostatnio zwyciężonych generałów, których Konwent stawiał przed kratki sądowe, jeden z najmniej znanych. Na jego widok Gamelin zadrzał; zdało mu się, że widzi tego samego wojskowego, którego procesowi i skazaniu na śmierć przysłuchiwał się przed trzema tygodniami, zmieszany z tłumem publiczności. Był to ten sam człowiek z miną upartą i ograniczoną i sprawa była taka sama. Odpowiadał w sposób brutalny i nieszczerzy, co psuło jego najlepsze odpowiedzi. Jego wybiegi, wykręty, obarczanie odpowiedzialnością podwładnych kazały zapominać, że spełnia chlubne zadanie, broni swej czci i życia. W tej sprawie wszystko było sporne i niejasne — położenie obu armii, liczba siły zbrojnej, ilość amunicji, wydawane i odbierane rozkazy, ruchy wojsk — nic nie było jasne i pewne. Nikt nic nie rozumiał z tych operacyj bezładnych, nierozumnych, bezcelowych, które doprowadziły do porażki — nikt, zarówno obrońca i sam oskarżony, jak oskarżyciel, sędziowie i przysięgli, i rzecz dziwna, nikt nie chciał się przyznać do tego ani przed sobą samym, ani przed innymi. Sędziowie układali plany, dyskutowali nad taktyką wojenną i strategią: oskarżony zdradzał przyrodzoną skłonność do pieniactwa. Dyskutowano bez końca. A Gamelin podczas tych rozpraw widział, jak na uciążliwych drogach północną część kraju wozy z amunicją grzęzną po osie, armaty powywracane są do rowów i jak po wszystkich ścieżkach bezładnie uchodzą zwyciężone pułki, podczas gdy nieprzyjacielska konnica wynurza się z opuszczonych wąwozów. I słyszał, jak z tej zdradzonej armii bije ogromny okrzyk oskarżający generała. Ku końcowi rozprawy cienie zaległy już salę i niewyraźna twarz popiersia Marata jawiła się, jak widmo, nad głową prezesa sądu. Przysięgli, wezwani do wypowiedzenia się, byli różnego zdania. Gamelin głosem

głuchym, zduszonym, lecz stanowczym oświadczył, że oskarżony winien jest zdrady Republiki; szept zadowolenia wyszły z tłumu był dlań nagrodą jego młodej, niezłomnej cnoty.

Wyrok odczytano przy pochodniach; ich trupi blask drżał na zapadłych skroniach skazańca, pokrytych grubymi kroplami potu. Przy wyjściu, na schodach, rojących się od kobiet w trójkolorowych kokardach, Gamelina, którego nazwisko już znane w sądzie szeptano sobie na ucho, zaczepił tłum kobiet, stale przysłuchujących się rozprawom; zaciskając pięści, żądały odeń głowy Austriaczki.

Nazajutrz Gamelin miał rozstrzygać los biednej kobiety, wdowy Meyrion, roznosicielki chleba. Chodziła po ulicach, popychając ręczny wózek, i nacięciami na przywieszanej u pasa deseczce znaczyła ilość dostarczonego chleba. Zarabiała czterdzieści centymów dziennie. Zastępca oskarżyciela publicznego nadzwyczaj gwałtownie oskarżał tę nieszczęśliwą. Miała ona kilkakrotnie zawołać „Niech żyje król!“, w domach, gdzie codziennie dostawiała chleb, wypowiadała opinie antyrewolucyjne i nieobcą miała być spiskowi, którego celem było ułatwienie ucieczki wdowie Capet. Zapytana przez sędziego, przyznała się do zarzuconych jej czynów, i czy z głupoty, czy z fanatyzmu okazała tak gorące uczucia rojalistyczne, że zgubiła się sama.

W Trybunale Rewolucyjnym triumfowała równość; był on jednak surowy dla tragarzy i służących, jak dla arystokratów i finansistów. Gamelin nie rozumiał, jak mogłoby być inaczej pod rządem ludowym. Uważał, że obelżywym i obrażającym byłoby wyłączyć lud od kaźni; znaczyłoby to, że nie uważa się ludu za godny kary. Gilotyna pozostawiona tylko dla arystokratów i finansistów byłaby rodzajem niesłusznego przywileju. Gamelin wyrabiać sobie zaczynał o karze pojęcie religijne i mistyczne; przypisywał karze tylko jej właściwą wartość i zasługę. Sądził, że winno się karę zbrodniarzom, że pozbawić ich kary jest to wyrządzić im krzywdę.

Wdowę Meyrion uznał za winną i godną kary śmierci; żałował tylko, że nie ma przy niej tych fanatyków, winniejszych od niej, którzy ją zgubili. Chciał, by i oni los jej dzielili.

Ewaryst uczęszczał prawie co wieczór na posiedzenia jakobinów, zbierających się w dawniejszej kaplicy dominikanów, powszechnie jakobinami zwanych, na ulicy Honoré. Na dziedzińcu, na którym wznosiło się drzewo Wolności — topola o wiecznie szeleszczących liściach — stała kaplica w prostym, ubogim stylu, z ciężkim dachem z cegieł. Jej goła, bez ozdób fasada z przebitym w dachu oknem i sklepionym wejściem, nad którym powiewała chorągiew o barwach narodowych, kończyła się u szczytu czapką Wolności. Jakobini, tak jak kordelierzy i feuillanci, przejęli nazwę i siedzibę rozproszonych mnichów. Gamelin, dawniej często chodzący do kordelierów, nie zastał u jakobinów sabotów, karmanioli i krzyków

dantonistów. W klubie Robespierre'a panowała przezorność administracyjna i powaga mieszczańska. Odkąd nie stało Przyjaciela Ludu, Ewaryst szedł za naukami Maksymiliana, którego myśl górowała u jakobinów i stamtąd, przez tysiące stowarzyszeń, wyznających te same poglądy, rozciągała się na całą Francję. Podczas czytania aktów Gamelin wodził wzrokiem po gołych i smutnych murach, które przytulały były duchowych synów wielkich inkwizytorów herezji, a teraz spoglądały na gorliwych inkwizytorów zbrodni przeciw ojczyźnie.

Stąd bez okazałości, tylko słowem samym wykonywała się władza Państwa. Rządziła miastem, krajem, dyktowała dekrety Konwentowi.. Ci twórcy nowego porządku rzeczy tak szanowali prawo, że pozostali rojalistami do roku 91 i przez uparte przywiązanie do konstytucji chcieli być nimi jeszcze po powrocie z Varennes. Zwolennicy ustanowionego ładu, nawet po rzeziach na Polu Marsowym nie zbuntowani nigdy przeciw Rewolucji, obcy ruchom ludowym, żywili w swych posepnych i potężnych duszach miłość ojczyzny, która stworzyła była czternaście armii i wzniosła gilotynę. Ewaryst podziwiał w nich czujność, ducha podejrzliwości, myśl dogmatyczną, zamiłowanie do reguły, sztukę dowodzenia, mądrość wszechwładną. Wśród publiczności słychać było zgodny i jednostajny szum, jak gdyby szum liści na drzewie Wolności, stojącym u progu.

Dnia tego, dnia 11 vendemiaire'a, człowiek młody, o czole w tył podanym, przenikliwym spojrzeniu, spiczastym nosie, ostrym podbródku, twarzy ospowatej i zimnej, wolno wszedł na trybunę. Włosy miał upudrowane na białą i ubrany był w niebieski frak, wcięty w tali. Jego sztywne postawa i odmierzone ruchy czyniły go, według zdania szyderców, podobnym do nauczyciela tańca; inni dawali mu miano „Orfeusza francuskiego“.

Robespierre, głosem dobitnym wymownie przemówił przeciwko nieprzyjaciołom Republiki. Straszny, metafizycznymi argumentami godził w Brissota i jego współników. Mówił długo, obficie, harmonijnie. Uniesiony w niebiańskie sfery filozofii, ciskał gromy na spiskowców, pełzających po ziemi.

Ewaryst słuchał i rozumiał. Dotąd oskarżał Żyrondę, że gotuje przywrócenie monarchii lub triumf frakcji Orleańskiej i zamyśla zgubę bohaterskiego miasta, które wyzwoliło Francję i wyzwoli kiedyś świat cały. Teraz, za głosem mędrca, odnajdywał wyższe i czystsze prawdy, pojmował metafizykę rewolucyjną, a ta unosiła jego umysł ponad grube przypadkowości, ponad omyłki zmysłów, w sferę pewności absolutnych. Rzeczy same przez się są różnorodne i pełne zamieszania; w złożoności faktów trudno się odnaleźć. Robespierre objaśniał mu i przedstawiał zło i dobro w prostych i jasnych formułach. Federalizm a nierozdzielność. W jedności i nierozdzielności było zbawienie, w federalizmie — zguba. Gamelin doświadczał głębokiej radości wyznawcy, który zna słowo, co zbawia, i słowo, co gubi. Odtąd Trybunał

Rewolucyjny, jak dawniej sądy duchowne, znać będzie zbrodnię absolutną, zbrodnię istotną. A ponieważ miał ducha religijnego, Ewaryst przyjmował te objawienia z ponurym entuzjazmem; serce jego płonęło i radowało się na myśl, że odtąd posiada symbol dla rozpoznania zbrodni i niewinności. Wy starczyście za wszystko, wy, skarby wiary!

Mędrzec Maksymilian wyjaśnił Ewarystowi chytre zamiary tych, co chcieli zrównać majątki i rozdzielić ziemię, znieść bogactwo i ubóstwo, by dla wszystkich ustanowić szczęśliwą mierność. Złudzony ich poglądami, z początku pochwalał te zamysły, które zdały mu się zgodne z zasadami prawdziwie republikańskimi. Ale Robespierre swymi przemówieniami u jakobinów odkrył mu ich szkodliwe zabiegi i przekonał go, że ci ludzie, których zamiary wydawały się tak czyste, zmierzają do obalenia Republiki i alarmują bogaczy, ażeby prawowitej władzy przysporzyć potężnych i nieubłaganych wrogów. Istotnie, skoro tylko zagrożona została własność, cała ludność, tym więcej do dóbr swych przywiązana, im mniej ich posiadała, gwałtownie zwróciła się przeciw Republice. Zakłócać interesy jednostek znaczy spiskować. Ci, co pod pozorem zaprowadzenia sprawiedliwości i powszechnego szczęścia za rzecz godną wysiłku obywateli podają równość i wspólność dóbr, są zdrajcami i zbrodniarzami stokroć niebezpieczniejszymi niż federaliści.

Ale najważniejszym odkryciem, jakie przyniosła Ewarystowi mądrość Robespierre'a, było poznanie nikczemności i zbrodniczości ateizmu. Gamelin nie zaprzeczał nigdy istnienia Boga; był deistą i wierzył w Opatrzność, czuwającą nad ludźmi. Przyznawał się jednak przed sobą, że bardzo niejasno rozumie Istotę Najwyższą, a że cenił przy tym wolność sumienia, więc godził się chętnie z tym, że ludzie porządni, za przykładem La Mettrie, Boulangera, barona Holbacha, Lalande'a, Helvetiusa, obywatela Dupuis, mogą nie uznawać Boga — pod warunkiem, że zastąpią go moralnością przyrodzoną i w sobie odnajdą źródła sprawiedliwości i reguły cnotliwego życia. Sympatyzował nawet z ateistami, gdy ich prześladowano i lżono. Maksymilian oświecił go i otworzył mu oczy. Cnotliwą swą wymową wielki ten człowiek wykazał mu istotny charakter ateizmu, jego istotę, zamiary, skutki; przekonał go, że ta doktryna, powstała w salonach i buduarach arystokracji, jest najchytrzejszym pomysłem, jaki wynaleźli wrogowie ludu, by lud ten zdemoralizować i podwładnym uczynić; że zbrodnią jest nieszczęśliwemu odebrać kojącą myśl o Opatrzności wynagradzającej krzywdy i rzucać go bez przewodnika ani hamulca na pastwę namiętności, które poniżają człowieka i robią zeń niewolnika, że wreszcie monarchiczny epikureizm takiego Helvetiusa prowadzi do niemoralności, do okrucieństwa, do wszelkich zbrodni. I odkąd nauki wielkiego obywatela pouczyły go, Ewaryst nienawidził ateuszów, zwłaszcza jeśli, jak Brotteaux, głosili swój ateizm z sercem szczerym i radosnym.

W dniach następnych Ewaryst sądził po kolei byłego arystokratę, posądzonego o zniszczenie

zboża w chęci zagłodzenia ludu, trzech emigrantów, którzy powrócili, aby podburzać do wojny domowej we Francji, dwie dziewczyny z Palais-Egalite, czternastu spiskowców bretońskich — sędził kobiety, starców, młodzieniaszków, panów i służących. Wina była dowiedziona, prawo formalne. Wśród oskarżonych była kobieta dwudziestoletnia, zdobna całym wdziękiem młodości, cudna pod otaczającymi ją już cieniami bliskiego zgonu. Niebieska wstążka podtrzymywała jej złote włosy; batystowa, skrzyżowana na piersiach chusteczka odsłaniała szyję białą i gibką.

Ewaryst ciągle głosował za śmiercią i wszystkich oskarżonych, z wyjątkiem starego ogrodnika, posłano na rusztowanie...

Następnego tygodnia Ewaryst i jego sekcja skosili czterdziestu pięciu mężczyzn i osiemnaście kobiet.

Sędziowie Trybunału Rewolucyjnego nie robili różnicy między mężczyznami a kobietami, idąc w tym za zasadą tak starą jak sprawiedliwość sama. I choć prezes Montane, wzruszony odwagą i pięknnością Karoliny Corday, próbował ocalić ją naruszając procedurę, za co stracił urząd — kobiety były najczęściej badane bez żadnych względów, według reguły wspólnej dla wszystkich sądów. Przysięgli obawiali się kobiet, wystrzegali się ich podstępów, łatwości udawania, ich sposobów czarowania i jednania sobie przychylności. Dorównując mężczyznom w odwadze, tym samym zmuszały Trybunał, by traktował je jak mężczyzn. Większość ich sędziów, ludzie średnio zmysłowi lub zmysłowi tylko chwilowo, bynajmniej nie byli tym zmieszani. Skazywali lub uniewinniali kobiety według swego sumienia, przesądów, gorliwości, według mniej lub więcej silnego ukochania Republiki. Prawie wszystkie stawały przed sądem starannie uczesane i ubrane z wytwornością, na jaką pozwalało ich nieszczęśliwe położenie. Ale wśród nich niewiele było młodych, jeszcze mniej ładnych. Więzienie i troska kaziły ich rysy, jaskrawe światło sali zdradzało znużenie i niepokój, zaznaczało siność powiek, złą cerę, zaciśnięte białe wargi. Zdarzało się jednak, że na fatalnym fotelu zasiadła jakaś kobieta młoda, piękna w swej bladości, ze spojrzeniem zmaconym już cieniami śmierci, niby zamgleniem rozkoszy. Że na ten widok niejednen z przysięgłych wzruszył się lub zmieszał, że w tajnikach swych znieprawionych zmysłów przenikał najskrytsze wdzięki i czar tej istoty, którą wyobrażał sobie jednocześnie żywą i umarłą, że snując obrazy rozkoszne i krwawe nie umiał oprzeć się strasznej żądzy wydania tego .tak pożądanego ciała w ręce kata — są to rzeczy, które może zamilczeć trzeba, ale którym, znając mężczyzn, zaprzeczyć nie można. Ewaryst Gamelin, artysta uczony i chłodny, uznawał tylko piękno starożytne; piękność wzbudzała w nim więcej szacunku niż wzruszenia. Jego gust klasyczny był tak surowy, że rzadko która kobieta odpowiadała jego pojęciom piękna. Był równie nieczuły na wdzięk ładnej twarzy, jak na koloryt Fragonarda lub kształty

Bouchera. Nie znalazł pożądaną inaczej, jak w prawdziwej miłości.

Jak większość jego kolegów w Trybunale, uważał kobiety za niebezpieczniejsze od mężczyzn. Nienawidził byłych księżniczek, które w snach pełnych zgrozy wyobrażał sobie, jak wspólnie z Elżbietą i Austriaczką przygotowują kule dla patriotów; nienawidził tych wszystkich pięknych kochanek filozofów i literatów za to, że używały rozkoszy zmysłów i ducha i żyły w czasach, w których słodko było żyć. Nienawidził ich, nie zdając sobie sprawy z tej nienawiści, i jeśli zdarzało mu się sądzić którą z nich, skazywał ją przez żal, jaki miał do niej, lecz przekonany był, że skazuje sprawiedliwie, dla dobra ogólnego. I uczciwość jego, czystość męska, zimny rozum, poświęcenie dla państwa, jednym słowem cnoty jego słały pod topór gilotyny dziesiątki głów.

Ale cóż znaczy ten oto fakt dziwny?! Niedawno jeszcze trzeba było szukać winnych, wynajdywać ich w ich kryjówkach wyciągać z nich przyznanie się do zbrodni. Teraz nie była to już nagonka ze sforą wyżłów, pogoń za bojaźliwą zdobyczą: oto zewsząd ofiary zgłaszają się same. Szlachta, dziewice, żołnierze, prostytutki rzucają się na Trybunał, wydzierają sędziom zbyt powolne wyroki, żądają śmierci jako prawa, z którego pilno im korzystać. Nie dość tych tłumów, którymi gorliwość denuncjantów zapełniła więzienia, a oskarżyciel publiczny i jego pomocnicy aż do wyczerpania sił wywołują przed kratki — trzeba jeszcze kazać na zaspokojenie tych, co nie chcą czekać. A tylu jest jeszcze innych, dumniejszych, którym jeszcze spieszej, tak że nie czekając śmierci od sędziów i kata, własnymi rękami kładą kres swemu życiu! Szałowi zabijania odpowiada szal umierania. Oto w Conciergerie młody wojskowy, piękny, dzielny, kochany, idąc na sąd, zostawia w więzieniu uroczą kochankę, która żegna go słowami: „Żyj dla mnie!”. Ale on żyć nie chce ani dla niej, ani dla miłości, ani dla sławy. Aktem oskarżenia zapala sobie fajkę. Najszczęśliwych przekonanych republikanin, z sercem dla wolności bijącym, podaje się za rojalistę, aby umrzeć. Trybunał usiłuje go uwolnić, ale oskarżony jest silniejszy i przysięgli zmuszeni są ustąpić.

Umysł Ewarysta, z natury skrupulatny i niespokojny, wskutek nauk słuchanych u jakobinów i głębszego poznania życia stawał się coraz bardziej podejrzliwy i trwożny. Gdy w nocy przez źle oświetlone ulice szedł do Elodii, zdawało mu się, że za każdym okienkiem podziemia widzi piwnicę, w której wyrabiają fałszywe asygnaty; w głębi pustego sklepu piekarza lub kupca korzennego odgadywał magazyn ukrywanej żywności; zza błyszczących szyb restauracyj słyszał spekulantów, jak opróżniając butelki win Chablis i Beaune, radzą nad ruiną i zniszczeniem kraju. W podejrzanych zaułkach zdało mu się, że widzi, jak prostytutki zrywają i depcą trójkolorowe kokardy narodowe przy oklaskach eleganckiej młodzieży; wszędzie widział tylko zdrajców i spiskowców. I dumał smutny: „Republiko, przeciwko tylu wrogom jawnym i ukrytym masz tylko jeden ratunek! Święta gilotyno, ratuj ojczyznę!...”

Elodia czekała nań w małym białym pokoiku, nad składem rycin pod godłem „Miłość malarzem“. Na znak, że wejść może bezpiecznie, Elodia stawiała na gzymsie okna zieloną polewaczkę obok doniczki goździków. Teraz Ewaryst przejmował ją zgrozą, widziała w nim potwora; bała się go i uwielbiała jednocześnie. Całą noc namiętnie do siebie przytuleni, krwawy kochanek i rozkoszna dziewczyna, w milczeniu, w szale pocałunków szukali zapomnienia.

#### XIV

Wstawszy o świcie, ojciec Longuemare zamiótł pokój i udał się na mszę do kaplicy przy ulicy de l'Enfer, mszę odprawianą przez nie zaprzysiężonego księdza. W Paryżu było kilka tysięcy podobnych schronisk, w których odporne duchowieństwo cichaczem zbierało małe gromadki wiernych. Policja sekcji, chociaż czujna i podejrzliwa, zamykała oczy na te schronienia, po części aby nie jętrzyć owieczek, po części przez resztki czci dla rzeczy świętych. Barnabita pożegnał się ze swym gospodarzem, który ledwie skłonił go, by na obiad powrócił, przyrzeczeniem, że wikt nie będzie ani obfity, ani wytworny.

Brotteaux został sam; rozpalił ogień na małym ceglany kominie i, przyrządzając obiad duchownego i epikurejczyka, odczytywał Lukrecjusza i medytował nad położeniem ludzi. Mędrzec ten nie dziwił się wcale, że mizerne istoty, próżne igraszki sił przyrody, najczęściej są w trudnym i głupim położeniu; ale miał słabość sądzić, że rewolucjoniści są gorsi i głępsi od innych ludzi, i tu popadał w ideologię. Zresztą nie był pesymistą i nie uważał, by życie było zupełnie złe. Podziwiał przyrodę w kilku jej działach, specjalnie w mechanice niebieskiej i w miłości fizycznej, i zadowalał się tym, co daje życie, czekając bliskiego dnia, gdy nie będzie już znał ani obaw, ani pragnień.

Uważnie pomalował kilka pajaców i zrobił Zerlinę podobną do Róży Thevenin. Ta dziewczyna podobała mu się i epikureizm jego pochwalał ład składających ją atomów. Wśród tych zajęć doczekał się powrotu barnabity.

— Mój ojcie — rzekł otwierając mu drzwi — powiedziałem ci, że nasz obiad nie będzie suty. Mamy tylko kasztany, i to nieszczególnie przyprawione.

— Kasztany — zawołał ojciec Longuemare z uśmiechem — nie ma lepszej potrawy! Mój ojciec, kochany panie, był ubogim szlachcicem z okolicy Limoges, a całym jego majątkiem był walący się gołębnik, zapuszczony ogród warzywny i kilka drzew kasztanowych. Żył się on sam, jego żona i dwanaścioro dzieci wielkimi zielonymi kasztanami, a przecież byliśmy zdrowi i silni. Ja byłem najmłodszy i najżywszy; ojciec żartem mawiał, że należałoby posłać mnie do Ameryki, na flibustiera... Ach, mój panie, jak dobrze pachnie ta zupa z kasztanów! Przypomina mi ona stół uwieńczony dziećmi, przy którym uśmiechała się moja matka...



Posiliwszy się, Brotteaux udał się do obywatela Joly, handlarza zabawek przy ulicy Neuve-des-Petits-Champs, który nie tylko wziął odrzucone przez obywatela Caillou pajace, lecz obstalował nie dwanaście tuzinów, jak tamten, ale dwadzieścia cztery tuziny na początek. Dochodząc do dawniejszej ulicy Royale, Brotteaux ujrzał na placu Rewolucji błyszczący trójkąt stalowy między dwoma drewnianymi słupami: była to gilotyna. Wielki i wesoły tłum ciekawych cisnął się około rusztowania, czekając na przyjazd pełnych wozów ze skazańcami. Kobiety z przewieszonymi koszami obwoływały pierniki i ciastka na sprzedaż, handlarz chłodzących napojów pobrzękiwał dzwonkiem; u stóp posągu Wolności staruszek jakiś pokazywał obrazy optyczne w małym teatrzyku, nad którym na huśtawce kołysała się małpa. Pod rusztowaniem psy lizały krew wczorajszą...

Brotteaux zawróci! ku ulicy Honoré. Powróciwszy do swego poddasza, gdzie barnabita czytał brewiarz, Brotteaux starannie wytarł stół, postawił na nim pudełko farb, narzędzia i materiały swego rzemiosła.

— Mój ojciec — rzekł — jeśli zajęcie moje nie wydaje ci się niegodne twego świętego stanu duchownego, pomóż mi, proszę, wyrabiać pajace. Jegomość Joly dał mi dziś rano duży obstalunek. Podczas gdy malować będę już wykrojone figury, ty zrobisz mi wielką przysługę wykrawając głowy, ręce, nogi i tułowie według tych oto wzorów. Lepszych szukałbyś daremnie, są one bowiem zrobione według rysunków Watteau i Bouchera.

— Istotnie — rzekł ojciec Longuemare — sądzę, że Watteau i Boucher zdolni byli stwarzać takie fraszki, i lepiej byłoby dla ich sławy, żeby przy tych niewinnych pajacach byli pozostali. Chętnie bym ci pomógł, ale obawiam się, że nie będę dość zręczny.

Ojciec Longuemare słusznie nie dowierzał swej zręczności; po kilku nieudanych próbach trzeba było przyznać, że niezdolny jest do wycinania scyzorykiem przyjemnych konturów z cienkiej tektury. Ale gdy na jego żądanie Brotteaux dał mu szpagat i igłę, bardzo zręcznie obdarza] ruchem te małe istoty, których ukształtować nie umiał, i doskonale uczył je tańca. Z przyjemnością potem próbował ich, każdemu każąc wykonywać jakieś pas gawotowe, a jeśli powodzenie uwieńczyło te starania, dobroduszny uśmiech zjawiał się na jego surowych wargach.

Raz, gdy rytmicznie pociągał za sznurek jakiegoś Scaramouche'a, rzekł:

— Mój panie, ta mała figurka przypomina mi szczególną historię. Było to w r. 1746: kończyłem wówczas nowicjat pod kierownictwem ojca Magitot; był to człowiek starszy, głębokiej wiedzy, surowych obyczajów. W owej epoce, pamiętasz pan może, pajace, przeznaczone pierwotnie dzieciom do zabawy, wywierały na kobiety, a nawet na mężczyzn starych i młodych nadzwyczajny urok; po prostu Paryż w szal wprawiały. Modne magazyny były nimi przepełnione; znajdowano je u osób na stanowiskach i nie było rzadkością, że na

spacerach i ulicach ludzie poważni wprawiali w ruch swego pajaca. Wiek, charakter, powołaniu ojca Magitot nie ustrzegły go od tej zarazy. Gdy widział, że ktoś wprawia w ruch małego tekturowego człowieka, doznawał niecierpliwego drgania w palcach, które wkrótce stało się dlań męką. Pewnego dnia, gdy w sprawie cały zakon obchodzącej poszedł do pana Chauvel, adwokata przy Parlamencie, ujrzał tam pajaca zawieszzonego przy kominku i zaledwie mógł oprzeć się pokusie pociągnięcia za sznurek. I tylko niezmierną siłą woli pokusę tę pokonał. Ale ta błaha chęćka nie opuściła go i nie dawała mu chwili spokoju. Podczas studiów, rozmyślań, modlitw w kościele, w kapitule, w konfesjonale, na kazalnicy chęć ta prześladowała go bezustannie. Po kilku dniach straszego niepokoju ojciec Magitot przedstawił ten fakt niezwykły generałowi zakonu, na szczęście chwilowo bawiącemu w Paryżu. Był to znakomity uczonec, jeden z książąt Kościoła w Mediolanie. Poradził on ojcu Magitot, by zaspokoił swoją chęćkę, niewinną w zasadzie, lecz natrętną w skutkach; jej moc bowiem poważnymi zaburzeniami zagraża duszy, tą chęćką trawionej. Za jego radą, a ściśle mówiąc, z nakazu generała, ojciec Magitot jeszcze raz poszedł do pana Chauvela, który i teraz przyjął go w swoim gabinecie. Ujrzawszy tam owego pajaca na kominku, podszedł doń szybko i poprosił gospodarza jako o łaskę, by pozwolił mu pociągnąć za sznurek. Adwokat zgodził się chętnie i przyznał się, że przygotowując swoje obrony, często każe tańczyć Scaramouche'owi (tak zwał się pajac), że w wilię jeszcze w rytm ruchów pajaca przygotował mowę w obronie kobiety niesłusznie oskarżonej o otrucie męża. Ojciec Magitot, drząc cały, pochwycił sznurek i widział, jak pod jego ręką Scaramouche rzucał się jak opętaniec pod egzorcyzmem. Tak zadowolony swój kaprys, uwolnił się od prześladowczej idei.

— Twoje opowiadanie, mój ojczy, nie dziwi mnie wcale — rzekł Brotteaux. — Zdarzają się takie manie prześladowcze. Ale nie zawsze wywołane są przez tekturowe figurki.

Ojciec Longuemare, choć był księdzem, nie mówił nigdy o religii, Brotteaux mówił o niej ciągle. Mając sympatię dla barnaby, z upodobaniem wprowadzał go w kłopot i zmieszanie zarzutami przeciw rozmaitym artykułom wiary chrześcijańskiej.

Pewnego razu, gdy wyrabiali razem Zerliny i Scaramouche, rzekł Brotteaux:

— Gdy tak rozpatruję wypadki, które zaprowadziły nas do punktu, w którym jesteśmy, nie wiem, która zaiste partia szaleńszą była w powszechnym szale, i sądzę prawie, że była nią partia dworska.

— Mój panie — rzekł ksiądz — wszyscy ludzie tracą zmysły, jak Nabuchodonozor, gdy Bóg ich opuści, ale za naszych czasów żaden człowiek nie tonął tak głęboko w niewiedzy i błędzie, jak ksiądz Fauchet, żaden nie był dla królestwa tak złowrogim jak on. Musiał Bóg być bardzo zagniewanym na Francję, skoro jej zesłał księdza Fauchet!

— Zdaje mi się, że widzieliśmy większych przestępców niż ten nieszczęsny Fauchet.

— Ksiądz Gregoire również okazał się bardzo szkodliwym.

— A Brissot, a Danton, a Marat i stu innych, cóż o nich powiesz, mój ojciec?

— To są laicy, mój panie: ludzie świeccy nie biorą na siebie takiej odpowiedzialności jak duchowni. Nic czynią złego z takiej wyżyny, ich zbrodnie nie są zbrodniami powszechnymi.

— A wasz Bóg, mój ojciec... Co powiesz o jego postępowaniu w obecnej rewolucji?

— Nie rozumiem cię, mój panie.

— Epikur mówi: Bóg albo chce przeszkodzić złemu i nie może, albo może, a nie chce, albo ani może, ani chce, albo może i chce. Jeśli chce, a nie może, jest bezsilny; jeśli może, a nie chce, jest przewrotny; jeśli ani może, ani chce, jest bezsilny i przewrotny; jeśli zaś i może, i chce, to dlaczegoż nie czyni tego, mój ojciec?...

I Brotteaux z zadowoleniem spojrział na swego towarzysza.

— Panie — odrzekł ksiądz — marna to trudność, którą tu stawiasz przede mną. Gdy badam przyczyny niedowiarstwa, zdaje mi się, że widzę mrówki, które przeciwstawiają kilka ździebeł słomy jako tamę dla spływających z gór potoków. Pozwól, bym nie dysputował z tobą; miałbym zbyt wiele racji do tego, a zbyt mało rozumu. Zresztą znajdziesz potępienie dla siebie w pracach księdza Guenee i dwudziestu innych. Powiem ci tylko, że to, co przytaczasz z Epikura, jest głupstwem, bo sądzi się Boga jak człowieka, tak jak gdyby Bóg był zobowiązany do moralności ludzkiej. Mój panie, niedowiarki, od Celsa do Bayle'a i Woltera, łudzili głupców podobnymi paradoksami.

— Widzisz, mój ojciec — rzekł Brotteaux — dokąd unosi cię twoja wiara! Nie zadowalaś się tym, że w swojej teologii widzisz wszelką prawdę, ale nadto nie chcesz widzieć żadnej zgoła w dziełach tylu wspaniałych geniuszów, którzy inaczej myśleli niż ty.

— Mylisz się zupełnie, mój panie — odrzekł ojciec Longuemare. — Przeciwnie, sądzę, że nic nie może być zupełnie fałszywe w myśli człowieczej. Ateusze stoją na najniższym stopniu poznania, ale i na tym stopniu są błyski rozumu i błyskawice prawdy; nawet tonąc w ciemnościach, człowiek jeszcze podnosi czoło, w którym Bóg złożył inteligencję: to los Lucycpera.

— A więc ja — rzekł Brotteaux — nie będę tak szlachetnym i przyznam ci się, że we wszystkich pracach teologów nie widzę ani źdźbła sensu.

Brotteaux bronił się jednak przed zarzutem napastowania religii, którą uważał za potrzebną dla ludów, tylko pragnął, aby kapłanami jej byli filozofowie, nie zaś dialektycy. Żałował, że jakobini chcą ją zastąpić przez religię młodą, chytrzejszą: przez religię wolności, równości, republiki, ojczyzny.

Zauważył był, że religie młode są najgwałtowniejsze i najokrutniejsze, a uspokajają się z wiekiem. Toteż Brotteaux pragnąłby, by zachowano katolicyzm, który pochłonął mnóstwo

ofiar w czasach, gdy był młody i silny, a teraz, ociążały brzemieniem lat, zadowala się upieczeniem czterech, pięciu heretyków na lat sto.

— Zresztą — dodał — zawsze dobrze zgadzałem się z bogożercami. Miałem kapelana w zamku des Ilettes: co niedziela odprawiano mszę, wszyscy goście moi byli na niej obecni. Filozofowie byli najwięcej skupieni, a tancerki z Opery najzarliwsze. Byłem szczęśliwy wtedy, miałem licznych przyjaciół.

— Przyjaciół — zawołał ojciec Longuemare. — Przyjaciół!... Ależ, mój panie, czy myślisz, że kochali cię wszyscy ci filozofowie i kurtyzany, którzy do tego stopnia spodlili twą duszę, że sam Bóg nie poznałby w niej jednej ze świątyń, które wznosił dla swej chwały?

Ojciec Longuemare cały tydzień przemieszkał spokojnie u byłego finansisty. Przez ten czas spełniał, o ile mógł, przepisy swego zakonu, wstawał w nocy ze swego siennika i klęcząc na gołej podłodze odmawiał przepisane modlitwy i litanie. Chociaż obaj żywili się tylko nędznymi okruchami, on zachowywał jednak post i wstrzemięźliwość. Filozof, smutny i uśmiechnięty świadek tak surowego życia, zapytał raz:

— Czy istotnie sądzisz, mój ojczy, że Bogu przyjemnie jest, iż cierpisz głód i zimno?

— Bóg sam — odrzekł mnich — dał nam przykład cierpienia.

Już osiem dni mijało, jak barnabita mieszkał na poddaszu filozofa, gdy Brotteaux o szarej godzinie wybrał się do obywatela Joly, handlarza zabawek z ulicy Nueve-des-Petits-Champs, aby zanieść mu tłumok świeżo zrobionych pajaców. Wracął uszczęśliwiony, że sprzedał wszystkie, gdy na dawnym placu de Carrousel dziewczyna w niebieskim atłasowym płaszczu na futrze, obszytym gronostajami, nieco kulejąca, rzuciła mu się w objęcia i przycisnęła się doń w sposób wspólny proszącym wszystkich czasów.

Drżała silnie, słyhać było przyśpieszone bicie jej serca. Brotteaux podziwiał, jak jest patetyczna w swej pospolitości, i jako amator teatru pomyślał, że panna Raucourt nie bez korzyści przyjrzeć by się jej mogła.

Mówiła głosem zdyszczanym i stłumionym z obawy, by nie dosłyszeli przechodnie:

— Zabierz mnie, obywatelu, ukryj mnie, przez litość!... Są w moim pokoju, na ulicy Fromenteau. Gdy wchodzili, schroniłam się u Flory, mojej sąsiadki, i wyskoczyłam oknem na ulicę, tak że skręciłam sobie nogę... Idą, chcą mnie wziąć do więzienia i wydać na śmierć... W zeszłym tygodniu skazali na śmierć Wirginię. — Brotteaux rozumiał dobrze, że mówi o delegatach Komitetu Rewolucyjnego sekcji lub o komisarzach Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego. Miasto miało wtedy cnotliwego prokuratora w osobie obywatela Chaumette, który prześladował dziewczyny publiczne jako najstraszniejsze nieprzyjaciółki Republiki. Chciał odrodzić obyczaje. Prawdę mówiąc, dziewczyny z Palais-Egalite nie były patriotkami. Żałowały dobrych, niedawno minionych czasów i nie zawsze się z tym tały. Kilka z nich już

zginęło na rusztowaniu za spiskowanie i ich los tragiczny pobudzał do współzawodnictwa inne ich towarzyszek.

Obywatel Brotteaux zapytał proszącą, za jaką winę miano ją aresztować.

Przysięgła, że nic nie wie, że nic nie zrobiła, co by na zarzut zasługiwało.

— Zatem, moja kochana — rzekł Brotteaux — nie jesteś podejrzana, więc nie masz się czego obawiać. Idź spać i daj mi pokój.

Wtedy wyznała wszystko:

— Oderwałam i rzuciłam kokardę moją i zawołałam: „Niech żyje król!“

Wówczas, trzymając ją pod ramię, zapuścił się z nią w opustoszałe już ulice.

— Nie kocham go znów, tego króla — mówiła dalej — pojmuje pan, że nie znałam go wcale i może był człowiekiem takim jak inni. Ale ci są źli. Okrutni są względem nas, biednych dziewcząt. Męczą mnie, drażnią, lżą, wszelkimi sposobami przeszkadzają mi pełnić moje rzemiosło. Ja zaś nie mam innego. Pojmuje pan, że gdybym miała inne, nie uprawiałabym tego... Czegóż oni chcą? Czepiają się maluczkich, słabych: mleczarza, węglarza, woziwody, praczki. Wtedy zadowolą się dopiero, gdy cały biedny naród mieć będą przeciwko sobie.

Spojrzał na nią: wyglądała jak dziecko. Nie bała się już. Śmiała się prawie, lekka, choć kulejąca. Zapytał ją, jak się nazywa. Odrzekła, że nazywa się Atenais i ma lat szesnaście.

Brotteaux ofiarował się zaprowadzić ją, dokąd zechce. Nie znała nikogo w Paryżu, ale miała ciotkę, służącą w Palaiseau, która chętnie przyjmie ją do siebie.

Brotteaux nagle powziął decyzję.

— Chodź, moje dziecko — rzekł.

I prowadził ją, trzymając pod ramię. Wszedłszy na swe poddasze, zastał ojca Longuemare nad brewiarzem.

Pokazał mu Atenais, którą trzymał za rękę.

— Mój ojczu, oto dziewczyna z ulicy Fromenteau; wołała „Niech żyje król!“. Policja rewolucyjna jest na jej tropie. Nie ma schronienia. Czy pozwolisz, by tu noc przepędziła?

Ojciec Longuemare zamknął brewiarz.

— Jeśli dobrze cię rozumiem — rzekł — pytasz pan, czy ta młoda dziewczyna, której równie jak mnie grozi aresztowanie, może dla swego doczesnego zbawienia spędzić noc w tym samym co ja pokoju?

— Tak, mój ojczu.

— Jakim prawem miałbym sprzeciwiać się temu? Aby obecność jej obrażać mnie miała, musiałbym być pewny, że jestem więcej wart od niej.

Ojciec Longuemare usadowił się na noc w starym zniszczonym fotelu, zapewniając, że w nim dobrze spać będzie, Atenais zajęła materac, a Brotteaux, rozciągnąwszy się na sienniku, zgasił

świecę.

Godziny i półgodziny dzwoniły na wieżach kościelnych, Brotteaux nie spał i przysłuchiwał się zmieszanim oddechom księdza i prostytutki. Księżyc, świadek dawnych jego miłostek, wstał i przesłał do poddasza srebrny promień, który oświetlił jasne włosy, złote rzęsy, cienki nos i małe, czerwone usta Atenais, śpiącej głęboko z zaciśniętymi piąstkami.

„Oto — pomyślał — jak wygląda straszny, niebezpieczny wróg Republiki“.

Gdy Atenais się przebudziła, był jasny dzień. Ksiądz już wyszedł. Brotteaux pod okienkiem w dachu czytał Lukrecjusza i z rymów muzy łacińskiej uczył się żyć bez obaw i pragnień; lecz mimo to gryzł go żal i niepokój. Otworzywszy oczy, Atenais ze zdumieniem ujrzała nad głową belkowanie poddasza. Potem przypomniała sobie wszystko; uśmiechnęła się do swego zbawcy i pieszczotliwym ruchem wyciągnęła ku niemu małe, brudne rączki.

Na wpol leżąc, wskazywała palcem stary fotel, w którym ksiądz spędził noc.

— Nie ma go?... Nie poszedł czasem wydać mnie, powiedz pan?...

— Nie, moje dziecko. Nie ma poczciwszego człowieka nad tego starego szaleńca.

Atenais zapytała, jakie jest szaleństwo tego człeczyny, a gdy Brotteaux odrzekł, że szaleństwem tym jest religia, z całą powagą zgromiła go za te słowa i oświadczyła, że ludzie bez religii gorsi są od zwierząt. Ona sama modli się żarliwie w nadziei, że Bóg przebaczy jej grzechy i w swym świętym miłosierdziu przyjmie ją do swej chwały. Potem, spostrzegłszy, że Brotteaux trzyma książkę w ręku, pomyślała, że to książka do nabożeństwa, i rzekła:

— Widzi pan przecie, że i pan odmawia modlitwy. Bóg wynagrodzi pana za to, co uczyniłeś dla mnie.

Gdy Brotteaux powiedział jej, że to nie jest książka do nabożeństwa i że napisano ją, zanim myśl o mszy powstała na świecie — Atenais przypuszczała, że jest to sennik, i zapytała, czy nie znajdzie się w niej wytłumaczenia dziwnego snu, jaki miała.

Nie umiała czytać, a ze słyszenia wiedziała tylko o książkach do nabożeństwa i o sennikach. Brotteaux odpowiedział jej, że książka ta tłumaczy tylko sen życia. Pięknej dziewczynie odpowiedź wydała się niejasna, wyrzekła się więc zrozumienia jej i zamoczyła koniuszek nosa w glinianej misce, zastępującej biednemu Brotteaux srebrne miednice, którymi posługiwał się dawniej. Potem starannie i drobiazgowo uporządkowała włosy przed odłamkiem lustra, przy którym golił się gospodarz. Z białymi, wzniesionymi nad głowę ramionami, w długich przerwach wymawiała jakieś wyrazy.

— Pan, pan był bogaty — rzekła.

— Skąd to przypuszczenie?

— Nie wiem. Ale pan był bogaty i jesteś arystokratą: jestem tego pewna.

Wyciągnęła z kieszeni mały srebrny posążek Matki Boskiej w okrągłej kapliczce, kawałek

cukru, nici, nożyczki, krzesiwo, kilka pudełek i wybrawszy z tych przedmiotów, co jej było potrzebne, zabrała się do reperowania spódnicy, rozdartej w kilku miejscach.

— Dla twego bezpieczeństwa, moje dziecko, przypnij to do czepeczka! — rzekł Brotteaux dając jej trójkolorową kokardę.

— Uczynię to chętnie — odrzekła — ale zrobię to dla pana, a nie przez miłość dla narodu.

Gdy ubrała się i przystroiła jak najstaranniej, trzymając spódniczkę w obu rękach ukłoniła się obywatelowi Brotteaux, tak jak ją nauczyli kłaniać się na wsi.

— Pańska uniżona służka.

Gotowa była wynagrodzić swego dobroczyńcę na wszelkie sposoby, ale rada była, że on tego nie żądał ani ona nie ofiarowała; zdawało jej się, że ładnie będzie tak się rozstać, zupełnie przyzwoicie. Brotteaux wcisnął jej w rękę kilka asygnat na zapłacenie kocza do Palaiseau. Była to połowa jego majątku i chociaż znany był ze szczodrości dla kobiet, z żadną jeszcze tak równo nie podzielił swego mienia.

Zapytała go o imię.

— Nazywam się Maurycy.

Z żalem otwierał jej drzwi poddasza.

— Żegnaj, Atenais! Ucałowała go.

— Panie Maurycy, gdy wspomnisz o mnie, nazywaj pan mnie Martą: to moje imię chrzestne, tym imieniem nazywano mnie we wsi... Żegnam pana i dziękuję... Najniższa służka, panie Maurycy.

## XV

Trzeba było opróżniać przepelnione więzienia, trzeba było sądzić, sądzić bez przerwy i wytchnienia. Sędziowie pod ścianami przybranymi w czerwone czapki i inne emblematy republikańskie, jak dawniej ich poprzednicy pod kwieciami lilii, zachowywali powagę i straszny spokój swych królewskich poprzedników. Oskarżyciel publiczny i jego zastępcy, wyczerpani znużeniem, strawieni bezsennością i wódką, tylko z wielkim wysiłkiem otrząsali się z przygnębienia; zły stan ich zdrowia czynił ich tragicznymi. Przysięgli, różni z pochodzenia i charakteru, jedni wykształceni, drudzy ignoranci, nikczemni lub szlachetni, łagodni lub gwałtowni, obłudni lub szczerzy, wszyscy w niebezpieczeństwie ojczyzny i Republiki czuli lub udawali, że czują, jednakże niepokoje, płonęli jednaką gorliwością — wszyscy, straszni cnotą lub lękiem, tworzyli jedną istotę, jedną głowę głuchą i gniewną, jedną duszę, jedno zwierzę mistyczne, które naturalnym spełnianiem swych funkcji obficie wytwarzało śmierć. Życzliwi lub okrutni, przez wrażliwość wstrząśnięci nagłym porywem litości, uniewinniali ze łzami oskarżonego, którego godzinę wcześniej byliby z szyderstwem

skazali. Im dalej posuwali się w pełnieniu swego zadania, coraz namiętniej szli za porywami serca.

Sędzili w gorączce i senności wywołanej nadmiarem pracy, kierowani pobudkami z zewnątrz i rozkazami władzy, pod groźbami sankiulotów i krwiożerczych megier, tłoczących się na trybunie, w obrębie dla publiczności przeznaczonym; sędzili podług szalonych zeznań świadków i zapamiętałych oskarżeń, w zatrutym powietrzu, które przytłaczało mózg, wywoływało szum w uszach, pulsowanie w skroniach i krwawą zasłonę zasuwało na oczy. Wśród publiczności obiegały głuche pogłoski, że przysięgłych można przekupić złotem. Ale na te pogłoski oburzona ława przysięgłych odpowiadała protestem i nielitościwymi wyrokami. Wreszcie byli to ludzie nie gorsi i nie lepsi od innych. Niewinność najczęściej jest szczęściem, nie zaś cnotą. Ktokolwiek znalazłby się na ich miejscu, tak jak oni w mierności swej spełniałby te straszne obowiązki.

Tak długo oczekiwana Maria Antonina zasiadła wreszcie w czarnej sukni na fatalnym fotelu wśród tak zgodnego chóru nienawiści, że tylko pewność wyniku pozwoliła na uszanowanie i utrzymanie form sądowych. Na zadawane śmiercionośne pytania oskarżona odpowiadała bądź kierowana instynktem samozachowawczym, bądź ze zwykłą swą wyniosłością — raz jeden, dzięki nikczemności jednego ze swych oskarżycieli, z całym majestatem matki. Tylko świadkom obelga i obmowa była dozwolona — obrona kamieniała z przerażenia. Trybunał, zmuszając się do zachowania form, czekał tylko, aby się to wszystko skończyło, by cisnąć Europie głowę Austriaczki.

W trzy dni po straceniu Marii Antoniny wezwano Gamelina do obywatela Fortunata Trubert. Trubert konał na nędznym łóżku, w celi wygnanych barnabitów, o trzydzieści kroków od biura wojskowego, w którym strawił życie. Błada głowa jego żłobiła poduszkę. Oczy, już nie widzące, zwróciły swe szklane źrenice w stronę Ewarysta; sucha ręka pochwyciła rękę przyjaciela, ściskając ją z niespodziewaną mocą. Przez dwa dni miał trzy razy silny krwotok. Próbował przemówić; głos jego, z początku słaby i przyduszony jak szept, zgrubiał, wzmocił się:

— Wattignies! Wattignies!... Jourdan pokonał nieprzyjaciela w jego własnym obozie... zniósł blokadę Maubeuge... Odebraliśmy Marchiennes. Ca ira... ca ira...

I uśmiechnął się.

Nie były to majaczenia chorego, było to jasnowidzenie rzeczywistości w tym umyśle, na który schodził już cień wieczny. Odtąd najazd zdawał się powstrzymany; sterroryzowani generałowie widzieli, że nie pozostaje im nic innego, jak zwyciężyć. Armię liczną i wyćwiczoną, której nie mogły dać dobrowolne zaciągi pod chorągwie, dał pobór. Jeszcze jeden wysiłek — i Republika będzie ocalona.



Po pół godzinie zupełnego wyczerpania twarz Fortunata Trubert ożywiła się: uniósł się i wskazał palcem na jedyny znajdujący się w pokoju mebel, na małe orzechowe biurko.

I głosem słabym, przerywanym, lecz posłusznym przytomnej myśli, rzekł:

— Przyjacielu, jak Eudamidas przekazuję ci moje długi... trzysta dwadzieścia liwrów, których wyszczególnienie znajdziesz w tym czerwonym kajecie... Żegnaj, Gamelin. Nie zasypiaj sprawy... Czuwaj nad obroną Republiki... Ca ira...

Cienie nocy zalegały celę. Słysząc było ciężki oddech konającego i odgłos drapania palcami po prześcieradle.

O północy wyrzekł słowa bez związku:

— Drapcie mury... jeszcze saletry... Każcie wydać karabiny... Zdrowie?... Bardzo dobrze... Znieście te dzwony...

O piątej wydał ostatnie tchnienie.

Z rozkazu sekcji zwłoki jego wystawiono w nawie dawnego kościoła Barnabitoń, u stóp ołtarza ojczyzny, na łożku polowym. Przykryto zwłoki trójkolorowym sztandarem, czoło uwieńczono dębowym wieńcem.

Dwunastu starców w togach rzymskich, z palmami w ręku i dwanaście młodych dziewic w długich welonach, trzymając kosze kwiatów, otaczały mary. U stóp zmarłego dwoje dzieci trzymało przewrócone pochodnie. Ewaryst w jednym z tych dzieci poznał córeczkę swej odzwieniej, Józję, która swą dziecięcą powagą i cudną urodą przypominała mu geniuszów miłości lub śmierci, których Rzymianie rzeźbili na sarkofagach. Pochód udał się na cmentarz zwany dawniej Saint-Andre-des-Arts, przy śpiewie „Marsylianki“ i „Karmanioli“.

Składając pożegnalny pocałunek na czole Fortunata Trubert, Ewaryst zapłakał. Zapłakał nad sobą, zazdroszcząc temu, który odpoczywał już po spełnionej pracy.

Wróciwszy do siebie zastał nominację na członka Rady Generalnej Komuny. Kandydował od czterech miesięcy i wybrany został bez współzawodnika po kilku głosowaniach, trzydziestoma głosami. Nie głosowano już: sekcje opustoszały; biedni i bogaci starali się unikać sprawowania urzędów publicznych. Najważniejsze zdarzenia nie wzbudzały już ani zapału, ani ciekawości; nie czytano wcale dzienników. Ewaryst wątpił, czy na siedemkroć sto tysięcy mieszkańców stolicy znajdzie się trzy do czterech tysięcy prawdziwych w duszy republikanów.

Tego dnia przed kratkami stanęło dwudziestu jeden żyrondyistów. Winni czy niewinni nieszczęść i zbrodni Republiki, próżni, nieostrożni, ambitni i lekkomyślni, zarazem umiarkowani i gwałtowni, słabi w terrorze zarówno jak w pobłażliwości, pochopni w wypowiedaniu wojny, a powolni w jej prowadzeniu, pociągnięci teraz przed sąd za własnym swym przykładem — byli oni jednak kwiatem młodzieży rewolucyjnej, byli wdziękiem

Rewolucji i chwałą. Ten sędzia, który z uczoną stronniczością pytać ich będzie, ten błąd oskarżyciel przed stolikiem swym przygotowujący ich śmierć i hańbę, ci przysięgli, którzy zechcą za chwilę zdusić ich obronę, ta publiczność trybun, obrzucająca ich obelgą i szyderstwem, wszyscy oni — sędzia, przysięgli, publiczność — niedawno oklaskiwali ich wymowę, wysławiali ich talenty i cnoty. Ale zapomnieli już o tym. Dla Ewarysta Vergniaud był niegdyś bożyszczem, Brissot — wyrocznią. Nie pamiętał już tego; a jeśli w pamięci jego pozostał jeszcze jakiś ślad dawnego podziwu, to na to, by im zarzucić, że uwodzili najlepszych obywateli.

Wracając po rozprawie do domu, Gamelin usłyszał przerażające krzyki. To odzwierciedlała małą Józic za to, że bawiła się na placu z ulicznikami i zabrudziła piękną białą sukienkę, którą włożono jej na pogrzeb obywatela Trubert.

## XVI

Ewaryst, po trzechmiesięcznym codziennym poświęcaniu dla sprawy ofiar to znakomitych, to nieznanych, miał teraz własny swój proces; z oskarżonego zrobił swego oskarżonego.

Odkąd zasiadł w Trybunale, chętnie śledził w tłumie oskarżonych, przesuających się przed jego oczami, uwodziciela Elodii, o którym w pracowitej swej wyobraźni wyrobił sobie pojęcia pod pewnymi względami dość ściśle. Wyobrażał go sobie młodym, pięknym, hardym i pewien był, że wyemigrował do Anglii. Zdało mu się, że odnalazł go w młodym emigrancie nazwiskiem Maubel. Maubel ów po powrocie do Francji został zadenuncjowany przez swego gospodarza i zaarrestowany w oberży w Passy; sprawę jego wraz z tysiącem innych prowadził Fouquier-Tinville.

Znaleziono przy nim listy, które oskarżenie uważało za dowód spisku, knowanego przez Maubela z agentami Pitta; w rzeczywistości zaś były to listy pisane do emigranta przez londyńskich bankierów, u których miał złożone fundusze. Maubel, młody i piękny, zdawał się głównie zajęty miłostkami. Znaleziono też w jego portfelu ślady stosunków z Hiszpanią, która wówczas prowadziła wojnę z Francją; te listy jednak były czysto osobiste i poufne. Sąd nie umorzył sprawy jedynie na tej zasadzie, że sąd nigdy nie powinien się śpieszyć z uwolnieniem więźnia. Gamelin powiadomiony był o pierwszym przesłuchaniu Maubela w izbie obrad i uderzony został charakterem młodego arystokraty, tak sobie bowiem wyobrażał charakter człowieka, który nadużył był zaufania Elodii.

Odtąd, godzinami całymi zamknięty w gabinecie pisarza, gorliwie studiował akta. Podejrzenia jego wzmożyły się dziwnie, gdy w dawniejszym notatniku emigranta znalazł adres magazynu pod godłem „Miłość malarzem“, co prawda łącznie z adresami „Zielonej Małpy“, „Portretu Delfiny“ i kilku innych składów rycin i obrazów. Gdy nadto dowiedział się, że w tym samym

notatniku znaleziono listeczki czerwonego goździka, starannie owinięte w bibułę, Ewaryst przypomniał sobie, że czerwony goździk jest ulubionym kwiatem Elodii, że hoduje go na swym oknie, nosi we włosach, daje go — wiedział o tym dobrze — na dowód miłości.

Wówczas nie wątpił już dłużej.

Wyrobiwszy sobie tę pewność, postanowił wybadać Elodię, nie wyjawiając jej okoliczności, które pozwoliły mu wykryć winowajcę.

Wchodząc na schody, już na niższych piętrach poczuł uporczywy zapach owoców. W pracowni zastał Elodię: pomagała obywatelce Gamelin smażyć konfitury z pigw. Podczas gdy doświadczona gospodyni rozpalając ogień rozmyślała nad zaoszczędzeniem węgla i cukru, bez szkody dla konfitury, obywatelka Blaise, przepasana szarym płóciennym fartuchem, siedziała na krześle trzymając mnóstwo złotych owoców na kolanach; obierając pigwy, rzucała pokrajane ćwiartki do dużej mosiężnej miednicy.

Wstążki jej czepeczka odrzucone były w tył, czarne pasma włosów wiły się na jej wilgotnym czole; wydzielał się z niej urok i czar domowy, rodzinny, który wywoływał czułe myśli i spokojną rozkosz.

Nie ruszając się podniosła na kochanka swe piękne, podobne do stopionego złota spojrzenie i rzekła:

— Widzisz, Ewaryście, pracujemy dla ciebie. Przez całą zimę będziesz jadł doskonałą galaretę z pigwy, która wzmocni ci żołądek i radością napełni serce.

Ale Gamelin zbliżył się do niej i szepnął jej do ucha:

— Jakub Maubel...

W tej chwili szewc Combalot wsunął czerwony nos przez odemknięte drzwi. Przynosił trzewiki, do których nabił obcasy, oraz rachunek za swoje reperacje. Z obawy, aby nie uchodzić za złego obywatela, Combalot używał nowego kalendarza. Obywatelka Gamelin lubiła dokładne rachunki, a gubiła się wciąż w tych fructidorach i prairialach.

Westchnęła:

— Jezus! Jezus! Wszystko chcą zmienić, dnie, miesiące, pory roku, słońce i księżyc! Boże mój, panie Combalot, co znaczy ta para kaloszy z ósmego vendemiaire'a ?

— Obywatelko, żeby zdać sobie sprawę, rzuć okiem na twój kalendarz.

Zdjęła go ze ściany, przypatrzyła mu się, i odwracając odeń wzrok, rzekła przerażona:

— Niezbyt po chrześcijańsku wygląda.

— Nie tylko to, obywatelko — rzekł szewc — ale mamy już tylko trzy niedziele, zamiast czterech. I to jeszcze nie wszystko; trzeba będzie zmienić nasz sposób rachowania. Nie będzie już ani szelągów, ani groszy, wszystko będzie się regulowało podług wody destylowanej.

Na te słowa obywatelka Gamelin, z wargami drżącymi, podniosła oczy do sufitu i westchnęła:

— Tego już zanadto!

I gdy tak biadała, podobna do świętych niewiast, drzazga, która w jej nieobecności zapłonęła na kominie, napełniła pracownię gryzącym dymem, który w połączeniu z zapachem owoców przeszkadzał oddychać. Elodia żaliła się, że drapie ją w gardle, i prosiła, by otworzyć okno.

Gdy szewc pożegnał się, a obywatelka Gamelin powróciła do swego komina, Ewaryst powtórzył do ucha obywatelki Blaise:

— Jakub Maubel.

Spojrzała na niego zdziwiona i bardzo spokojnie, nie przestając krajać pigw:

— Więc cóż?... Co za Jakub Maubel?...

— To on!

— Kto on?

— Dałaś mu czerwony goździk! Oświadczyła, że nic nie rozumie, i żądała, by tłumaczył się jaśniej.

— Ten arystokrata! Ten emigrant! Ten nikczemnik!

Wzruszyła ramionami i z wielką naturalnością zaprzeczyła, by kiedykolwiek znała była jakiegoś Jakuba Maubel.

Istotnie nie znała człowieka tego nazwiska. Zaprzeczyła również, by komukolwiek, prócz Ewaryrysta, dała była kiedy czerwone goździki, ale co do tego może zawodziła ją pamięć. Ewaryst niedobrze znał kobiety i nie przeniknął dość głęboko charakteru Elodii; myślał jednak, że zdolna jest udawać i oszukać przebieglejszego niż on. Toteż nie przekonały go jej spokojna mina i zaprzeczanie.

— Na cóż przeczyć? — rzekł. — Ja wiem. Zapewniała go na nowo, że Maubela nie zna.

I skończywszy obieranie pigw, zażądała wody do mycia rąk, gdyż palce jej się lepiły.

Gamelin przyniósł miednicę.

Myjąc ręce, raz jeszcze zaprzeczyła wszystkiemu. On powtórzył, że wie dobrze, i tym razem Elodia nic nie odrzekła.

Nie rozumiała, do czego zmierzają pytania jej kochanka, była o tysiąc mil daleka od przypuszczenia, że ów Maubel, którego nie znała nigdy, stanąć ma przed Trybunałem Rewolucyjnym; nie pojmowała posądzeń, którymi ją prześladowuje, wiedziała tylko, że są nieuzasadnione. Dlatego, nie mając nadziei rozproszyć ich, nie miała też do tego ochoty. Przestała się bronić, że nie zna Maubela. Wolała wreszcie, by zazdrośnik błędził po fałszywym tropie, kiedy lada chwila najmniejsze zdarzenie mogło naprowadzić go na prawdziwą drogę. Jej dawniejszy pisarczyk, obecnie piękny dragon-patriota, poróżnił się ze swą arystokratyczną kochanką. Ilekroć spotykał Eliodę na ulicy, spoglądał na nią okiem, które zdawało się mówić: „Tak, tak! Moja ślicznotko, czuję dobrze, że przebaczę ci, zem cię

zdradził, i jestem bardzo skłonny obdarzyć cię na nowo moim szacunkiem“. Nie starała się już więc uleczyć kaprysów swego kochanka, jak to nazywała, i Gamelin zachował przekonanie, że Jakub Maubel był uwodzicielem Elodii.

W następnych dniach Trybunał Rewolucyjny bez przerwy zajmował się niszczeniem federalizmu, który jak hydra zagrażał pożarciem wolności. Były to dni pracowite i przysięgli, wyczerpani, możliwie najspieszniej załatwili się z obywatelką Roland, której słowa godne Rzymianki wywołały przychylne szepty wśród zgromadzonej publiczności. Gamelin codziennie zachodził do sądu, aby przyśpieszyć sprawę Maubela. Ważne dokumenty znajdowały się w Bordeaux. Gamelin wyrobił to, że komisarz przywiózł je pocztą. Nadeszły wreszcie. Pomocnik oskarżyciela publicznego odczytał je, skrzywił się i rzekł do Ewarysta: — Nieosobliwe to papiery. Nic w nich nie ma! Same głupstwa!... Gdyby przynajmniej pewne było, że ten dawny hrabia Maubel wyemigrował!...

Wreszcie powiodło się Gamelinowi. Młody Maubel otrzymał akt oskarżenia i stanął przed Trybunałem Rewolucyjnym 19 brumaire'a. Od początku rozprawy stali bywalcy spostrzegli zakłopotanie Trybunału. Prezes miał twarz posępną i straszną, jaką przybierał zawsze wobec spraw niejasnych. Pomocnik oskarżyciela końcem pióra głąskał sobie podbródek i udawał spokój czystego sumienia. Pisarz odczytał akt oskarżenia: jeszcze nigdy nie słyszano tu aktu tak pozbawionego treści.

Prezes zapytał oskarżonego, czy nie wiedział o prawach wydanych przeciw emigrantom. — Wiedziałem i stosowałem się do nich — odrzekł Maubel — opuściłem Francję z paszportem legalnym.

Z przyczyn wyjazdu do Anglii i powrotu do Francji wytłumaczył się w sposób zadowolający. Twarz miał przyjemną, szczerą i dumną, co zjednywało mu sympatię. Kobiety z trybun patrzyły nań życzliwie. Oskarżenie zarzucało mu, że bawił w Hiszpanii w czasie, gdy kraj ten już prowadził wojnę z Francją, Maubel zapewniał, że w owej porze nie opuszczał Bajonny. Jeden punkt tylko pozostał nie wyjaśniony. Pomiędzy papierami, które rzucił do pieca w chwili aresztowania, a z których pozostały tylko strzępki, na niektórych były słowa hiszpańskie i imię „Nieves“.

Jakub Maubel nie chciał co do tego dać wyjaśnień.

I gdy prezes zauważył, że w jego interesie jako oskarżonego leży wytłumaczyć się, odrzekł, że nie zawsze należy postępować zgodnie ze swym interesem.

Gamelin chciał tylko co do jednej zbrodni przekonać oskarżonego: trzy razy nalegał na prezesa, by zapytał Maubela, czy może wytłumaczyć, skąd ma goździk, którego zeszkłe listki tak starannie przechowywał w pugilaresie. Maubel odrzekł, że nie poczuwa się do obowiązku tłumaczyć się z rzeczy, która sąd nie obchodzi; nie znaleziono przecież żadnej karteczki

ukrytej w kwiatku. Przysięgli wyszli do sali narad, życzliwie usposobieni dla tego młodzieńca, którego niejasna sprawa zdawała się głównie kryć tajemnice miłosne. Tym razem nawet żarliwi, rzetelni patrioci chętnie byliby go uniewinnili. Jeden z nich, były arystokrata, który złożył był dowody prawomyślności, rzekł:

— Czy zarzucamy mu jego pochodzenie? Ja także miałem nieszczęście urodzić się wśród arystokracji.

— Tak, ale ty z niej wyszedłeś—rzekł Gamelin— a on w niej pozostał.

I z gwałtownością przemawiać począł przeciwko temu spiskowcowi, temu emisariuszowi Pitta, temu wspólnikowi Koburga, który przeszedł góry i morza, aby podburzać nieprzyjaciół wolności. Przemówieniem swym rozbudził wieczny niepokój i dawną surowość swych kolegów.

Jeden z nich rzekł cynicznie:

— Są usługi, których między kolegami odmówić sobie nie można.

Wyrok śmierci wydano jednym głosem większości.

Skazany wysłuchał wyroku ze spokojnym uśmiechem. W oczach, którymi obojętnie wodził po sali, gdy spotkał twarz Gamelina, odbiła się niewysłowiona pogarda.

Nikt nie przyklasnął wyrokowi.

Jakub Maubel, odprowadzony do Conciergerie, zasiadł do pisania listu, czekając na stracenie, które odbyć się miało tegoż wieczora przy pochodniach.

Kochana sestro, trybunał posyła mnie na rusztowanie, dając mi tym jedyną radość, jaką jeszcze odczuć mogłem od śmierci mojej ubóstwianej Nieves. Zabrali mi ostatnie dobro, jakie mi po niej pozostało, kwiat granatu, który nie wiem czemu nazywali goździkiem.

Kochałem sztuki piękne: w Paryżu, w szczęśliwych czasach, zebrałem obrazy i ryciny, są one teraz w miejscu pewnym i oddane Ci będą, gdy tylko będzie to możliwe. Proszę Cię, kochana sestro, zachowaj je na pamiątkę po mnie.

Odciął pukiel włosów, włożył do listu, złożył go i napisał na nim:

Do obywatelki Klementyny Dezeimeries, urodzonej Maubel.

w La Reole.

Wszystkie pieniądze, jakie miał przy sobie, oddał strażnikowi więziennemu i prosił, aby za to list doręczył. Zażądał butelki wina i pił je powoli, czekając na śmiertelny wózek.

Po wieczerzy Ewaryst poszedł do Elodii i wpadł do białego pokoiku, w którym co noc nań czekała.

— Jesteś pomszczona — zawołał — nie ma już Jakuba Maubel! Wózek, który wiozł go na śmierć, przejechał pod twym oknem, otoczony pochodniami.

## XVII

Dwudziestego czwartego frimaire'a, o dziesiątej z rana, o jasnym, różowym świcie, roztopiającym przymrozek nocny, obywatele Guenot i Delourmel, delegaci Komitetu Bepiecieństwa Powszechnego, udali się do Barnabitów i kazali zaprowadzić się do Komitetu Nadzoru sekcji, do sali, gdzie właśnie obywatel Beauvisage nakładał polana do kominka. Ale nie spostrzegli go zrazu z powodu krótkiej i krępej postaci. Zgrzytliwym głosem garbusów Beauvisage poprosił delegatów, aby usiedli, i rzekł, że gotów jest na ich usługi. Guenot zapytał go, czy zna byłego arystokratę pana des Ilettes, mieszkającego koło Pont-Neuf.

— Jest to osobnik — dodał — którego mam rozkaz aresztować.

I pokazał rozkaz Komitetu Bezpieczeństwa. Beauvisage, kilka chwil poszukawszy w pamięci, odrzekł, że nie zna osobistości nazwiskiem des Ilettes, że ten podejrzany osobnik może nie zamieszkuje w tej sekcji — niektóre części dzielnic Museum, Unitę, Marat-et-Marseille także znajdują się w bliskości Pont-Neuf. Jeśli nawet mieszka w sekcji, to zapewne pod innym nazwiskiem aniżeli wymienione w rozkazie Komitetu, ale niemniej odnajdzie się go wkrótce.

— Nie traćmy czasu! — rzekł Guenot. — Wskazany jest naszej czujności listem jednej ze swych współpracowniczek, list ten został przejęty. Złożono go w Komitecie przed dwoma tygodniami, a z treścią jego obywatel Lacrobc zapoznał się dopiero wczoraj wieczorem. Jesteśmy przeciążeni. Denuncjacje napływają zewsząd w takiej obfitości, że nie wiadomo, kogo wpierw słuchać...

— Denuncjacje — rzekł dumnie Beauvisage — napływają także do Komitetu Czujności sekcji. Jedni przynoszą swoje zeznania przez prawomyślność, drudzy znęcani pięciofrankową nagrodą. Dzieci nieraz denuncjują własnych rodziców, chcąc zabrać po nich spadek.

— List ten — mówił dalej Guenot — pochodzi od byłej arystokratki Rochemaure, kobiety lekkich obyczajów, u której grywano w biribi, i adresowany jest na imię obywatela Rauline, w rzeczywistości zaś jest pisany do emigranta będącego w służbie Pitta. Wziąłem go z sobą, aby pokazać wam to, co w nim tyczy się owego des Ilettes.

Wyciągnął list z kieszeni.

— Zaczyna się on obszernymi wskazówkami o członkach Konwentu, których, według słów tej kobiety, dałoby się pozyskać pieniędzmi lub obietnicą wysokich urzędów w nowym rządzie, trwalszym niż obecny. Dalej pisze ona:

Wracam od pana des Ilettes, mieszkającego koło Poiit-Neuf, na poddaszu, gdzie aby go znaleźć, trzeba być diabłem lub katan. Dla zarobku zmuszony jest wyrabiać pajace. Ma on dużo zdrowego, rozumnego sądu, dlatego przytaczam główną treść mojej z nim rozmowy. Nie sądzi on, aby obecny stan rzeczy potrwał długo. Nie oczekuje też jego końca od zwycięstwa

koalicji i rzeczywistość zdaje się przyznawać diii słuszność. Bo jak Panu zapewne wiadomo, od jakiegoś czasu wiadomości o wojnie są złe. Wierzy on raczej w bunt pospólstwa i kobiet z ludu, jeszcze głęboko przywiązanych do swej religii. Mniema on, że ogólny strach przed Trybunałem Rewolucyjnym zjednoczy wkrótce całą Francję przeciwko jakobinom. „Trybunał len — powiedział żartobliwie — który sędzi jednym zamachem królmuję Francji i roznościelltc chleba, podobnym jest do owego Williama Szekspira, tak drogiego Anglikom“ itd.. Nie uważa za rzecz niemożliwą, by Robespierre poślubił siostrę królewską i kazał się ogłosić protektorem Królestwa.

Byłabym Panu wdzięczną, gdybyś był łaskaw przesłać należne im sumy, tj. tysiąc funtów szterlingów, drogą, jakiej Pan zwykle używa. Ale strzeż się Pan pisać do pana Morhardta: właśnie go aresztowano i wtrącono do więzienia...

— Jegomość des Ilettes wyrabia pajace — rzekł Beauvisage — oto cenna wskazówka... chociaż jest dużo takich drobnych przemysłowców w naszej sekcji.

—To mi przypomina —rzekł Delourmel — że obiecałem przynieść lalkę Natalce, mojej najmłodszej córce, chorej na szkarlatynę. Wysypka ukazała się wczoraj. Ta choroba nie jest bardzo niebezpieczna, ale wymaga troskliwej opieki. A Natalka, bardzo na wiek swój rozwinięta, ma słabe zdrowie.

— Ja — rzeki Guénot — mam tylko chłopca. Bawi się obręczami od beczek i wyrabia małe mongolfiery, nadymając torebki papierowe:

— Bardzo często — zauważył Beauvisage — dzieci najlepiej bawią się przedmiotami, które nie są zabawkami. Mój siostrzeniec Emil, siedmioletni berbec, bardzo inteligentny, cały dzień bawi się małymi kwadracikami drzewa, z których wznosi budowle... Czy mogę służyć?

Beauvisage podał delegatom otwartą tabakierkę.

— Teraz trzeba przychwycić naszego ptaszka — rzeki Delourmel, który nosił duże wąsiska i gniewnie toczył wielkimi, okrągłymi oczami. —Mam dziś apetyt na mięso arystokrackie, podlane kieliszkiem białego wina.

Beauvisage zaproponował delegatom, by iść do sklepu stolarza Dupont starszego na placu Dauphine, ten niewątpliwie zna owego osobnika.

Szli w chłodnym powietrzu rannym z czterema grenadierami sekcji, którzy się do nich przyłączyli.

— Czy widzieliście „Sąd ostateczny królów“? — zapytał Delourmel swych towarzyszków. — To sztuka warta widzenia. Autor przedstawia w niej wszystkich królów Europy, którzy schronili się na odludnej wyspie u stóp wulkanu i giną od jego wybuchu. To sztuka patriotyczna.

Delourmel na rogu. ulicy du Harlay spostrzegł mały wózek, błyszczący jak kapliczka,



popychany przez starą kobietę, która na czepku miała ceratowy kapelusz.

— Co ta stara sprzedaje? — zapytał. Stara sama odpowiedziała:

— Patrzcie, panowie, wybierajcie. Mam szkaplerze, różańce, krzyżyki, obrazki świętego Antoniego, święte całuny, chusty świętej Weroniki, Ecce homo, Agnus Dei, rogi myśliwskie i pierścienie świętego Huberta, wszelkie przedmioty święte.

— To arsenał fanatyzmu! — zawołał Delourmel.

I rozpoczął doraźne przesłuchiwanie przekupki, która na wszystkie pytania odpowiadała:

— Mój synu, już czterdzieści lat handluję dewocjonaliami.

Delegat Komitetu Bezpieczeństwa, spostrzegłszy przechodzącego policjanta, kazał zdumioną staruszkę zaprowadzić do Conciergerie.

Obywatel Beauvisage zwrócił uwagę Delourmela, że to raczej Komitet Nadzoru powinien aresztować tę kobietę i zaprowadzić ją do sekcji. Zresztą nie wiadomo, jak postępować w rzeczach dotyczących się dawnego kultu, chcąc stosować się do zapatrywań rządu. Czy na wszystko pozwalać, czy wszystkiego zabraniać?!

Zbliżając się do sklepu stolarza, delegowani i komisarz usłyszeli gniewne okrzyki, pomieszane ze zgrzytem piły i świstem hebla. Między stolarzem Dupontem starszym i sąsiadem jego, odźwiernym Remacle, wybuchnęła sprzeczka z powodu obywatelki Remacle, którą jakiś nieprzeparty urok pociągał zawsze w głąb stolarni, skąd powracała do swej izby pokryta wiórami i opiłkami drzewnymi. Obrażony odźwierny kopnął Moutona, psa stolarza, w chwili gdy jego własna córka, Józia, tkliwie trzymała zwierzę w objęciach. Józia oburzona nawymyślała ojcu; stolarz zawołał gniewnie:

— Nędzniku! Zabraniam ci bić mego psa!

— A ja — krzyknął odźwierny podnosząc miotełkę — zabraniam...

Nie dokończył: hebel stolarza trzepnął go po głowie.

Z daleka ujrzawszy obywatela Beauvisage w towarzystwie delegatów, odźwierny podbiegi do niego i zawołał:

— Obywatelu komisarzu, jesteś świadkiem, że ten łotr mnie zabił.

Obywatel Beauvisage, w czerwonej czapce, godle swego urzędu, szeroko, pojednawczo rozłożył ręce i zwracając się do odźwiernego i stolarza rzekł:

— Pięć franków temu z was, który nam wskaże, gdzie znajduje się poszukiwany przez Komitet Bezpieczeństwa podejrzany osobnik, były arystokrata nazwiskiem des Ilettes, fabrykant pajaców.

Obaj, stolarz i odźwierny, razem wskazali mieszkanie Brotteaux, kłócąc się już tylko o nagrodę przyobiecana donosicielowi.

Delourmel, Guenot i Beauvisage z czterema grenadierami, odźwierny Remacle, stolarz

Dupont i tuzin małych uliczników dzielnicy weszli na schody, trzeszczące pod ich krokami, i młynarską drabiną dostali się na poddasze.

Brotteaux wycinał pajace, podczas gdy ojciec Longuemare, siedząc naprzeciw, wiązał szpagatem ich członki i uśmiechał się widząc, jak pod jego ręką rodzi się rytm i harmonia. Na odgłos kolb karabinów w sieni ksiądz zadrżał całym ciałem. Nie dlatego, by był mniej odważny od Brotteaux, który pozostał niewzruszony, ale wzgląd na ludzką opinię nie przyzwyczał go do maskowania się i przybierania sztucznej postawy. Brotteaux z pytań obywatela Delourmel zrozumiał, skąd cios pochodzi, i spostrzegł, nieco za późno, że nie należy ufać kobietom.

Wezwany przez komisarza, aby szedł z nim, Brotteaux zabrał z sobą swego Lukrecjusza i trzy koszule.

— Ten obywatel — rzekł wskazując na ojca Longuemare — to pomocnik, którego wziąłem do wyrabiania pajaców. Mieszka tutaj.

Ale ponieważ ksiądz nie mógł okazać świadectwa prawomyślności, aresztowany został razem z Brotteaux.

Kiedy pochód mijał izbę odzwiernej, obywatelka Remacle, wsparta na miotle, spoglądała na swego lokatora z miną cnoty, która dostrzegła zbrodnię w rękach sprawiedliwości. Mała Józia, wzdurliwa i piękna, przytrzymała za obrożę Moutona, łaszącego się do uwięzionego przyjaciela, który dawał mu czasem kawałki cukru.

Tłum ciekawych napełniał plac Thinville. Brotteaux u stóp schodów spotkał się z młodą wieśniaczką, która właśnie zamierzała wejść na górę. Niosła pod pachą koszyk pełen jaj, w rękę — ciasto owinięte ręcznikiem. Była to Atenais; przybyła z Palaiseau, aby swemu zbawcy złożyć dowód wdzięczności. Gdy spostrzegła, że urzędnicy i czterech grenadierów uprowadzają „pana Maurycego“, stanęła jak wryta, zapytała, czy to prawda, i zbliżając się do komisarza rzekła doń łagodnie:

— Przecież nie zabieracie go? To niemożliwe... Ależ nie znacie go chyba!... On jest dobry jak sam Pan Bóg.

Obywatel Delourmel odsunął ją i dał znak grenadierom, by szli dalej. Wtedy Atenais wybuchnęła najgorszymi wymysłami; najwstrętniejsze obelgi miotać poczęła na urzędników i grenadierów, którym zdawało się, że wszystkie pomyje z Palais-Egalité i ulicy Fromenteau leją im się na głowy. Potem głosem, który rozbrzmiał na placu całym i dreszczem przejął tłum ciekawych, zawołała:

— Niech żyje król! Niech żyje król!!!

Obywatelka Gamelin lubiła starego Brotteaux. Był to dla niej najprzyjemniejszy i zarazem najznakomitszy człowiek, jakiego poznała w życiu. Nie pożegnała się z nim, gdy go zaaresztowano, bo bała się narazić władzom i uważała, że w skromnym jej stanie tchórzostwo jest obowiązkiem. Ale był to dla niej cios, którego nie mogła przeboleć.

Nie mogła nic jeść i biadała, że utraciła apetyt teraz właśnie, kiedy wreszcie ma go czym zaspokoić. Podziwiała jeszcze syna, ale nie śmiała już myśleć o strasznych obowiązkach, jakie spełnia, i cieszyła się, że jest tylko głupią kobietą i przeto nie potrzebuje go oceniać. Biedna matka na dnie kufra odnalazła stary różaniec; nie umiała dobrze go używać, ale trzymała go w drżących palcach. Dobięła starości bez spełniania .praktyk religijnych; teraz stawała się pobożną: cały dzień, siedząc przed kominem, modliła się do Boga o zbawienie syna i tego dobrego pana Brotteaux. Elodia odwiedzała ją często, obie nie śmiały spojrzeć na siebie i rozmawiały o rzeczach obojętnych.

Pewnego dnia w miesiącu pluvióse; gdy śnieg padający wielkimi płatami zaciemniał niebo i tłumił wszelkie odgłosy miasta, obywatelka Gamelin, będąc sama w mieszkaniu, usłyszała pukanie do drzwi. Drgnęła; od kilku miesięcy drżała za najmniejszym szelestem. Otworzyła drzwi. Na progu ukazał się młodzieniec osiemnasto- lub dwudziestoletni w kapeluszu na głowie. Ubrany był w płaszcz ciemnozielony, którego trzy peleryny zakrywały mu piersi i stan. Miał na nogach buty z cholewami odwracanymi na sposób angielski. Kasztanowate włosy spadały mu w puklach na ramiona. Wszedł aż na środek pracowni, jak gdyby chciał, żeby całe przyćmione śniegiem światło nań padało, i stanął nieruchomy i milczący.

Wreszcie widząc, że obywatelka Gamelin patrzy nań zdumiona, zawołał:

— Nie poznajesz swojej córki? Stara kobiecina złożyła ręce.

— Julio!... to ty... Boże mój, czyż możliwe!...

— Ależ tak, to ja!... Uściskaj mnie, mamó.

Obywatelka wdowa Gamelin ścisnęła córkę w objęciach i łza stoczyła się z jej oka na pelerynę płaszcza. Potem rzekła niespokojnie:

— Ty, w Paryżu?!...

— Ach, mamó, czemuż nie powróciłam sama!... Mnie nikt nie pozna w tym przebraniu.

Istotnie, płaszcz skrywał jej kształty i nie różniła się wcale od bardzo wielu młodych ludzi, którzy, jak ona, nosili długie włosy na dwie części przedzielone. Rysy jej twarzy, drobne i wdzięczne, ale ogorzałe, wychudłe ze zmęczenia, stwardniałe z troski, miały wyraz zuchwały i męski. Była wysmukła, miała nogi długie i proste, ruchy swobodne; jedynie głos chyba mógł ją zdradzić.

Matka spytała ją, czy nie jest głodna. Odrzekła, że chętnie by coś zjadła, a gdy podano jej chleb, szynkę i wino, zasiadła do jedzenia z łokciem na stole, piękna i zgłodniała, jak Ceres w

chacie starej Baubo.

Jeszcze ze szklanką przy ustach, zapytała:

— Mamo, czy nie wiesz, kiedy brat mój wróci? Przyszłam, żeby z nim pomówić.

Matka spojrzała na córkę z zakłopotaniem i nic nie odrzekła.

— Muszę się z nim widzieć. Męża mego aresztowano dziś rankiem i osadzono w Luksemburgu.

„Mężem“ nazwała Fortunata de Chassagne, byłego arystokratę i oficera w pułku de Bouille. Kochał ją, gdy była modniarką przy ulicy des Lombards, wykradł ją i uwiózł do Anglii, dokąd emigrował po 10 sierpnia. Był jej kochankiem, ale uważała, że przyzwoiciej jest przed matką nazywać go mężem.

I myślała sobie, że nędza dość ich poślubiła i że nieszczęście to także sakrament.

Nieraz noce spędzali oboje na ławce w parkach londyńskich i nieraz zbierali kromki chleba pod stołami restauracji na Piccadilly.

Stara matka nie odpowiadała i patrzyła na nią wzrokiem ponurym.

— Nie słyszysz mnie, mamo? Czas nagli, muszę widzieć się z Ewarystem zaraz: on jeden może ocalić Fortunata.

— Julio — odrzekła matka — lepiej będzie, byś nie mówiła z twym bratem.

— Jak to? Co mówisz, matko?

— Mówię, że lepiej, byś nie mówiła z twoim bratem o panu de Chassagne.

— Ależ kiedy trzeba koniecznie, moja mamo!

— Moje dziecko, Ewaryst nie przebaczy panu de Chassagne, że cię uprowadził. Wiesz dobrze, z jakim gniewem wyrażał się o nim, jakimi słowami go nazywał.

— Tak, nazywał go uwodzicielem — rzekła Julia z ostrym śmiechem, wzruszając ramionami.

— Moje dziecko, Ewaryst był śmiertelnie dotknięty, postanowił nie mówić już nigdy o panu de Chassagne. I oto już dwa lata, jak ani słówka nie pisał ani o nim, ani o tobie. Ale uczucia jego nie uległy zmianie; znasz go: nie przebaczy wam.

— Ale, mamo, skoro Fortunat ożenił się ze mną... w Londynie.

Biedna matka wzniosła w górę oczy i ręce.

— Moje dziecko, dość że Fortunat jest arystokratą, emigrantem, by Ewaryst miał go za wroga.

— Odpowiedz mi, matko! Czy sądzisz, że jeśli zażądam od niego, by u oskarżyciela publicznego i w Komitecie Bezpieczeństwa poczynił kroki dla ocalenia Fortunata, Ewaryst nie zgodzi się na to?... Ależ, mamo, byłby potworem, gdyby odmówił!

— Moje dziecko, twój brat jest uczciwym człowiekiem i dobrym synem. Ale nie żądaj odeń, och, nie żądaj, by wstawił się za panem de Chassagne... Posłuchaj mnie, Julio. Nie powierza

mi on swoich myśli i zapewne nie byłabym w stanie ich zrozumieć... ale on jest sędzią, ma zasady, postępuje według swego sumienia. Nie żądaj odeń niczego, Julio!

— Widzę, że znasz go teraz. Wiesz, że jest zimny, nieczuły, że jest człowiekiem złym, ambitnym tylko i próżnym. A zawsze wolałaś jego niż mnie. Gdyśmy żyli razem we troje, stawiałaś mi go za przykład. Jego sztywne ruchy i poważna mowa imponowały ci, widziałaś w nim wszystkie cnoty. A mnie, mnie ganiłaś zawsze, przypisywałaś mi wszystkie wady, bo byłam szczerą i łąziłam po drzewach. Nigdy znieść mnie nie mogłaś. Kochałaś tylko jego. Tak, nienawidzę twego Ewarysta, to obłudnik!

— Cicho, cicho, Julciu! Byłam dobrą matką dla ciebie, jak i dla niego. Kazałam uczyć cię rzemiosła. Nie ode mnie zależało, abys pozostała uczciwą dziewczyną i wyszła za mąż w swoim stanie. Kochałam cię tkliwie i kocham cię jeszcze. Przebaczam ci i kocham cię. Ale nie mów źle o Ewaryście. On jest dobrym synem. Zawsze dbał o mnie. Kiedy opuściłaś mnie, moje dziecko, kiedy porzuciłaś swój zawód, swój magazyn, by żyć z panem de Chassagne, cóż by się było stało ze mną, gdyby nie on? Byłabym umarła z nędzy i głodu.

— Nie mów tak, mamó. Wiesz dobrze, że bylibyśmy otoczyli cię opieką, Fortunat i ja, gdybyś nie była odwróciła się od nas, podburzana przez Ewarysta. Daj mi pokój! On niezdolny jest do dobrego czynu. Aby zohydzić mnie w twoich oczach, udawał troskliwość o ciebie. On ciebie kocha? Czyż zdolny jest kochać kogokolwiek? Nie ma ani serca, ani rozumu. Nie ma zgoła talentu, ani żdźbła! Żeby malować, trzeba mieć tkliwsze serce, niż on ma.

Powiodła oczami po płótnach pracowni; były takie same jak wtedy, gdy wyjechała.

— Ot, masz ją tu, jego duszę! Umieścił ją na tych płótnach, zimną i ponurą. Orestes, jego Orestes, z głupim okiem, złymi ustami, sztywny jak kij, to on, on cały... Wreszcie mamó, czyż nic nie rozumiesz? Nie mogę pozostawić Fortunata w więzieniu! Znasz ich, tych jakobinów, patriotów, całą tę paczkę Ewarysta. Oni skazą go na śmierć! Mamó, moja mamó kochana, moja droga mamusiu, ja nie chcę, żeby mi go zabili! Ja go kocham! Kocham! On był tak dobry dla mnie i byliśmy razem tak nieszczęśliwi! Patrz, ten płaszcz to jego płaszcz. Nie miałam już koszuli. Przyjaciel Fortunata pożyczył mi kurtkę; służyłam za chłopca w kawiarni w Dover. Fortunat pracował tam u fryzjera. Wiedzieliśmy dobrze, że powrócić do Francji to znaczy ryzykować życie, ale zaproponowano nam, by jechać do Paryża i załatwić ważną misję... Zgodziliśmy się na to; bylibyśmy się podjęli misji do samego diabła. Zapłacono nam podróż i dano weksel na jednego bankiera w Paryżu. Zastaliśmy kantor zamknięty, bankier ten jest w więzieniu i będzie zgilotynowany. Nie mieliśmy ani szeląga. Wszystkie osoby, z którymi byliśmy w łączności i do których moglibyśmy się zwrócić, albo uciekły, albo są w więzieniu. Nigdzie drzwi, do których zapukać by można. Sypialiśmy w

stajni na ulicy Femme-sans-tete. Litościwy czyściciel obuwia, który wraz z nami spał tam na słomie, pożyczył memu kochankowi skrzynkę, szczotkę i na wpół próżną paczkę czerr.idła. Fortunat przez dwa tygodnie pracował na nasze utrzymanie, czyszcząc buty na placu de Greve. Ale w poniedziałek jakiś człowiek Komuny postawił nogę na skrzynce i kazał oczyścić sobie buty. Był to rzeźnik, którego niegdyś Fortunat poturbował za fałszywą wagę mięsa. Kiedy Fortunat podniósł głowę, żądając swoich dwóch centymów, gałgan ten poznał go, nazwał arystokratą i zagroził, że każe go aresztować. Zebrał się tłum, składający się z poczciwych ludzi i z kilku łotrów, którzy krzyczeli: „Na śmierć emigranta“ i przywoływali żandarmów. W tej chwili niosłam zupę Fortunatowi. Widziałam, jak zaprowadzili go do sekcji i zamknęli w kościele Świętego Jana. Chciałam go ucałować, odepchnięto mnie. Przepędziłam noc na stopniach kościoła, jak pies... Dziś rankiem zabrano go...

Julia nie skończyła, dławili ją łkania.

Rzuciła kapelusz na podłogę i uklękła u nóg matki.

— Dziś rano zaprowadzono go do więzienia w Luksemburgu. Mamo, mateczko, pomóż mi ocalić go; zlituj się nad swoją córką!

Cała we łzach, odgarnęła płaszcz i żeby lepiej dać się poznać jako kochanka i córka, odsłoniła piersi, ujęła ręce matki i przycisnęła je do drżącego łona.

— Moja córko kochana, Julciu, moja Julciu! — westchnęła wdowa Gamelin.

I twarz od łez mokrą przycisnęła do twarzy młodej kobiety.

Przez kilka minut milczały obie. Biedna matka szukała w myśli sposobu, żeby pomóc córce.

Julia niespokojnie śledziła wyraz jej oczu, zalanych łzami.

„Może — myślała matka Ewarysta — może, gdy z nim pomówię, zdołam go ubłagać. On dobry, tkliwy. Gdyby polityka nie była uczyniła go Nielitościwym, gdyby nie wpływ jakobinów, nie miałby tej srogości, która przeraża mnie, bo jej nie rozumiem.“ Wzięła głowę Julii w obie ręce.

— Słuchaj, córko! Pomówię z Ewarystem. Przygotuję go do spotkania z tobą, do wysłuchania cię! Widok twój mógłby go rozgniewać, obawiałabym się pierwszego odruchu... Przy tym, znam go: raziłby go ten ubiór; on jest bardzo surowy w sprawie obyczajów i przyzwoitości. Ja sama byłam trochę zdziwiona, widząc moją Julię jako chłopca.

— Ach, mamo, emigracja i straszny bezład w kraju uczyniły te wszystkie przebrania bardzo pospolitymi. Używa się ich dla pełnienia rzemiosła, żeby nie być poznanym, czasem żeby móc korzystać z pożyczonego paszportu lub świadectwa. W Londynie widziałam małego Girey, przebranego za dziewczynę. Wyglądał na bardzo ładną dziewczynę; a przyznasz, mamo, że to przebranie drastyczniejsze jest niż moje.

— Moje biedne dziecię, nie potrzebujesz usprawiedliwiać się przede mną ani z tego, ani z

innych rzeczy. Jestem twoją matką; dla mnie będziesz zawsze niewinna. Pomówię z Ewarystem, powiem...

Zatrzymała się. Czowała, czym był jej syn, czowała to, ale nie chciała wierzyć, nie chciała wiedzieć o tym.

— On jest dobry. Uczyni dla mnie... dla ciebie, o co go prosić będę.

I obie kobiety, niezmiernie znużone, umilkły. Julia usnęła z głową na kolanach, na których spoczywała będąc dzieckiem. Z różańcem w rękach, nieszczęsna matka płakała nad cierpieniem, którego zbliżanie się czowała w spokoju tego śnieżystego dnia, kiedy milkło wszystko, kroki, pojazdy, niebo.

Nagle, delikatnym słuchem, zaostrzonym przez niepokój, usłyszała syna wchodzącego po schodach.

— Ewaryst — rzekła. — Ukryj się. I popchnęła córkę do swego pokoju.

— Jak się masz dziś, mateczko?

Ewaryst zawiesił kapelusz na wieszadle, zdjął niebieski frak, włożył kurtkę i zasiadł przed sztalugami. Od kilku dni szkicował węglem postać Zwycięstwa, składającą wieniec na czole żołnierza poległego za ojczyznę. Temat ten dawniej napędzałby go entuzjazmem, ale Trybunał pochłaniał jego dnie, odbierał mu duszę całą i ręka jego, odwykła od rysowania, stawała się ciężka i leniwa.

Nucił pieśń patriotyczną „Ca ira“.

— Śpiewasz, moje dziecko — rzekła obywatelka Gamelin — masz radość w sercu.

— Powinniśmy radować się, matko, dobre nadeszły nowiny. Wanda zgnieciona, Austriacy pobici, armia Renu przerwała linie koło Lautern i Wissemburga. Już niedaleki dzień, gdy triumfująca Republika okaże swą łaskawość i miłosierdzie. Trzebaż, by w miarę jak Republika wzrasta w siły, zwiększała się również zuchwałość spiskowców i żeby zdrajcy w ciemnościach godzili na ojczyznę wtedy, gdy ona gromi jeszcze napastujących ją wrogów?! Wdowa Gamelin, robiąc pończochę, spoglądała na syna sponad okularów.

— Berzelius, twój dawny model, przychodził po dziesięć liwrów, które pozostałeś mu dłużny: dałam mu. Małą Józję bolał żołądek, bo zjadła za dużo konfitur, które dał jej stolarz...

Naparzyłam jej ziółek... Desmahis przyszedł odwiedzić cię; żałował, że cię nie zastał.

Chciałby rytować jakiś temat twojej kompozycji. Uważa, że masz wielki talent. Poczciwy chłopiec oglądał twoje szkice i chwalił je bardzo.

— Gdy pokój nastanie i spiski będą zduszone — rzekł malarz — powrócę do mego Orestesa.

Nie mam zwyczaju się chwalić; ale jest to głowa godna Davida.

Majestatyczną linią nakreślił ramię Zwycięstwa.

— Podaje palmy — rzekł. — Ale piękniej byłoby, aby same ramiona były palmami.

— Ewaryście!

— Co, mamó?

— Otrzymałam wieści... zgadnij, od kogo...

— Nie wiem doprawdy.

— Od Julii... od twojej siostry... Ona nie jest szczęśliwa.

— Byłoby zgorszeniem, gdyby zaznała szczęścia.

— Nie mów tak, moje dziecko; to twoja siostra. Julia nie jest zła; ma szlachetne uczucia, które nieszczęście wyhodowało. Ona cię kocha. Zapewniam cię, Ewaryście, że wzdycha do pracowitego, przykładowego życia i pragnie zbliżyć się do swojej rodziny. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś się z nią widział. Poślubiła Fortunata de Chassagne.

— Pisała do ciebie, matko?

— Nie.

— Więc skądże masz o niej wiadomość?

— Nie przez list, moje dziecko; to... Wstał i przerwał jej strasznym głosem:

— Zamilcz, matko! Nie mów mi, że oboje powrócili do Francji... Skoro zginąć mają, niech to przynajmniej nie będzie przeze mnie. Dla nich, dla ciebie, dla mnie zrób, żebym nie wiedział, że są w Paryżu... Nie zmuszaj mnie, bym wiedział o tym; gdyż inaczej...

— Co chcesz powiedzieć, moje dziecko? Chciałbyś, śmiałybyś?...

— Słuchaj, matko: gdybym wiedział, że siostra, Julia, jest w tym pokoju... — i wskazał palcem na zamknięte drzwi... — poszedłbym natychmiast donieść o tym Komitetowi Czułości sekcji.

Biedna matka, bledsza niż jej czepek, upuściła robotę z drżących rąk i westchnęła głosem cichszym niż najłżejszy szept:

— Nie chciałam wierzyć, ale teraz widzę jasno: to potwór.

Równie bładny jak ona, z pianą na ustach, Ewaryst wybiegł szukać u Elodii zapomnienia, snu, słodkiego przedsmaku niebytu.

## XIX

Podczas gdy ojca Longuemare i prostytutkę Atenais przesłuchiowano w sekcji, Brotteaux między dwoma żandarmami odprowadzony został do Luksemburgu, gdzie odźwierny nie przyjął go tłumacząc się brakiem miejsca. Dawnego finansistę odstawiono tedy do Conciergerie i wprowadzono do kancelarii, do niewielkiego pokoju, przedzielonego oszklonym przepierzeniem. Tu pisarz wpisał jego nazwisko do księgi zawierającej listę więźniów, a przez ten czas Brotteaux przez szyby przyglądał się dwóm ludziom, którzy, siedząc na nędznym sienniku, trwali w śmiertelnym bezruchu; martwy ich wzrok zdawał się



nic nie widzieć. Talerze, butelki, resztki chleba i mięsa leżały koło nich na podłodze. Byli to skazani na śmierć, oczekujący na wózek.

Byłego arystokratę des Ilettes wprowadzono do lochu, gdzie przy świetle latarni ujrzał dwóch ludzi rozciągniętych na ziemi; jeden był posępny, okaleczony, wstrętny; drugi — cichy i łagodny. Więźniowie ci ofiarowali przybyłemu trochę zgniłej i pełnej robactwa słomy, inaczej zmuszony byłby leżeć na ziemi zwalanej odchodami. Brotteaux w tych śmierdzących ciemnościach upadł na ławę. Nie mógł oddychać. Oczy jego przesłoniły się, uszy objęła wrzawa długotrwała, spokojna jak milczenie, czuł, że cały tonie w rozkoszonym niebycie. Przez nieporównaną chwilę wszystko było dlań harmonią, pogodnym blaskiem, wonią, słodyczą. Potem stracił świadomość bytu.

Kiedy przyszedł do siebie, rozpacz jego była tak wielka, że byłby sobie rozbił głowę o mur, gdyby miał siły po temu. Pozostał na swojej ławie nieruchomy, milczący i płakał z twarzą przypartą do ściany. Pierwszą myślą, jaka owładnęła jego umysłem, był żal, że omdlenie minęło. Jako filozof — nawet w osłupieniu rozpacz — pomyślał, że trzeba mu było zejść na dno więziennego lochu, by doświadczyć najwyższego wrażenia rozkoszy, jakiego kiedykolwiek zaznały jego zmysły. Próbował znowu zemdleć, ale nie udawało mu się, przeciwnie, czuł, jak zgniłe powietrze lochu wnika stopniowo do płuc wraz z ciepłem życia i przynosi mu świadomość strasznej nędzy żywota.

Tymczasem towarzysze poczytywali milczenie jego za ciężką obelgę. Brotteaux, towarzyski z natury, próbował zaspokoić ich ciekawość; ale gdy dowiedzieli się, że jest on więźniem „politycznym“, jednym z tych, którego zbrodnia jest popełniona tylko słowem lub myślą, nie uczuli dla niego ani szacunku, ani sympatii. Czyny zarzucone każdemu z tych dwóch więźniów były bardziej realne: starszy był mordercą, drugi — fałszerzem pieniędzy. Obaj godzili się ze swym położeniem i znajdowali w nim nawet pewne zadowolenie. Brotteaux zaś nagle pomyślał, że ponad jego głową wszystko jest ruchem, wrzawą, jasnością i życiem, że piękne kupcowe z gmachu sądowego uśmiechają się z za swych wystaw perfum i drobiazgów do wolnych i szczęśliwych przechodniów, i myśl ta powiększała jeszcze jego rozpacz.

Noc nadeszła, niepostrzeżona w mroku i milczeniu więziennego lochu, ciężka i posępna. Z nogą wyciągniętą na ławie, plecami opartymi o ścianę, Brotteaux zdrzemnął się. We śnie zdało mu się, że siedzi u stóp rozłożystego buka, w którego gałęziach śpiewa ptactwo, zachodzące słońce płynnymi promieniami pokrywa rzekę, brzegi obłoków zabarwione są purpurą.

Minęła noc. Brotteaux, trawiony silną gorączką, chciwie, prosto z dzbanka pił wodę, która jeszcze pogarszała jego cierpienie.

Nazajutrz strażnik, który przyniósł zupę, obiecał biednemu Brotteaux, że za wynagrodzeniem

umieści go w celi płatnej, jak tylko będzie wolne miejsce, co niebawem nastąpi. Istotnie na trzeci dzień stary finansista opuścił straszny loch. Za każdym stopniem, na który wstępował, Brotteaux czuł, że wraca mu siła i życie, i gdy na czerwonej posadzce pokoju ujrzał wznoszący się tapczan, okryty nędzną wełnianą kołdrą, zapłakał z radości. Złocone łoże z gruchającymi gołębiami, które niegdyś zrobić kazał dla najładniejszej tancerki Opery, nie wydawało mu się tak miłe i nie obiecywało tylu rozkoszy.

Tapczan ten znajdował się w wielkiej, dość czystej sali, która takich tapczanów mieściła osiemnaście; były one poprzedzielane wysokimi deskami. Towarzystwo mieszkające tu składało się z byłych arystokratów, kupców, bankierów, rzemieślników; spodobało się ono staremu finansście, umiał on bowiem zgodzić się z wszelkiego rodzaju ludźmi. Dziwiło go, że ci ludzie, jak on pozbawieni wolności i przyjemności i wystawieni na śmierć z ręki kata, są weseli i skłonni do żartów. Nie przywykły podziwiać bliźnich, dobry humor swych towarzyszków przypisywał lekkości ich umysłu, niezdolnego do poważnego rozpatrzenia własnej sytuacji. W tej myśli utwierdziło go i to, że najinteligentniejsi z nich byli głęboko smutni. W końcu zauważył, że większość w winie i wódce czerpie wesołość, która od źródła tego przybiera charakter gwałtowny, a niekiedy nieco szalony. Nie wszyscy szczyć się mogli odwagą, ale wszyscy ją okazywali. Nie zdziwiło to pana Brotteaux: wiedział, że ludzie chętnie przyznają się do okrucieństwa, złości, nawet do skąpstwa, ale nigdy do tchórzostwa, bo przyznanie to u ludów dzikich, a nawet w społeczeństwach cywilizowanych, narażałoby ich na śmiertelne niebezpieczeństwa. Dlatego też, myślał, wszystkie ludy są ludami bohaterów i wszystkie armie składają się z walecznych.

Brzęk broni i kluczy, zgrzyt zamków, nawoływania wartowników, tupania obywateli pod drzwiami Trybunału Rewolucyjnego bardziej jeszcze niż wódka i wino upajały więźniów i wywoływały u nich smutek, szal lub wściekłość. Niektórzy podrzynali sobie gardła brzytwą lub wyskakiwali z okna.

Po trzech dniach pobytu w nowej celi Brotteaux dowiedział się, że ojciec Longuemare siedzi na słomie zgniłej, pełnej robactwa, w towarzystwie złodziei i morderców. Kazał go przyjąć na oddział płatny, do izby, w której sam się znajdował, na opróżnione świeżo łóżko.

Zobowiązawszy się płacić za księdza, a nie mając wielkich funduszy, stary finansista umyślił malować portrety, po dukacie sztuka. Za pośrednictwem strażnika więziennego zaopatrzył się też w małe czarne ramki do oprawiania drobnych wyrobów z włosów, które dość zręcznie wykonywał. A roboty te były bardzo poszukiwane wśród ludzi pragnących pozostawić po sobie pamiątki.

Ojciec Longuemare nie upadał na duchu i umyśle. Czekał na wezwanie przed Trybunał Rewolucyjny, przygotował swą obronę. Nie odłączając swej sprawy od sprawy Kościoła,

zamierzał przedstawić sędziom krzywdę i niepokoję, jakie cierpi oblubienica Jezusa Chrystusa wskutek cywilnego zarządu duchowieństwem; chciał odmalować, jak najstarsza córka Kościoła prowadzi z papieżem świętokradzką wojnę, duchowieństwo francuskie ogałaca, gwałci, haniebnie poddaje ludziom świeckim; zakonników, tę prawdziwą straż Chrystusową, rabuje i rozpędza. Przytaczał świętego Grzegorza Wielkiego i świętego Ireneusza, liczne artykuły prawa kanonicznego i całe paragrafy papieskich dekretaliów. Cały dzień u stóp łóżka gryzmolił na kolanie, maczając zniszczone pióra gęsie, aż po kity, w atramencie, sadzach, fusach od kawy; drobnym, nieczytelnym pismem pokrywał papier od świec, od opakowania, gazety, okładki książek, stare listy, stare rachunki, karty do gry; przemyślał nawet, żeby użyć na ten cel koszuli, po uprzednim jej nakrochmaleniu. Gromadził kartkę po kartce i pokazując nieczytelne gryzmoły, mawiał:

— Kiedy stanę przed sędziami, zaleję ich wiedzą i światłem.

Pewnego dnia, spoglądając na coraz zwiększającą się obronę, z myślą o sędziach, których pragnął zawstydzić, zawołał:

— Nie chciałbym być na ich miejscu!... Więźniowie, których los zgromadził w tej celi, byli jedni rojalistami, inni umiarkowanymi, inni nieco jakobinami — Rewolucja zaczęła zabierać się i do swoich przyjaciół. Zapatrywania ich na sposób kierowania sprawami państwa były bardzo różne, jedność była w tym tylko, że żaden nie zachował ani śladu wierzeń chrześcijańskich. Feuillanci, konstytucjonalisci, zyrondyści uważali, tak jak i Brotteaux, że dla nich samych Bóg nie ma żadnej wartości, ale jest doskonały dla ludu. Jakobini na miejsce Jehowy stawiali boga jakobińskiego, aby jakobinizm z większej wysokości schodził na świat; a że i jedni, i drudzy pojąć nie mogli, by można być tak głupim i wierzyć w jakąś religię qbjawioną — a ojcu Longuemare nie zbywało na rozumie — uważali go przeto za obłudnika. Zapewne, by przygotować się do męczeństwa, wyznawał swą wiarę w każdej okoliczności, ale im bardziej okazywał się szczery, tym bardziej wyglądał na oszusta. Próżno Brotteaux zaręczał za dobrą wiarę księdza, nie wierzono po części również w to, co on sam mówił. Idee jego zbyt dziwne były, aby nie miały wydać się sztuczne, i nie zadowalały nikogo w zupełności. O Janie Jakubie Rousseau wyrażał się jako o płytkim łotrze. Za to Woltera stawiał w rzędzie ludzi boskich, nie równając go jednak z miłym Helvetiusem, Diderotem, baronem Holbachem. Jego zdaniem największym geniuszem stulecia był Boulanger. Cenił też bardzo astronoma Lalande'a i Dupuis, autora „Traktatu o pochodzeniu konstelacyj“.

Dowcipnisie ze wspólnej celi płatali biednemu barnabiecie tysiące figli, których on nie spostrzegał nigdy: niewinność i łagodność jego niweczyła wszystkie zasadzki.

Dla usunięcia żrącej troski i uniknięcia męki bezczynności więźniowie grali w warcaby, w

karty, w tryktraka. Instrumentów muzycznych nie wolno było posiadać. Po kolacji śpiewano, deklamowano wiersze. „Dziewica Orleańska“ Woltera wносиła nieco wesołości do serc tych nieszczęśliwych; niestrudzenie powtarzano sobie najlepsze z niej ustępy. Nie mogli jednak oderwać się od strasznej myśli, tkwiącej w ich sercach, próbowali więc czasem zrobić z niej zabawkę. Wtedy w celi o osiemnastu łózkach, przed zaśnięciem, bawiono się w Trybunał Rewolucyjny. Role rozdawane były według upodobań i zdolności. Jedni byli sędziami i oskarżycielem, drudzy oskarżonymi lub świadkami. Procesy te niezmiennie kończyły się traceniem skazanych, których rozciągano na łóżku, z szyją pod deską. Scena następnie przenosiła się do piekieł. Najzręczniejsi i najobrotniejsi z gromady, owinięci w prześcieradła, udawali widma. Młody adwokat z Bordeaux nazwiskiem Dubosc, mały, czarny, zezowaty, garbaty, z krzywymi nogami, uosobienie kulawego diabła, przychodził z przyprawionymi rogami wyciągać ojca Longuemare za nogi z łóżka i oznajmiał mu, że skazany jest na wiekuiste płomienie piekielne i potępiony bez pardonu za to, że z twórcy wszechświata czynił istotę zawistną, złą i głupią, wroga radości i kochania.

— Ha! Ha! Ha! — krzyczał groźnie ów diabeł. — Nauczałeś, stary bonzo, że Bogu podoba się, by jego twory jęczały w pokucie i odmawiały sobie najdroższych darów... Oszuście, obłudniku, fałszywco, siadaj na gwoździach i jedz skorupy jaj przez wieczność całą!

Na co ojciec Longuemare odpowiadał, że w tej przemowie zła diabła przebija filozof i że najlichszy szatan nie powiedziałby tylu głupstw, jest już bowiem nieco otarty o teologię i z pewnością nie jest takim ignorantem jak encyklopedysta.

Ale jeśli adwokat-żyrondyista nazwał go kapucynem, ojciec Longuemare gniewał się nie na żarty i mówił, że człowiek niezdolny odróżnić barnabity od franciszkanina nie dostrzeże muchy w mleku.

Trybunał Rewolucyjny opróżniał więzienia, które komitety znów napełniały bez wytchnienia: w przeciągu trzech miesięcy więzienna izba osiemnastu łózek została w połowie odnowiona. Ojciec Longuemare utracił swego diabełka. Adwokat Dubosc, stawiony przed Trybunałem Rewolucyjnym, skazany został na śmierć jako federalista, jako spiskowiec przeciwko jedności Republiki. Z Trybunału przeprowadzono go jak wszystkich skazanych przez korytarz przeryzujący więzienie, a wychodzący na pokój, który przez trzy miesiące ożywił był swą wesołością. Żegnając się z towarzyszami, zachował swój zwykły swobodny ton i minę wesołą.

— Wybacz pan — rzekł do ojca Longuemare — że cię za nogi z łóżka wyciągałem. Nie zrobię tego więcej.

I zwracając się do starego Brotteaux, rzekł:

— Żegnam pana, wyprzedzam cię do nicości. Chętnie oddaję przyrodzie pierwiastki, z

których się składam, życząc, by na przyszłość zrobiła z nich lepszy użytek; bo trzeba przyznać, że nie bardzo jej się udało.

I poszedł do kancelarii, zostawiając pana Brotteaux w smutku. Ojciec Longuemare zaś, drżący i zielony jak liść, był w pół martwy, w pół żywy, widząc, jak bezbożnik śmieje się na brzegu przepaści.

Gdy germalinal przywrócił dnie pogodne, Brotteaux, sybaryta, kilka razy dziennie schodził na dziedziniec graniczący z oddziałem kobiet, ze studnią, do której uwięzione przychodziły co rano prac swoją bieliznę. Krata przedzielała obie części więzienia; nie była ona jednak tak gęsta, aby nie można było podać sobie ręki lub ust złączyć w pocałunku. Pod osłoną poblązliwej nocy tworzyły się tu pary. Wtedy Brotteaux dyskretnie usuwał się na schody, siadał na stopniu, wyciągał Lukrecjusza z kieszeni brunatnego surduta i przy świetle latarni czytał kilka surowo pocieszających zdań: „Sic ubi non erimus... Gdy żyć przestaniemy, nic nie zdoła nas wzruszyć, ani niebo, ani ziemia, ani morze, łączące swoje szczątki“... Ale nawet rozkoszując się swą wysoką mądrością, Brotteaux zazdrościł barnabiecie tego szału, który zakrywał mu wszechświat.

Terror wzrastał z miesiąca na miesiąc. Co noc pijani strażnicy z czujnymi psami szli od jednej celi więziennej do drugiej, roznosili akty oskarżenia, wykrzykiwali nazwiska, kalecząc je, budzili więźniów i dla dwudziestu wyznaczonych ofiar przerażali dwieście. Przez te korytarze pełne krwawych powracających cieni, cieni żyrondistów, cieni królowej, pani Roland — przechodziło codziennie bez skargi dwudziestu, trzydziestu, pięćdziesięciu skazanych: starców, kobiet, młodzieńców, tak różnych stanem, charakterem, uczuciami, że nastroczało się pytanie, czy nie są wyznaczeni losem.

A tymczasem grano w karty, spijano wino burgundzkie, robiono projekty, naznaczano sobie schadzki nocą przy kracie. Towarzystwo, prawie zupełnie zmienione, było teraz w znacznej części rewolucyjne i patriotyczne. Wszelako izba osiemnastu łóżek była jeszcze przybytkiem elegancji i dobrego tonu oprócz dwóch więźniów, świeżo przeniesionych z Luksemburgu do Conciergerie, obywateli Navette i Bellier, których podejrzewano, że są „szpiclami“, reszta towarzystwa składała się z ludzi uczciwych, mających do siebie zupełne zaufanie. Świącono tu z kielichem w ręku zwycięstwa Republiki. Było w zgromadzeniu tym kilku poetów, jak trafia się to zawsze w zgromadzeniu ludzi beczynnych. Najzdolniejsi tworzyli ody na cześć triumfów armii nadreńskiej i deklamowali je z przejęciem. Oklaskiwano ich hałaśliwie. Tylko Brotteaux słabo wychwalał zwycięzców i ich piewców.

— Od czasów Homera jest to dziwną manią poetów — rzekł pewnego dnia — wysławiać żołnierzy. Wojna nie jest sztuką i wypadek jedynie rozstrzyga losy bitew. Z dwóch stojących do walki generałów obaj są głupi, a jeden koniecznie zwyciężyć musi. Możecie liczyć na to,

że któregoś dnia jeden z tych pobrzękiwaczy szablą, których tak wielbicie, połknie was, jak żuraw z bajki połyka żaby. Wtedy dopiero będzie bogiem! Bo bogowie znają się na apetycie. Brotteaux nigdy nie był czuły na sławę oręża. Nie cieszył się bynajmniej triumfami Republiki, które był przewidział. Nie lubił nowego porządku rzeczy, wzmocnionego przez zwycięstwa. Był niezadowolony. Powodów do tego miał chyba dość.

Pewnego ranka zapowiedziano, że komisarze Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego przeprowadzą rewizję u więźniów i zabiorą asygnaty, przedmioty złote i srebrne, noże, nożyczki. Podobnie przeszukiwano więzienie w Luksemburgu i zabrano listy, papiery, książki.

Każdy przemyślał nad wynalezieniem kryjówki, gdzie mógłby schować, co ma najdroższego. Ojciec Longuemare paczkami wyniósł obronę swą do rynny. Brotteaux wpuścił Lukrecjusza w popiół komina.

Gdy komisarze z trójkolorowymi wstęgami na szyi przyszli zrobić rewizję, znaleźli tylko to, co uważano za właściwe im zostawić. Po ich odejściu ojciec Longuemare pobiegł do rynny i wziął ze swej obrony to, co wiatr pozostawił. Brotteaux wyciągnął z komina czarnego od sadzy Lukrecjusza. „Korzystajmy z chwili obecnej — pomyślał — bo wnoszę z pewnych znaków, że odtąd czas jest nam ściśle odmierzony...”

Pewnej łagodnej nocy w prairialu, gdy nad dziedzińcem więziennym na bladym niebie księżyc wystawiał swe srebrne rogi, Brotteaux jak zwykle czytał Lukrecjusza na stopniu kamiennych schodów. Nagle usłyszał głos wołający go, głos kobiecy, głos cudny, którego nie poznawał. Zeszedł na dziedziniec i ujrzał za kratą kształt, którego tak jak i głosu nie pamiętał, a który swymi niewyraźnymi i wdzięcznymi zarysami przypominał mu wszystkie kochane niegdyś kobiety. Niebo oblewało tę postać błękitem i srebrem i Brotteaux poznał nagle śliczną aktorkę teatru z ulicy Feydeau, Różę Thevenin.

— Ty tu, moje dziecko! Rozpaczą jest dla mnie radość widzenia cię tutaj. Od kiedy i dlaczego tu jesteś?

— Od wczoraj.

I bardzo cicho dodała:

— Doniesiono na mnie jako na rojalistkę. Oskarżona jestem o spisek w celu ocalenia królowej. Wiedziałam, że pan tu jesteś, i zaraz usiłowałam zobaczyć się z panem. Słuchaj mnie, przyjacielu... pozwalasz przecie, bym cię tak nazywała?... Znam ludzi na stanowisku; mam, wiem o tym, życzliwych nawet w Komitecie Ocalenia Publicznego. Każę działać przyjacielom moim... uwolnią mnie, a potem ja uwolnię pana.

Ale Brotteaux rzekł nagłym głosem:

— Na wszystko, co ci jest drogie, moje dziecię, nie czyn tego! Nie pisz, nie rób żadnych

starań, nie żądaj niczego od nikogo, błagam cię, niech raczej zapomną o tobie!

Nie zdawała się być przejętą tym, co mówił. Brotteaux począł mówić jeszcze błagalnie.

— Zachowaj milczenie, Rózo, niech zapomną o tobie; w tym jest zbawienie. Cokolwiek przedsięwzięliby twoi przyjaciele, przyspieszyliby tylko twoją zgubę. Zyskaj na czasie!

Niewiele go trzeba, bardzo niewiele, mam nadzieję, żeby cię ocalić... A głównie nie próbuj wzruszyć sędziów, przysięgłych, takiego Gamelina. To nie są ludzie, to są przedmioty: z przedmiotami nie ma co mówić. Daj im zapomnieć o sobie. Jeśli pójdiesz za moją radą, moja droga, umrę szczęśliwy, że ocaliłem ci życie.

— Będę ci posłuszna... — odrzekła. — Ale nie mów o śmierci.

Wzruszył ramionami.

— Moje życie skończone, moje dziecię. Żyj i bądź szczęśliwa!

Wzięła jego rękę i przycisnęła je do łona.

— Posłuchaj mnie, przyjacielu... Widziałam cię tylko przez jeden dzień, a jednak nie jesteś mi obojętny. I jeśli to, co ci powiem, może przywiązać cię do życia, wierz mi: będę dla ciebie... wszystkim, czym zechcesz, abym była.

I przez kratę pocałowali się w same usta.

## XX

Ewaryst Gamelin podczas niepomnie długiej rozprawy w Trybunale, siedząc na swej ławie, znużony gorącem w sali, przymyka oczy i duma.

„Niegodziwcy, którzy zmuszali Marata do chowania się po lochach, zrobili zeń ptaka nocnego, ptaka Minerwy, którego oko przenikało spiskowców, kryjących się w ciemnościach. Teraz spojrzenie błękitne, zimne, spokojne przenika wrogów państwa i wyszukuje zdrajców z subtelnością nie znaną nawet Przyjacielowi Ludu, śpiącemu snem wiecznym w ogrodzie kordelierów. Nowy zbawca, równie gorliwy, a przenikliwszy niż pierwszy, widzi, czego nie dostrzegł nikt, a jego wzniesiona ręka rozsiewa trwogę. Odróżnia on delikatne, niedostrzegalne odcienie, dzielące zło od dobra, zbrodnię od cnoty, które bez niego mieszałyby się ze szkodą ojczyzny i wolności; kreśli on przed sobą wąską, pewną linię, poza którą na prawo i lewo jest tylko błąd, zbrodnia i nikczemność. Nieprzedajny naucza, jak służyć się zagranicy przesadą lub słabością, gdy się prześladuje wiarę w imię rozumu, a w imię religii opiera się prawom Republiki. Służą zagranicy zarówno nędznicy, którzy zabili Le Peltiera i Marata, jak i ci, co oddają im cześć boską dla zniesławienia ich pamięci. Ajentem zagranicy jest każdy, kto odrzuca idee ładu, miary, rozsądku, wyrozumiałości; ajentem zagranicy każdy, kto obraża obyczaje, ubliża cnotę i w niepowściągliwości serca swego zaprzecza Bogu. Fanatyczni księża zasługują na śmierć; ale kontrewolucją może być też

zwalczanie fanatyzmu, denuncjacja bywa też czasem zbrodniczą. Umiarkowani gubią Republikę, gubią ją gwałtowni.

Och, jak straszne są obowiązki sędziowskie, dyktowane przez najrozumniejszego z ludzi! Godzić trzeba już nie tylko w arystokratów, w federalistów, w łotrów z frakcji Orleańskiej, w jawnych wrogów ojczyzny! Spiskowiec, agent zagranicy to Proteusz, przybiera on wszelkie postacie; wdziewa na się pozór patrioty, rewolucjonisty, wroga królów; udaje śmiałość serca bijącego tylko dla wolności; natęża głos, drżą przed nim wrogowie Republiki: to Danton; jego gwałtowność źle ukrywa jego ohydne umiarkowanie i. zepsucie jego ujawnia się wreszcie... Spiskowcem, agentem zagranicy był ten wymowny jakała, co pierwszy przypiął do swego kapelusza kokardę rewolucjonistów, ten pamphletysta, który w swej ironicznej i okrutnej prawomyślności sam nazwał się dostawcą dla latarni) — ów Kamil Desmoulins; zdradził się broniąc generałów-zdrajców i żądając dla nich karygodnej i niestosownej litości... To Philippeaux, Herault, niecny Lacroix... Spiskowcem, agentem zagranicy jest ów ojciec Duchesne, który poniża wolność swą niską demagogią i którego nieludzkie oszczerstwa nawet Antoninę interesującą czyniły... Takim też był Chaumette, którego widziano przecie łagodnym, popularnym, umiarkowanym, dobroduszny i cnotliwym w zarządzie Komuny, ale był przecież ateuszem... Spiskowcami, agentami zagranicy są wszyscy ci sankiuloci w czerwonych czapkach, karmaniolach, sabotach, którzy z jakobinami przesadzali się w patriotyzmie... Spiskowcem, agentem zagranicy jest ten Anacharsis Cloots, obrońca rodu ludzkiego, skazany na śmierć przez wszystkie monarchie świata: ale po nim wszystkiego należało się spodziewać — był Prusakiem...

Teraz wszyscy oni, gwałtowni czy umiarkowani, wszyscy niegodziwi i zdrajcy, Danton, Desmoulins, Hebert, Chaumette, zginęli pod toporem. Republika ocalona; zgodny chór zachwyty unosi się ze wszystkich komitetów, ze wszystkich zgromadzeń ludowych ku Maksymilianowi i Górze. Prawowierni obywatele wołają: «Godni przedstawiciele wolnego narodu, daremnie dzieci Tytanów podnosiły swe dumne głowy: dobroczynna Góro, opiekuńczy Synaju, z twego wrzącego łona buchnął zbawczy grom...

W tym chórze pochwalnym i Trybunał ma swoją część uznania. Jak słodko jest być cnotliwym, sercu nieskazitelnego sędziego jakże drogą jest wdzięczność ogólna!

A jednak dla patriotycznego serca co za zdziwienie, co za powód do niepokoju! Dla zdrady sprawy narodowej nie dosyć było Mirabeau, Lafayette'a, Bailly, Petiona, Brissota? Trzeba było do nich dołączyć tych, którzy na tych zdrajców wskazywali. Wszyscy ci ludzie, którzy zrobili Rewolucję, zrobili ją na to, by ją zgubić! Ci wielcy obywatele, twórcy wielkich dni, przygotowywali z Pittem i Koburgiem panowanie Orleanów lub opiekę nad nieletnim Ludwikiem XVII! Danton to był Monk! Chaumette i hebertyści, gorsi zdrajcy od



federalistów, których pod topór pchnęli, sami knuli zgubę Państwa! A wśród tych, co na śmierć ślą zdrajców Dantonów i zdrajców Chaumette'ów, czyż błękitne oko Robespierre'a nie znajdzie jutro gorszych jeszcze zdrajców? Gdzież koniec niecnego łańcucha zdradzanych zdrajców i gdzie kres przenikliwości Nieprzedajnego ?“...

## XXI

Julia Gamelin, ubrana w swój ciemnozielony płaszcz męski, chodziła codziennie do Ogrodu Luksemburskiego i tam na ławce u końca alei czekała chwili, gdy jej kochanek ukazywał się w jednym z okien pałacu na poddaszu. Dawali sobie znaki i porozumiewali się w milczącej mowie, którą sobie sami wymyślili. Wiedziała w ten sposób, że więzień ma niezły pokój i przyjemne towarzystwo, że potrzebna mu jest kołdra i kamionka i że czule kocha swą kochankę. Julia nie sama tylko śledziła drogą twarz w tym pałacu, zamienionym na więzienie. Obok niej młoda matka uparcie trzymała wzrok na jednym z okien i gdy się odmykało, unosiła swe małe dziecko nad głowę, aby je więzień mógł widzieć. Staruszka szczerze zawołowana całymi godzinami siadywała na składanym krześle, z nadzieją ujżenia na chwilę syna, który, ażeby się nie roztkliwiać, aż do zamknięcia ogrodu grał w palanta na dziedzińcu więziennym.

Podczas tych długich postojów, pod słońcem szarym lub błękitnym, pewien człowiek w wieku dojrzałym, dość tęgi, bawiący się tabakierką lub brelokami, bardzo schludny, przesiadywał na pobliskiej ławce; rozkładał gazetę, ale nigdy jej nie czytał. Był ubrany wedle starej mieszczańskiej mody: trójgraniasty kapelusz obszyty złotym galonem, śliwkowy frak, niebieska, srebrem haftowana kamizelka. Wyglądał na zacnego człowieka; jak można było wnioskować po sterczącym mu z kieszeni flecie, był muzykiem. Ani na chwilę nie spuszczał oczu z rzekomego młodzieńca, stale się doń uśmiechał, a ilekroć widział, że ów zabiera się do odejścia, wstawał także i z daleka szedł za nim. Julia, w smutku swym i opuszczeniu, wzruszona była dyskretną sympatią, jaką okazywał jej ten poczciwiec.

Pewnego dnia, gdy wychodziła z ogrodu, zaczął padać deszcz i nieznajomy podszedł do Julii, otwierając swój ogromny czerwony parasol i pytając, czy wolno mu ją osłonić. Odrzekła mu z cicha, swoim delikatnym głosem, że się zgadza. Ale on, na dźwięk tego głosu i zapewne uderzony subtelnym zapachem kobiety, odszedł szybko, zostawiając wśród potoków deszczu Julię, która, mimo że przytłoczona troskami, nie mogła powstrzymać śmiechu.

Julia mieszkała na poddaszu przy ulicy Cherche-Midi, gdzie podawała się za szukającego pracy subiekta. Obywatelka wdowa Gamelin przekonana wreszcie, że córce największe niebezpieczeństwo zagraża właśnie przy niej, oddaliła ją z placu Thionville i sekcji Pont-Neuf, lecz o ile możliwości zaopatrywała ją w żywność i bieliznę. Julia gotowała trochę, szła do

Luksemburgu zobaczyć kochanka i wracała do swego schroniska. Jednostajność tego zajęcia usypiała jej smutki, a że była młoda i silna, spała noc całą snem głębokim. Z charakteru śmiała, przywykła do przygód, zachęcona może męską swą odzieżą, szła niekiedy nocą do kawiarni przy ulicy du Four, pod godłem „Czerwonego Krzyża“, gdzie bywali ludzie różnego gatunku i płochy kobiety. Czytywała tam gazety i grywała w tryktraka z kusym kupczykiem lub żołnierzem, co dmuchał jej z fajki prosto w twarz. Pito tam, grano, nawiązywano stosunki miłosne, często dochodziło do bitki. Pewnego wieczora jakiś pijak, słysząc szczęk końskich kopyt na bruku ulicznym, odsunął firankę i poznając dowódcę gwardii narodowej, obywatela Hanriot, przejeżdżającego galopem w otoczeniu sztabu, mruknął pod nosem:

— Oto osioł Robespierre'a!

Na te słowa Julia wybuchnęła śmiechem.

Ale jakiś wąsaty patriota nie puścił płazem tego żartu:

— Kto tak mówi — zawołał — jest przeklętym arystokratą, którego chętnie widziałbym kichającego w koszyk Sansona! Powinieneś wiedzieć, że generał Hanriot to zacny syn ojczyzny, który w razie potrzeby potrafi bronić Paryża i Konwentu. I tego mu rojaliści nie mogą wybaczyć.

I wąsaty patriota, patrząc w twarz Julii, która nie przestawała się śmiać, dodał:

— A ty, zóitodziobie, uważaj, abym nie obdarzył cię kopniakiem i nie pouczył, jak trzeba cenić tych, co kochają ojczyznę.

Ale już podniosły się głosy:

— Hanriot to pijak i dureń!

— Hanriot jest dobrym jakobinem! Niech żyje Hanriot!

Utworzyły się dwa stronnictwa. Ludzie rzucili się ku sobie, pięści spadły na pogniecione kapelusze, stoły runęły na ziemię, poleciały z trzaskiem szyby, pogasły światła, kobiety zaczęły przeraźliwie krzyczeć. Zaatakowana przez patriotę Julia chwyciła ławeczkę, ale obalono ją, więc zaczęła drapać i gryźć napastników. Spod rozpiętego płaszcza i rozdartego żabotu wyjrzała dysząca pierś. Na zgiełk przybiegł patrol i młoda arystokratka przemknęła wśród żandarmskich nóg.

Co dzień wózki pełne były skazańców.

— Nie mogę przecież dać zginąć memu kochankowi! — mówiła Julia do matki.

Postanowiła prosić, czynić starania, iść do komitetów, do biur, do reprezentantów, do sędziów, wszędzie, gdzie trzeba będzie. Nie miała sukni. Matka pożyczyła dla niej od obywatelki Blaise suknię w paski, chusteczkę, czepeczek koronkowy i Julia, ubrana jak kobieta-patriotka, udała się do sędziego Renaudin, mieszkającego w ciemnym, wilgotnym domu, na ulicy Mazarine.

Drżąc wstępowała na drewniane schody i drżąca cała weszła do nędznego gabinetu, którego umeblowanie składało się z sosnowego stołu i dwóch wyplatanych krzeseł; papier obicia wisiał w strzępach. Renaudin, z czarnymi, jakby przylepionymi włosami, z posępnym okiem, wargą odętą i wystającym podbródkiem, dał jej znak, by mówiła, i słuchał w milczeniu. Powiedziała mu, że jest siostrą obywatela Fortunata Chassagne, więzionego w Luksemburgu; jak najzręczniejszy przytoczyła okoliczności, w których został uwięziony, przedstawiła jego niewinność i nieszczęścia, była wymowna i natrętna.

Renaudin pozostał niewzruszony i surowy.

Wtedy błagająca ze łzami rzuciła mu się do nóg.

Gdy ujrzał łzy, twarz jego zmieniła się: czerwonawoczarne źrenice zapłonęły, ogromne sine szczęki poruszyły się, jak gdyby dla zwilżenia śliną wyschłej krtani.

— Obywatelko, zrobi się, co należy. Bądź spokojna. — I otworzywszy jakieś drzwi, wepchnął proszącą do małego różowego saloniku, w którym były artystycznie malowane ściany, grupy biskwitowe, zegar i złożone świeczniki, fotele i gobelinowa kanapa, przyozdobiona sielanką Bouchera. Julia gotowa była na wszystko, byle ratować kochanka. Renaudin był szybki i brutalny. Gdy podniosła się, poprawiając piękną suknię obywatelki Elodii, spotkała okrutne i szydercze spojrzenie tego człowieka i uczuła natychmiast, że spełniła niepotrzebną ofiarę.

— Obiecałeś mi pan wolność mego brata — rzekła. Roześmiał się.

— Powiedziałem, obywatelko, że zrobi się, co potrzeba, to znaczy, że zastosuje się prawo, ani mniej, ani więcej. Powiedziałem ci, abyś była spokojna, bo i dlaczego miałabyś być niespokojna? Trybunał Rewolucyjny jest zawsze sprawiedliwy.

Chciała rzucić się, kąsać, oczy mu wydrzeć. Ale czując, że tym do reszty zgubi Fortunata Chassagne, uciekła, pobiegła na swe poddasze, aby zerwać z siebie suknię Elodii. Tu, sama, wyła noc całą z wściekłości i żalu.

Nazajutrz, gdy udała się do Luksemburgu, ogród był już zajęty przez żandarmów, wypędzających kobiety i dzieci. Warty stojące w alejach nie dopuszczały, by przechodnie porozumiewali się z więźniami. Młoda matka, która codziennie przychodziła z dzieckiem, powiedziała Julii, że mówią o spisku w więzieniu i że zarzucają kobietom, iż gromadzą się w ogrodzie, aby wzruszyć lud i przychylnie usposobić go wobec arystokratów i zdrajców

## XXII

Wzgórze wyrosło nagle w ogrodzie Tuileries. Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

Maksymilian kroczy przed swymi kolegami w niebieskim fraku i żółtych spodniach, trzymając

w rękach bukiet kłosów, bławatków i kąkoli. Wstępuje na wzgórek i wzruszonej Republice obwieszcza boga: Jana Jakuba Rousseau. O czystości! O słodyczy! O wiaro! O prostoto antyczna! O lzy litości! O płodna roso! O miłosierdzie! O braterstwo ludzkie!

Na próżno ateizm podnosi jeszcze swe wstrętne oblicze: Maksymilian chwyta pochodnię, płomienie stawiają potwora i oto jawi się Mądrość: jedną ręką wskazuje niebo, w drugiej trzyma wieniec z gwiazd.

Na estradzie ustawionej przy pałacu Tuileries Ewaryst wśród wzruszonego tłumu wylewa słodkie lzy szczęścia i wielbi Boga. Widzi początek ery szczęścia i pomyślności.

— Będziemy wreszcie szczęśliwi, niewinni, jeśli łotry pozwolą na to....

Niestety! Łotry nie pozwolili. Trzeba jeszcze karni, trzeba jeszcze strumienia krwi nieczystej. Trzy dni po święcie nowego przymierza i pojednaniu nieba i ziemi Konwent wydaje prawo prairiala, które v. rodzajem okrutnej dobroduszości znosi wszelkie tradycyjne formy prawne, wszystko, co od czasu sprawiedliwych Rzymian podjęto dla ochrony posądzonej niewinności.

Nie trzeba już śledztw, badań, świadków, obrońców, miłość ojczyzny zastąpi wszystko. Oskarżony, kryjący w sobie swą zbrodnię lub niewinność, staje bez słów przed przysięgłym-patriotą. I przez ten czas trzeba rozpoznać jego sprawę, często trudną, zawiłą. Jak sędzić teraz? Jak odróżnić w jednej chwili uczciwego człowieka od zbrodniarza, patriotę — od wroga ojczyzny?...

Po chwilowym zmieszaniu Gamelin zrozumiał nowe swe obowiązki i przystosował się do nowych czynności. Widział w tym skróceniu procedury prawdziwe cechy tej zbawiennej i strasznej sprawiedliwości, której kapłani nie są dostojnikami, ważącymi za i przeciw na swych wagach antycznych, lecz sankiulotami sądzącymi w olśnieniu patriotycznym, widzącymi wszystko w jednym błysku. Podczas gdy pewność, ostrożność wszystko zgubić mogły, porywy serca prawego ratują wszystko. Trzeba iść za impulsem przyrody, tej dobrej matki, która nie myli się nigdy; trzeba sędzić sercem — i Gamelin wzywał cienie Jana Jakuba Rousseau:

— Mężu cnotliwy, natchnij mnie, wraz z miłością dla ludzi daj mi gorliwość w dziele odrodzenia ich!

Jego koledzy myśleli podobnie. Byli to przeważnie ludzie prości, toteż gdy formy zostały uproszczone, czuli się spokojniejsi. Skrócona procedura sądowa zadowalała ich. Nic już nie trwożyło ich w jej przyśpieszonym pochodzie. Dowiadawali się jedynie o przekonania oskarżonych, pewni, że kto nie ma złego zamiaru, nie może odmiennie od nich myśleć. Ponieważ sędzili, że posiadają prawdę, mądrość, dobroć najwyższą, przeciwnikom przypisywali błędy i zło. Czuli się silnymi: widzieli Boga.

Widzieli Boga ci przysięgli Trybunału Rewolucyjnego! Istota Najwyższa, uznana przez Maksymiliana, zlewała na nich swe światło. Kochali i wierzyli.

Krzesło oskarżonego zastąpiła teraz obszerna estrada, mogąca pomieścić do pięćdziesięciu osób: obecnie sądzono i skazywano tylko hurtem. Oskarżyciel publiczny wciągał w jedną sprawę i oskarżał o współnictwo osoby, które przed sądem widziały się po raz pierwszy. Trybunał Rewolucyjny, ze strasznym ułatwieniem ustawy z prairiala, osądził owe rzekome spiski więzienne, które — jako że nastąpiły po karach na dantonistów i Komunę — kunsztem myśli subtelnej i sztuczną symetrią z nimi powiązano. I ażeby istotnie widziano w nich głównie dwie cechy spisku przeciw Republice, podsycanego złotem zagranicy, a mianowicie: umiarkowanie nie na czasie i wyrachowaną przesadę, aby w tym spisku widziano jeszcze zbrodnię dantonistów i hebertystów — wciągnięto doń dwie zupełnie różne głowy, dwie głowy kobiece.“ wdowę po Kamilu, tę wdzięczną Lucyllę, i wdowę po hebertyście Momoro, jednodniową boginkę i wesołą kumoszkę. Obie dla symetrii zamknięto w tym samym więzieniu, obie płakały na tej samej kamiennej ławie i obie dla symetrii wstąpiły na szafot. Symbol zbyt zręczny, arcydzieło równowagi wymyślone zapewne przez jakąś duszę prokuratorską; lecz zaszczyt tego pomysłu przypisano Maksymilianowi. Temu przedstawicielowi ludu przypisywano wszystkie szczęśliwe czy nieszczęśliwe zdarzenia w Republice: prawa, ustawy, obyczaje, przebieg pór roku, urodzaje, choroby.

Niesprawiedliwość zasłużona, bo ten mały człowieczek, czyściutki i wątyły, z twarzą kota, miał wszechwładną moc nad ludem...

Trybunał tego dnia załatwiał się z częścią wielkiego spisku więziennego, z trzydziestoma spiskowcami z Luksemburgu; byli to więźniowie bardzo ulegli, ale zdecydowani rojaliści lub federaliści. Oskarżenie opierało się w całości na świadectwie jednego denuncjanta. Przysięgli nie wiedzieli nic z całej sprawy, nie znali nawet nazwisk spiskowców. Gamelin, rzuciwszy okiem na ławę oskarżonych, poznał wśród nich Fortunata Chassagne. Kochanek Julii, choć zbiedzony długą niewolą, blady, z rysami zaostrzonymi przez jaskrawe światło zalewające salę, zachował jednak pewien wdzięk i dumę. Oczy jego spotkały się z oczami Gamelina; zabłysła w nich pogarda.

Gamelin, wściekły w duszy, lecz pozornie spokojny, wstał, poprosił ogłoś i z oczami utkwionymi w popiersie Brutusa Starszego, wznoszące się nad trybunałem, rzekł:

— Obywatelu prezesie, chociaż między mną a jednym z oskarżonych istnieją węzły, które, gdyby zozostały uznane, byłyby węzłami powinowactwa, oświadczam, że się nie zrzekam pełnienia urzędu. Brutusowie nie cofnęli się, gdy dla ocalenia Republiki lub sprawy wolności musieli skazać syna, ugodzić w przybranego ojca. Gamelin siadł.

— Oto skończony łotr! — szepnął przez zęby Chassagne.

Publiczność pozostała chłodną, czy to dlatego, że dość już miała tych szczytnych charakterów, czy też że Gamelin zbyt łatwo odnosił zwycięstwo nad przyrodzonymi uczuciami.

— Obywatelu Gamelin — odrzekł prezes — według ustawy każde zrzeczenie się winno być wniesione piśmiennie na dwadzieścia cztery godziny przed otwarciem rozprawy. Zresztą nie ma powodu, byś się cofał: przysięgły-patriota stoi ponad namiętnościami.

Każdego oskarżonego wypytywano przez trzy, cztery minuty. Wywody doprowadziły do żądania kary śmierci dla wszystkich. Przysięgli głosowali za nią słowem, skinieniem głowy lub przez aklamację. Gdy przyszła kolej na Gamelina, rzekł:

— Wszystkim oskarżonym winy dowiedziono i prawo jest stanowcze.

Gdy zstępował ze schodów sądu, młody człowiek, wyglądający na lat siedemnaście lub osiemnaście, w ciemnozielonym płaszczu, zatrzymał go nagle. Miał na głowie okrągły kapelusz w tył odrzucony, którego brzegi tworzyły czarną aureolę wokół jego bladej, pięknej głowy. Wyprostowany przed przysięgłym, krzyknął strasznym głosem gniewu i rozpaczony :

— Łotrze, potworze, morderco! Ugodź we mnie, nikczemniku! Jestem kobietą! Każ mnie aresztować, każ mnie gilotynować, Kainie! Jestem twoją siostrą.

Julia plunęła mu w twarz.

Tłum megier i sankiulotów osłabł już był w swej czujności rewolucyjnej: obywatelska żarliwość ochłodziła znacznie; wokół Gamelina i jego napastnika wszczął się tylko niepewny i chaotyczny ruch. Julia przebiła się przez zbiegowisko i znikła w mrokach zmierzchu.

### XXIII

Ewaryst Gamelin był bardzo znużony, a nigdzie nie mógł znaleźć wypoczynku. Po dwadzieścia razy nagle budził się w nocy z ciężkiego snu, pełnego mar i przywidzeń. Jedynie w błękitnym pokoiku, w ramionach Elodii mógł spać kilka godzin. Mówił, krzyczał przez sen i budził ją: ale ona nie rozumiała jego słów.

Pewnego poranka, po nocy, kiedy widział Eumenidy, przebudził się złamany strachem i słaby jak dziecko. Przez firanki wciskały się do pokoju blade promienie świtu. Zwichrzone nad czołem włosy Ewarysta czarną zasłoną zakrywały mu oczy, Elodia u wezglowia łóżka łagodnie odgarniała te splątane kędzioły. Tym razem patrzyła na niego z czułością siostry i chusteczką ocierała zimny pot z czoła nieszczęśliwego. Przypomniała mu się wówczas owa scena z „Orestesa“ Eurypidesowego, ów obraz, który byłby może jego arcydziełem: scena, gdzie nieszczęśliwa Elektra ociera pianę z ust brata. I zdało mu się, że słyszy Elodię, jak mówi głosem łagodnym: „Posłuchaj mnie, bracie ukochany, teraz, gdy Furie nie mącą twego umysłu“ ... I rozmyślał:

„A jednak nie jestem ojcobójcą. Przeciwnie, przez miłość synowską przelewałem nieczystą krew wrogów mej ojczyzny“.

## XXIV

Nie było końca spiskom w więzieniach. Czterdziestu dziewięciu oskarżonych zapełniało stopnie. Maurycy Brotteaux zajmował najwyższy stopień na prawo, miejsce naczelne. Ubrany był w swój brunatny surdut; dzień przedtem oczyścił go starannie i zacerował koło kieszeni, zużytej wreszcie częstym wyciąganiem ulubionego Lukrecjusza. Obok niego Ludwika Rochemaure, wymalowana, uróżowana, jaskrawa, straszna. Ojca Longuemare umieszczono między nią a prostytutką Atenais, która w więzieniu Madelonnettes odzyskała świeżość pierwszej młodości.

Żandarmi wpychali na stopnie ludzi, których ci oskarżeni nie znali wcale, którzy może nie znali się między sobą, jednak wszyscy mieli być współnikami tej samej sprawy: posłowie, wyrobnicy, byli arystokraci, mieszczenie i mieszcanki. Obywatelka Rochemaure spostrzegła Gamelina na ławie przysięgłych. Chociaż nie odpowiedział był na jej naglące listy, na często powtarzane prośby, pokładała w nim jednak ciągle nadzieję, przesłała mu też błagalne spojrzenie i usiłowała być dlań piękną i wzruszającą. Ale zimne spojrzenie młodego urzędnika odjęło jej wszelkie złudzenia. Pisarz odczytał akt oskarżenia, który choć zwięzły dla każdego oskarżonego, był długi ze względu na ich liczbę. W głównych zarysach przedstawiał spisek, knowany w więzieniach dla zatopienia Republiki we krwi przedstawicieli narodu i ludu paryskiego. Podnosząc poszczególny w nim udział każdego z oskarżonych, akt głosił:

„Jednym z najniebezpieczniejszych twórców tego obrzydłego sprzysiężenia jest wymieniony Brotteaux, były arystokrata nazwiskiem des Ilettes, dzierżawca podatkowy za czasów tyra. Osobnik ten nawet za czasów tyranii zwracał na siebie uwagę swym rozwiązłym postępowaniem. Jest on jawnym dowodem, że rozpusta i złe obyczaje są największymi wrogami wolności i szczęścia ludów; istotnie, roztrwoniwszy pieniądze publiczne i wyczerpawszy na orgie i rozpustę znaczną część mienia ludu, osobnik ten zmówił się ze swą dawną nałożnicą. Ludwiką Rochemaure, i korespondował z emigrantami dla zdradzieckiego informowania zagranicy o stanie naszych finansów, o ruchach naszych wojsk i zmianach opinii.

Brotteaux w tym okresie swego godnego wzgardy istnienia żył na wiarę z prostytutką Atenais, podjętą z błota ulicy Fromenteau; bez trudu pozyskał ją dla swych zamiarów i użył jej do podsycania kontrrewolucji za pomocą bezczelnych krzyków i nieprzyzwoitych wymysłów.

Kilka zdań tego złowrogiego człowieka okaże nam jasno jego wstrętne idee i cel szkodliwy. Mówiąc o patriotycznym Trybunale, powołanym dziś do ukarania go, wyrażał się czelnie: „Trybunał Rewolucyjny podobny jest do sztuki Williama Szekspira, gdzie do scen krwawych dodaje się najtrywialniejsze blażeństwa. Ustawicznie zachwalał ateizm jako najpewniejszy środek zdemoralizowania i poniżenia ludu. W więzieniu Conciergerie, gdzie przebywał, biadał nad zwycięstwami naszych dzielnych armii, uważając je za największą klęskę, i usiłował rzucić podejrzenie na najbardziej patriotycznych generałów, pomawiając ich o tyrańskie zamysły. Przygotujcie się na to — mawiał — że pewnego dnia jeden z tych pobrzękiwaczy szablą, któremu winniście swe ocalenie, połknie was wszystkich, jak żuraw z bajki połknął żaby“.

Akt oskarżenia głosił dalej:

„Ludwika Rochemaure, była arystokratka, nałożnica Brotteaux, nie mniej odeń zawiniła. Nie tylko korespondowała z zagranicą i była na żołdzie samego Pitta, ale do spółki z ludźmi niecnymi, jak Jullien (z Tuluzy) i Chabot, utrzymując stosunki z byłym arystokratą baronem Batz, wymyśliła łącznie z tym łotrem rozmaite intrygi i spekulacje dla obniżenia wartości akcji Kompanii Indyjskiej, dla skupowania ich za bezcen, aby potem intrygami przeciwnymi podnieść sztucznie ich kurs, czym czyniła szkodę majątkom prywatnym i mieniu publicznemu. Zamknięta w więzieniu La Bourbe i Madelonnettes, nie przestawała spiskować i szachrować i wszelkimi sposobami usiłowała przekupić sędziów i przysięgłych.

Ludwik Longuemare, były arystokrata, były kapucyn, od dawna zaprawiał się w nikczemności i zbrodni, zanim dokonał tej, za którą ma tu odpowiadać. Żyjąc w haniebnej wspólnocie z dziewczyną Gorcut, zwaną Atenais, pod dachem Brotteaux, jest on współnikiem tej dziewczyny i tego byłego arystokraty. Przez czas uwięzienia swego w Conciergerie ani na jeden dzień nie zaprzestał paszkwilów cynicznych przeciw wolności i pokojowi publicznemu...

Co się tyczy Marty Gorcut zwanej Atenais, należy przyznać, że prostytutki są największą plagą i urągówiskiem obyczajów publicznych, hańbą i plamą społeczeństwa. Ale po co rozwodzić się nad wstrętnymi zbrodniami, do których oskarżona przyznaje się bezwstydnie?...“

Oskarżenie odbywało dalej przegląd pięćdziesięciu czterech następnych podsądnych, nie znanych ani Maurycemu Brotteaux, ani ojcu Longuemare, ani obywatelce Rochemaure, tyle tylko że kilku z nich widzieli w więzieniu; mimo to byli oni zawikłani z tymi pierwszymi oskarżonymi w to „ohydne przysiężenie, któremu równego nie znajdzie się w rocznikach ludów“. Wywody zmierzały do kary śmierci dla wszystkich podsądnych.

Maurycego Brotteaux zapytano naprzód:



— Spiskowałeś?

— Nie, nie spiskowałem. Wszystko, co słyszałem w akcie oskarżenia, jest fałszem.

— Widzisz; i w tej chwili spiskujesz przeciwko Trybunałowi.

I prezes przeszedł do obywatelki Rochemaure, która odpowiedziała rozpaczliwymi protestami, łzami i wybiegami. Ojciec Longuemare poddał się zupełnie woli Boskiej. Nie przyniósł był nawet swej spisanej obrony.

Na wszystkie zadawane pytania odpowiadał w duchu poddania się. Jednak gdy prezes nazwał go kapucynem, obudził się w nim dawny człowiek.

— Nie jestem kapucynem — rzekł — jestem księdzem, zakonnikiem reguły barnabitów.

— To wszystko jedno — odrzekł prezes dobrodusznie.

Ojciec Longuemare spojrzał nań oburzony.

— Nie można popełnić dziwniejszego błędu — rzekł. — Pomieszać kapucyna z zakonnikiem reguły barnabitów, którą ustanowił sam święty Paweł apostoł!

Wśród zgromadzonych rozległ się śmiech i szyderstwa.

A ojciec Longuemare biorąc te drwiny za oznakę zaprzeczenia, oświadczył, że umrze członkiem zakonu świętego Barnaby, którego suknię nosi w swym sercu.

— Czy przyznajesz się — zapytał prezes — do spiskowania z dziewczyną Gorcut, Atenais, która darzyła cię swymi haniebnymi względami?

Na to pytanie ojciec Longuemare wznosił w niebo spojrzenie bolesne i odpowiedział milczeniem, wyrażającym zdziwienie duszy czystej i powagę duchownego, lękającego się słów próżnych.

— Marto Gorcut — zapytał prezes młodą Atenais — czy przyznajesz się, żeś spiskowała z Maurycym Brotteaux?

— Pan Brotteaux, o ile wiem, zawsze tylko dobrze czynił. Jest on najlepszym z ludzi, człowiekiem, jakich oby było jak najwięcej. Ci, co inaczej utrzymują, mylą się. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Prezes zapytał dalej, czy przyznaje się, że żyła na wiarę z Maurycym Brotteaux. Trzeba było wytłumaczyć jej to wyrażenie, którego nie rozumiała. Ale gdy tylko pojęła, o co chodzi, odrzekła, że zależałoby to tylko od niego, ale on nie uczynił jej takiej propozycji.

Roześmiano się na trybunach i prezes zagroził Atenais, że każe wyprowadzić ją z sali, jeśli będzie tak cynicznie odpowiadać.

Wtedy nazwała go obłudnikiem, świętoszkiem, rogaczem; stekiem obelg obrzuciła sędziów i przysięgłych, tak że żandarm musiał wyciągnąć ją z ławki i wyprowadzić z sali.

Prezes pokrótce pytał następnie innych oskarżonych w porządku, w jakim rozmieszczeni byli na stopniach. Niejaki Navette odrzekł, że nie mógł spiskować w więzieniu, w którym był

tylko cztery dni. Prezes zauważył, że jest to odpowiedź, którą rozważyć trzeba, i prosił przysięgłych, żeby wzięli to w rachubę. Taką samą odpowiedź dał niejaki Bellier i prezes taką samą uwagę na jego korzyść skierował do przysięgłych. Przyjęto tę życzliwość sędziego jako wynik chwalebnej sprawiedliwości lub jako zapłatę należną denuncjantowi.

Teraz zabrał głos zastępca oskarżyciela publicznego; rozszerzył tylko akt oskarżenia i sformułował zapytania:

— Czy niezbicie dowiedzionym jest, że Maurycy Brotteaux, Ludwika Rochemaure, Ludwik Longuemare, Marta Gorcut, zwana Atenais, Euzebiusz Rocher, Piotr Guyton-Fabulet, Marcelina Descourtis itd. itd. utworzyli sprzysiężenie, którego środkami działania są: zabójstwo, głód, wyrób fałszywych pieniędzy i asygnat, znieprawienie moralności i ducha publicznego, bunt więzień, a celem — wojna domowa, rozwiązanie przedstawicielstwa narodowego i przywrócenie monarchii?

Przysięgli usunęli się do sali narad. Jednogłośnie wszyscy głosowali za śmiercią dla wszystkich oskarżonych, wyjąwszy dla wymienionych Navette'a i Belliera, których prezes, a za nim oskarżyciel publiczny niejako wyłączyli ze sprawy. Gamelin umotywowował swój werdykt słowami:

— Wszystkim oskarżonym winę dowiedziono; ukaranie ich przyniesie korzyść narodowi i sami oni winni pragnąć kary jako jedyne sposobu odpopokutowania za zbrodnie.

Prezes ogłosił wyrok w nieobecności tych, których dotyczył. W owych wielkich dniach, wbrew wymaganiom prawa, nie przywoływano skazanych dla odczytania im wyroku, zapewne z tego powodu, że obawiano się rozpaczy tak dużej liczby osób. Obawa była tak próżna, jak wielką i ogólną była uległość ofiar.

Sekretarz zeszedł do więźniów, aby odczytać im wyrok. Wysłuchano go w tym milczeniu i spokoju, które skazańców prairiala porównywać pozwalały do drzew, przeznaczonych na wyrąb.

Obywatelka Rochemaure oświadczyła, że jest w odmiennym stanie. Felczerowi, będącemu zarazem przysięgłym, polecono ją zbadać. Zaniesiono ją zemdloną do jej celi.

— Ach — westchnął ojciec Longuemare — ci sędziowie są to ludzie godni potępienia, stan ich dusz jest doprawdy opłakany! Gmatwają wszystko i mieszają barnabite z franciszkaninem!

Egzekucja odbyć się miała tegoż dnia u rogatki zwanej teraz du Trône-Renverse. Skazańcy, po przedwstępnych przygotowaniach, z ostrzyżonymi włosami, wyciętymi u szyi koszuli, czekali na kata w małej salce, oddzielonej od kancelarii oszklonym przepierzeniem. Stali skupieni jak stado na rzeź przeznaczone.

Za przybyciem kata i jego pacholków Brotteaux, który spokojnie czytał Lukrecjusza, założył

zakładkę na rozpoczętej stronicy, zamknął książkę, wsunął ją do kieszeni brązowego surduta i rzekł do barnaby:

— Wielebny ojciec, szkoda, że już nie będę cię mógł przekonywać. Obaj będziemy spać snem wiecznym i nie będę mógł pociągnąć cię za rękaw, żeby cię obudzić i powiedzieć: „Widzisz, nie masz już ani czucia, ani świadomości; jesteś martwą bryłą. To, co następuje po życiu, jest jak to, co je poprzedza“.

Chciał się uśmiechnąć, ale straszny ból schwycił go za serce i wnętrzności. Omal nie zemdlął. Mówił jednak dalej:

— Ojciec, nie ukrywam przed tobą mojej słabości. Kocham życie i nie bez żalu je porzucam.

— Panie — rzekł mnich łagodnie — zważ, że jesteś odważniejszy ode mnie, a jednak śmierć więcej cię trwoży niż mnie. Czyż to może nie znaczy, że ja widzę światło, którego ty jeszcze nie widzisz?

— A może i dlatego — rzekł Brotteaux — więcej żałuję życia, że więcej zeń korzystałem niż ty, mój ojciec, który uczyniłeś je o ile możności podobnym do śmierci.

— Panie — rzekł ojciec Longuemare blednąc — chwila jest poważna. Dopomóż mi, Boże! Jest pewne, że umrzemy bez pociechy religijnej. Musiałem niegdyś chłodno i niewdzięcznym sercem przyjmować sakramenty, skoro Niebo odmawia mi ich dziś, gdy tak bardzo są mi potrzebne!

Wozy czekały. Wpychano skazańców ze związanymi rękami. Obywatelka Rochemaure, której ciąża nie została stwierdzona przez felczera, wciągnięta została do jednego z wozów. Odzyskała nieco energii, aby rozejrzeć się po widzach, spodziewając się wbrew oczywistości znaleźć wśród nich zbawców. Oczy jej błękały. Napływ był mniejszy niż zwykle, usposobienie „umysłów nie tak gwałtowne. Kilka kobiet tylko zawołało „Na śmierć!“ lub szydziło z tych, co mieli umrzeć. Mężczyźni wruszcali ramionami, odwracali głowy i milkli, bądź przez ostrożność, bądź przez poszanowanie praw.

Dreszcz przebiegł tłum, gdy Atenais przekroczyła wrota. Wyglądała jak dziecko.

Pokłoniła się przed księdzem i rzekła:

— Księżę proboszczu, daj mi rozgrzeszenie. Ojciec Longuemare poważnie szeptał sakramentalne wyrazy i rzekł:

— Córko moja! Popadłaś w wielki grzech i bezład moralny, jednak pragnąłbym mieć przed Stwórcą serce tak proste i czyste jak twoje.

Lekko wskoczyła do wózka. Tu wyprostowana, z dziecinną główką dumnie wzniesioną, zawołała głośno:

— Niech żyje król!

Skinęła na Maurycego Brotteaux ukazując mu, że jest miejsce obok niej. Stary finansista

pomógł wejść barnabicie i umieścił się między księdzem a dziewczyną.

— Panie — rzekł doń ojciec Longuemare — mam do ciebie prośbę: módl się za mnie do tego Boga, w którego nie wierzysz jeszcze. Nie ma co do tego żadnej pewności, czy ty nie jesteś mu bliższym ode mnie: jedna chwila może o tym rozstrzygnąć. Ażebyś stał się ulubionym dziecięciem Pana, dość jednej sekundy. Panie, módl się za mnie!

Koła worów skrzypiały po bruku długiego przedmieścia; ksiądz sercem i ustami odmawiał modlitwy za konających.

Brotteaux przypomniał sobie wiersze poety filozofa: Sic ubi non erimus...

Choć skrępowany i wstrząsany w haniebnym wozie, zachowywał postawę spokojną i jakby troskę o wygodę. Obok niego Atenais, dumna, że umiera jak królowa Francji, rzucała na tłum wyniosłe spojrzenia. Stary finansista, okiem znawcy obrzucając białą szyję młodej kobiety, żałował światłości dziennej.

## XXV

Podczas gdy wozy, otoczone żandarmami, toczyły się na plac du Trône-Renverse wioząc na śmierć Maurycego Brotteaux i jego współników, Ewaryst siedział zamyślony na ławce w ogrodzie Tuileries. Czekał na Elodję. Słońce, nisko na widnokręgu, przesyłało płomienne strzały przez gęste liście kasztanów. U kraty ogrodu Sława na skrzydlatym koniu trąbiła w swą wieczną trąbę. Roznosiciele gazet okrzykiwali zwycięstwo pod Fleurus. „Tak — dumął Gamelin — naszym jest zwycięstwo. Kosztowało nas drogo“.

Widział widma nieudolnych generałów, tarzających się w pyle na placu Rewolucji, gdzie ich stracono. I dumnie uśmiechnął się na myśl, że gdyby nie surowość, w której też miał udział, konie austriackie gryzłyby dziś korę tych drzew.

I w duszy mówił:

„Zbawienny terrorze, o święty terrorze! Przeszłego roku o tej dobie obrońcami naszymi byli bohaterowie zwyciężeni, w łachmanach, ziemię ojczystą zalewali wrogowie, w większości departamentów szerzył się bunt. Teraz armie nasze, dobrze zaopatrzone, dobrze wyćwiczone, pod dowództwem zdolnych generałów przechodzą do ataku i gotowe są roznosić wolność na świat cały. Pokój panuje na całym terytorium Republiki... O zbawienny terrorze ! Święty terrorze! W przeszłym roku o tej porze Republikę rozrywały frakcje, hydra federalizmu groziła jej pożarciem. Teraz jedność jakobińska rozpościera nad państwem swą siłę i mądrość...“

Mimo wszystko Gamelin był posępny. Głęboka bruzda przerzynała mu czoło, na ustach osiadł wyraz goryczy. Dumął: „Mówiliśmy: zwyciężyć lub umrzeć. Myliliśmy się, mówić należało: zwyciężyć i umrzeć“.

Rozglądał się wokoło. Dzieci sypały górkę z piasku, obywatelki, siedząc na krzesłach pod drzewami, szyły lub haftowały. Przechodnie we frakach i dziwnej elegancji ubraniach, zajęci swymi sprawami lub zabawą, śpieszyli do domu. Gamelin czuł się samotny między nimi, nie był ani ich współziomkiem, ani współczesnym. Cóż się to stało? Skąd po zapale pięknych lat nastąpiła obojętność, znużenie, może niesmak ?

Widocznie ludzie ci nie chcieli już słyszeć o Trybunale Rewolucyjnym i odsuwali się od gilotyny. Już uprzykrzyła się na placu Rewolucji i przeniesiono ją na sam koniec przedmieścia Antoine. Ale i tam przy przejeździe wozów odbywają się szemrania. Jak mówią, kilka głosów zawołało nawet: „Dość!“

Dość, gdy są jeszcze zdrajcy i spiskowcy! Dość, gdy trzeba odnowie komitety i oczyścić Konwent! Dość, gdy łotry hańbią przedstawicielstwo narodowe! Dość, gdy nawet w Trybunale Rewolucyjnym knuje się zguba Sprawiedliwego! Gdyż choć straszno o tym pomyśleć, niemniej jest to prawda; sam Fouquier należy do spisku, i to przeciw Maksymilianowi, który temuż Fouquier rzucił był na pastwę pięćdziesiąt siedem ofiar, zawleczonych na śmierć w czerwonych koszulach ojcoobójców! Jakiejże to zbrodniczej litości poddaje się Francja? Trzeba więc ocalać ją wbrew jej woli i gdy ona woła łaski, zatykać uszy i godzić w jej wrogów! Niestety! Losy postanowiły, że ojczyzna będzie przeklinać swych zbawców.

Niech przeklina, ale niech będzie ocalona!

„Nie dość jest zabijać ofiary nieznanne, arystokratów, finansistów, dziennikarzy, poetów, takiego Lavoisiera, Rouchera, takiego Andrzeja Chenier. Trzeba ugodzić w tych łotrów wszechpotężnych, którzy rękami pełnymi złota i krwią ociekającymi przygotowywali zgubę Góry, w tych Fouche, Tallienów, Rovere'ów, Carrierów, Bourdonów! Trzeba uwolnić państwo od wszystkich jego wrogów. Gdyby Hebert był zatriumfował, Konwent byłby obalony, Republika wtrącona w przepaść; gdyby Desmoulins i Danton zwyciężyli byli, niecny wówczas Konwent wydałby był Republikę w ręce arystokratów, spekulantów i generałów. Jeśli Tallieny, Fouche, potwory krwią i łupem napchane, zwyciężą, Francja zatoni w zbrodni i hańbie... Ty śpisz, Robespierre, podczas gdy zbrodniarze, strachem i wściekłością pijani, zamyślają śmierć twoją i pogrzeb wolności. Couthon, Saint-Just, czemuż wzdrylicie się odkryć spiski?

Jak to, dawne państwo, potwór monarchiczny, zabezpieczał swą władzę, corocznie wtrącając do więzień czterokrotnie sto tysięcy ludzi, wieszając piętnaście tysięcy i wplatając w koło trzy tysiące, a Republika miałaby się wahać, czy poświęcić jeszcze kilkaset głów dla swego bezpieczeństwa i potęgi? Tośmy we krwi, a ratujmy ojczyznę...“

Gdy tak dumiał, nadbiegła Elodia blada i zmieszana:

— Ewaryście, co masz mi do powiedzenia? Czemu nie przyjdiesz do nas, do błękitnego pokoju? Dlaczego wezwałeś mnie tutaj ?

— Aby pożegnać cię na zawsze!

Szepnęła mu, że jest szalony, że go nie rozumie. Powstrzymał ją skinieniem ręki.

— Elodio, nie mogę już przyjmować twej miłości.

— Ewaryście!

Prosiła go, by odejść dalej, tu patrzono na nich i nasłuchiowano.

Postąpił kilkanaście kroków i mówił dalej bardzo spokojnie:

— Ojczyźnie poświęciłem cześć moją i życie. Umrę zhańbiony i w spuściznie pozostawię ci tylko pamięć znienawidzoną... Czyż możemy myśleć o miłości?... Czyż można mnie kochać jeszcze?... Ja czyż zdolny jestem kochać?

Powiedziała mu, że jest szalony, że kocha go i kochać będzie zawsze. Była płomienna, szczerą; ale czuła równie dobrze jak on, czuła lepiej odeń, że ma słuszność. Ale nie chciała poddać się oczywistości.

Ewaryst mówił dalej:

— Nie robię sobie żadnych wyrzutów. Co uczyniłem, uczyniłbym raz jeszcze. Dla ojczyzny obarczyłem się klątwą. Jestem przeklęty. Postawiłem się poza ludzkością: nie wrócę do niej nigdy. Nie! Wielkie zadanie nie jest skończone. Ach, miłosierdzie! Przebaczenie!... Czy przebaczą zdraycy? Czy są miłosierni spiskowcy? Zbrodniarze, ojcobójcy są coraz liczniejsi; wyrastają spod ziemi, “nadbiegają od wszystkich naszych granic: są wśród nich młodzi ludzie, którzy raczej powinni byli zginąć w szeregach naszych wojsk, starcy, dzieci, kobiety w maskach niewinności, czystości, wdzięku. I gdy ich stracono, znajduje się ich coraz więcej... Widzisz więc, że muszę wyrzec się miłości, szczęścia, wszelkiej radości życia, życia samego!

Zamilkł. Stworzona dla cichych, spokojnych radości, Elodia, nie od dziś, pod pocałunkami tragicznego kochanka, ze strachem do wrażeń rozkoszy łączyła krwawe obrazy. Nie odrzekła nic. Ewaryst wchłaniał milczenie młodej kobiety niby kielich goryczy.

— Widzisz, Elodio, jesteśmy rzućni w otchłań, wielkie nasze dzieło nas trawi. Nasze dni, godziny są latami. Ja niedługo będę miał wiek życia za sobą. Spójrz na to czoło! Czy jest to czoło kochanka? Kochać!...

— Ewaryście, tyś mój, nie porzucę cię; nie zwracam ci wolności.

Mówiła gorąco, tonem poświęcenia. Uczuł to; odczuła i ona.

— Elodio, czyż będziesz mogła zaświadczyć kiedyś, że żyłem wierny swym obowiązkom, że serce me było proste, dusza czysta, że nie miałem innej namiętności prócz dobra publicznego, że urodziłem się dobrym i tklwym? Czy powiesz: „Pełnił swój obowiązek?...“ Ale nie! Nie

powiesz tego. I nie żądam, byś powiedziała. Niech przepadnie pamięć o mnie! Chwała moja jest w moim sercu; hańba mnie otacza. Jeśli mnie kochałaś, zachowaj wieczne milczenie o moim imieniu.

Mały ośmioletni chłopczyk, bawiący się kółkiem, podbiegł w tej chwili pod nogi Gamelina. Malarz pochwycił go nagle i unióśł w ramionach.

— Chłopcze! Ty wyrośniesz wolny, szczęśliwy i zawdzięczać to będziesz niecnemu Gamelinowi. Jestem straszny, abys ty był szczęśliwy. Jestem okrutny, abys ty był dobry; jestem nielitościwy, aby jutro Francuzi całowali się, roniąc łzy radości.

Przycisnął dziecko do piersi.

— Dziecię moje, gdy będziesz mężczyzną, winien mi będziesz twe szczęście i niewinność; a jeśli kiedyś usłyszysz moje imię, będziesz je nienawidził.

Postawi na ziemi dziecko, które przerażone pobiegło przytulić się do matki, nadchodzącej właśnie, aby je uwolnić.

Młoda matka była ładna i pełna arystokratycznego wdzięku w swej białej płóciennej sukni.

Uprowadziła dziecko z miną wyniosłą i dumną.

Gamelin zwrócił na Elodię dzikie spojrzenie.

— Ucałowałem dziecko — rzekł — a matkę jego może każę zgilotynować.

I szybkim krokiem zniknął wśród szpalerów.

Elodia stała chwilę nieruchoma, osłupiała wzrok wlepiając w ziemię. Potem nagle pobiegła śladem kochanka i wściekła, rozczochrana, podobna Menadzie, pochwyciła go gwałtownie, jakby go rozszarpać chciała, i głosem zdławionym krwią i łzami krzyknęła:

— A więc i mnie, kochanku mój, i mnie każ zgilotynować, i mnie każ uciąć głowę!

I na myśl o nożu na karku całe jej ciało topniało ze zgrozy i rozkoszy.

## XXVI

Słońce termidora zachodziło w krwawej purpurze. Ewaryst ponury i zadumany przechadzał się po ogrodach Marbeuf, będących teraz własnością narodową i licznie odwiedzanych przez bezczynnych paryżan. Zjadano tam lody, spijano lemoniadę, w ustronnych miejscach wznosiły się karuzele i strzelnice dla młodych patriotów. Pod jednym z drzew mały, oberwany Sabaudczyk, przy ostrych dźwiękach katarynki, kazał tańczyć oswojonemu susłowi. Człowiek młody jeszcze, szczupły, w niebieskim fraku i z pudrowanymi włosami, któremu towarzyszył ogromny pies, zatrzymał się, aby posłuchać tej sielskiej muzyki. Ewaryst poznał Robespierre'a. Był on blady, chudy; kamienną twarz przecinała bolesna zmarszczka. Ewaryst pomyślał: „Jakież to trudy i cierpienia porwały to czoło? Jakże bolesna jest praca dla ludzkiego szczęścia! O czym on дума w tej chwili? Czyż stara góralska

piosenka przynosi mu, utrudzonemu sprawami państwa, ulgę? Czy myśli, że zawarł pakt ze śmiercią i że godzina wkrótce wybiję? Czy chce jak zwycięzca wrócić do Komitetu Ocalenia Publicznego, skąd wycofał się, nie chcąc być trzymanym w szachu, wraz z Couthonem i Saint-Justem, przez wrogą większość? Jakie gwałtowne nadzieje lub obawy kryją się pod tym nieprzeniknionym obliczem?”

Ale Robespierre uśmiechnął się do chłopca życzliwie, łagodnie wypytał go o dolinę, chatę, opuszczonych rodziców, rzucił mu srebrną monetę i poszedł dalej. Po paru krokach obejrzał się, aby przywołać psa, który czując szczura, szczyrzył kły na nastroszonego susła:

— Brount! Brount!

I znikł w cienistych alejach.

Gamelin, przez uszanowanie, nie zbliżył się do samotnego przechodnia, ale spoglądając na drobną postać ginącą w ciemnej alei, w myśli zwrócił doń milczącą przemowę:

„Widziałem smutek twój, Maksymilianie; zrozumiałem myśl twoją. Twoja melancholia, twe znużenie, nawet wyraz lęku w twym spojrzeniu, wszystko w tobie mówi: «Niech skończy się terror i zapanuje braterstwo! Francuzi, bądźcie silni jednością, bądźcie cnotliwi, bądźcie dobrzy! Kochajcie się!» Dobrze! Będę służył twoim zamysłom, abyś ty mógł w swej mądrości i dobroci położyć koniec rozterkom domowym, stłumić nienawiści braterskie, z kata uczynić ogrodnika, który tylko głowy kapusty i sałaty ścinać będzie; ja z kolegami mymi z Trybunału przygotuję drogę dla łaski i miłosierdzia, tępiąc zdrajców i spiskowców.

Podwoimy czujność i surowość. Nikt winny nam się nie wymknie. I gdy głowa ostatniego wroga Republiki spadnie pod toporem, będziesz mógł być pobłażliwym bez grzechu i zapewnić we Francji panowanie niewinności i cnoty, ty, ojciec ojczyzny!

Nieprzekupny był już daleko. Dwaj ludzie w okrągłych kapeluszach i nankinowych spodniach, z których jeden, o dzikim wyglądzie, wysoki i chudy, z plamką na źrenicy, podobny był do Talliena, minęli go na skrzyżowaniu alei, rzucili mu spojrzenie spod oka i przeszli udając, że go nie poznali. Gdy byli już dość daleko, aby nie mógł ich usłyszeć, zagadali z cicha:

— Oto król, papież, bóg! Jest teraz bogiem, a Katarzyna Theot jego prorokinią!

— Dyktator, zdrajca, tyran! Ale nie brak jeszcze Brutusów!

— Drżysz, morderco! Skala Tarpejska niedaleko od Kapitolu!

Pies Brount podbiegł do nich. Umilkli i przyspieszyli kroku.

## XXVII

Ty śpisz, Robespierze! Godziny mijają, czas drogi upływa...

Wreszcie, ósmego termidora, Nieprzedajny wstaje na posiedzeniu Konwentu i przemawia.



Czy słońce 31 maja wschodzi po raz drugi? Gamelin czeka, drży w nadziei. Robespierre wypędzi więc z ław, które hańbią, tych prawodawców niebezpieczniejszych niż Danton, winniejszych niż federaliści... Nie! Nie jeszcze. „Nie mogę — mówi — zdecydować się na zupełne zerwanie zasłony pokrywającej głęboką tajemnicę bezprawia“. I grom rozpierzchły, nie uderzając w żadnego ze spiskowców, przeraża ich wszystkich. Było ich sześćdziesięciu; od dwóch tygodni nie odważali się spać w swoich łóżkach. Marat wymieniał zdrajców, wskazywał ich palcem. Nieprzekupny waha się... i odtąd on jest oskarżonym...

Wieczorem u jakobinów tłoczono się w sali, w korytarzach, na dziedzińcu.

Są tu wszyscy, hałaśliwi przyjaciele i milczący wrogowie. Robespierre odczytuje im swą przemowę, której Konwent wysłuchał w milczeniu grobowym, a którą jakobini oklaskują ze wzruszeniem.

— To testament — mówi Robespierre — ze spokojem wychylę kielich cykuty.

— Spełnię go z tobą — odpowiada David.

— Wszyscy, wszyscy! — wołają jakobini i rozchodzą się, nic nie postanowiwszy.

Podczas gdy przygotowywała się śmierć Sprawiedliwego, Gamelin spał snem uczniów na Górze Oliwnej. Nazajutrz udał się do Trybunału, gdzie zasiadały dwie sekcje. Ta, do której należał, sądziła dwudziestu jeden współników spisku Lazare'a. A przez ten czas nadchodziły wiadomości: „Konwent po sześciogodzinnym posiedzeniu wniósł oskarżenie przeciw Maksymilianowi Robespierre, Couthonowi, Saint-Justowi, Augustynowi Robespierre i Lebasowi — ci dwaj ostatni oświadczyli, że chcą dzielić los oskarżonych. Pięciu podsądnych stanęło przed kratkami“.

Obiega pogłoska, że prezes sekcji zasiadającej w sąsiedniej sali, obywatel Dumas, aresztowany został na swym fotelu, ale że mimo tego rozprawa trwa dalej. Słychać dzwon na trwogę i bicie w bębny na alarm.

Hwaryst na swej lawie odbiera rozkaz Komuny, by udał się do Ratusza na posiedzenie Rady Generalnej. Przy odgłosie dzwonów i bębnow rzuca swój wyrok wraz z kolegami i biegnie do domu uściskać matkę i wziąć szarfę, oznakę swego urzędu. Plac Thionville jest pusty. Sekcja nie śmie wypowiedzieć się ani za, ani przeciw Konwentowi. Ludzie chyłkiem chodzą pod ścianami, wślizgują się do zaułków, wracają do domu. Biciu w bębny i dźwiękom dzwonów odpowiada spieszne zamykanie okiennic i zgrzyt kluczy w zamkach. Obywatel Dupont starszy ukrył się w swym sklepie; odzwierny Remacle zabarykadował się w swej łoży. Mała Józia lękliwie trzyma Moutona w objęciach. Obywatelka wdowa Gamelin biada nad drożyzną środków spożywczych, jako nad przyczyną wszelkiego zła. Na schodach Ewaryst spotyka Elodję zdyszana, z kosmykami czarnych włosów przylepionymi do spotniałej szyi.

— Szukałam cię w Trybunale, tylko coś był wyszedł. Dokąd idziesz?

— Do Ratusza.

— Nie idź tam! Zginiesz! Hanriot już aresztowany... Sekcje się nie ruszą. Sekcja Pik, sekcja Robespierre'a trzyma się z dala. Wiem o tym na pewno; ojciec należy do niej... Jeśli pójdziesz do Ratusza, zgubisz się daremnie.

— Chcesz, abym był tchórzem?

— Przeciwnie, odwagą jest pozostać wiernym Konwentowi i posłusznym prawu.

— Prawo jest martwe, jeśli triumfują łotrzy.

— Ewaryście, posłuchaj twej Elodii, posłuchaj siostry twojej. Chodź, siądź przy niej, daj jej uspokoić twą duszę wzburzoną...

Spojrzał na nią: nigdy nie zdawała mu się tak ponętna i upragniona, nigdy głos jej nie dźwięczał tak rozkosznie i przekonywająco dla jego ucha.

— Dwa kroki, tylko dwa kroki!

Pociągnęła go na mały wzgórek, na którym widniał cokół przewróconego posągu. Ławki otaczały wzgórek, siedzieli na nich spacerowicze i rozmawiali po cichu. Przekupka modnych drobiazgów zachwalała swe koronki; sprzedawca napojów z syfonem na plecach pobrzękiwał dzwonkiem; dziewczynki bawiły się w kółko. Nad brzegiem rzeki siedzieli nieruchomo z wędkami amatorzy rybołówstwa. Niebo było zachmurzone, zanosilo się na burzę. Gamelin, nachylony nad poręczą, zatapiał wzrok w wysepkę spiczastą jak dziób okrętu; słuchał, jak jęczą szczyty drzew targane wiatrem, i czuł, że schodzi mu do duszy nieskończone pragnienie spokoju i samotności. I jak cudne echo jego myśli głos Elodii szeptał:

— Czy pamiętasz, jak na widok pól pragnąłeś być sędzią pokoju w jakiejś małej wiosce? To byłoby szczęściem!

Ale on poprzez szum drzew i głos ukochanej kobiety słyszał dzwony i bębnienie na alarm, łoskot dział i koni na bruku miejskim. O dwa kroki opodał młody człowiek, rozmawiając z elegancką obywatelką, rzekł:

— Wie pani nowinę? Otwarto operę na ulicy de la Loi...

Tymczasem dowiedziano się już o wypadkach: z drzeniem szeptano nazwisko Robespierre'a

— bano się go jeszcze. Kobiety na szeptaną wieść o jego upadku uśmiechały się skrycie.

Ewaryst Gamelin pochwycił rękę Elodii i natychmiast odrzucił ją gwałtownie.

— Żegnaj! Związałem cię z mym strasznym losem, na zawsze skaziłem twe życie... Żegnaj, obyś zapomnieć mnie mogła!

— Nade wszystko — rzekła doń — nie wracaj dziś do siebie: przyjdź do nas. Nie dzwoń, rzuć kamyczek w moją okiennicę. Sama zejść otworzyć ci drzwi; ukryję cię na strychu.

— Zobaczysz mnie triumfotorem lub nie zobaczysz mnie więcej. Żegnaj!

Dochodząc do Ratusza, Ewaryst usłyszał, jak pod nabrzmiałe chmurami niebo unosi się ów

gwar wielkich dni. Na placu de Greve rozlega się wrzawa i szczek broni, lśnią szarfy i mundury, armaty Hanriota ustawione są w baterię. Gamelin wszedł przez główne schody i wchodząc do sali narad zapisał się na liście obecnych.

Czterystu dziewięćdziesięciu obecnych członków Rady Generalnej Komuny jednogłośnie oświadcza się za oskarżonymi.

Mer każe sobie przynieść Tablice Praw Człowieka i czyta z nich artykuł, który opiewa: „Gdy rząd gwałci prawa ludu, powstanie jest dla ludu najświętszym i najkonieczniejszym obowiązkiem“ — i pierwszy urzędnik Paryża oświadcza, że zamachowi stanu ze strony Konwentu Komuna przeciwstawia powstanie ludowe.

Członkowie Rady Generalnej przysięgają umrzeć na swych stanowiskach. Dwóch urzędników miejskich wychodzi na plac de Greve powołać lud, aby przyłączył się do swoich przedstawicieli, by z nimi ratował ojczyznę i wolność.

Zebrani szukają się wzajemnie, wymieniają wiadomości, udzielają rad. Między nimi mało jest robotników. Zebrana Komuna, po wytrzebieniu jej przez jakobinów, składa się z sędziów i przysięgłych Trybunału Rewolucyjnego, z artystów jak Beauvallet i Gamelin, z kapitalistów i profesorów, z zamożnych mieszczan, bogatego kupiectwa, głów pudrowanych, brzuchów obwieszonych brelokami; za to mało widać sabotów, karmanioli i czerwonych czapek. Mieszczan jest dość i są zdecydowani. Ale są to też mniej więcej wszyscy prawdziwi i rzetelni republikanie, jakich Paryż w ogóle posiada. Stoją w Ratuszu jak na skale wolności, otoczeni oceanem zubożenia.

Nadchodzą jednak przychylnie wieści. Wszystkie więzienia, w których siedzieli oskarżeni, otwierają swoje bramy. Augustyn Robespierre, przybyły z La Force, pierwszy wchodzi do Ratusza; wita go grom oklasków. Opowiadają, że po długim wahaniu Maksymilian przybędzie do Ratusza o ósmej. Czekają nań; przyjdzie, idzie: frenetyczne oklaski wstrząsają sklepieniem starego pałacu miejskiego. Wchodzi niesiony przez dwadzieścia ramion. Ten mały człowieczek, drobny, czyściutki, w niebieskim fraku i żółtych spodniach, to on. Zasiada, przemawia.

Po jego przybyciu Rada nakazuje natychmiast iluminować fasadę Ratusza. Rezyduje w nim przecie Republika! Robespierre mówi, mówi głosem cienkim, wytwornie. Mówi czysto, płynnie, obficie. Ci, co tam są, co życie swoje stawili na jego głowę, spostrzegają przerażeni, że jest on człowiekiem słowa, dźwięcznej wymowy, człowiekiem mównicy komitetowej, człowiekiem niezdolnym do szybkiej decyzji, do czynu rewolucyjnego.

Ciągną go do sali narad. Teraz są tu oni wszyscy, ci dostojni oskarżeni: Lebas, Saint-Just, Couthon. Robespierre przemawia. Jest wpół do pierwszej w nocy — on mówi jeszcze. Gamelin tymczasem w sali posiedzeń, z czołem przyciśniętym do szyby, patrzy

niespokojnymi oczyma: widzi kopące lampki w gęstej, czarnej nocy. Armaty Hanriota ustawione są przed Ratuszem. Na placu, czarnym zupełnie, porusza się tłum niewyraźny, niepewny, niespokojny. O pół do pierwszej ukazują się pochodnie na rogu ulicy de la Vannierie. Otaczają one delegata Konwentu, który, przybrany w oznaki swego urzędu, rozwija papier i czyta w czerwonym blasku dekret Konwentu, wyjmujący spod prawa pięciu członków zbuntowanej Komuny, dalej członków Rady Generalnej towarzyszących im oraz obywateli, którzy odpowiedzialiby na ich wezwanie.

Wyjęcie spod prawa, śmierć bez sądu! — sama myśl o tym bladością pokrywa twarze najśmielszych. Gamelin czuje zimny pot na czole. Patrzy na tłum, który szybko opuszcza plac de Greve. I gdy odwraca głowę, widzi, że sala, w której członkowie Rady prawie dusili się przed chwilą, opustoszała.

Uciekli nadaremnie — położyli przecież swe podpisy! Jest godzina druga. Nieprzedajny naradza się w sąsiedniej sali z Komuną i oskarżonymi członkami Konwentu.

Gamelin kieruje zrozpaczony wzrok na czarny plac. Widzi przy świetle latarni, jak z odgłosem kręgli uderzają o siebie drewniane świece, służące za sztyld kupcowi korzennemu; latarnie kołyszają się i migocą, zerwał się silny wicher. I po chwili lunął ulewny deszcz, plac opróżnia się zupełnie; tych, których nie przegnał straszliwy dekret, rozprasza kilka kropel wody.

Armaty Hanriota stoją opuszczone. A gdy jednocześnie przy świetle błyskawic ukazało się wojsko Konwentu, nadciągające z ulicy Antoine, plac przed Ratuszem był już zupełnie pusty. Wreszcie Maksymilian postanowił odwołać się od dekretu Konwentu do sekcji Pik. Rada Generalna każe sobie podawać szable, pistolety, piki... Ale łoskot broni, grzmot kroków, tłuczonych szyb napelnia cały dom. Wojska Konwentu jak lawina przechodzą przez salę narad i wlewają się do sali posiedzeń. Rozlega się strzał. Gamelin widzi, jak Robespierre pada ze zgruchotaną szczęką. On sam chwytą nóż, nóż za dwadzieścia centymów, który kupiła mu Elodia na jarmarku w Saint-Germain, nóż, którym krajał niegdyś chleb dla głodnej matki, który podczas wycieczki do Orangis, w piękny wieczór, spoczywał na kolanach Elodii wraz z innymi fantami, otwiera go i chce się nim przebić; ale ostrze trafia na żebro, zgina się w obsadzie i zadaje mu tylko ranę, głęboką na dwa palce. Gamelin pada brocząc krwią. Jest nieruchomy, ale czuje dotkliwie zimno; i we wrzawie straszliwej walki, deptany nogami, słyszy wyraźnie słowa dragona Henry, który woła:

— Nie ma już tyrana; satelici jego złamani, Rewolucja przybierze znów swój bieg majestatyczny i wspaniały.

Gamelin zemdłał.

O siódmej rano opatrzył go chirurg, przysłany przez Konwent. Konwent był pełen troskliwości dla współników Robespierre'a; nie chciał, by który z nich uniknął gilotyny.

Gamelina na noszach odniesiono do Conciergerie.

## XXVIII

Dziesiątego termidora, gdy Ewaryst obudził się nagle z niewypowiedzianą zgrozą po gorączkowym śnie, na tapczanie więziennym, Paryż w swym wdzięku i ogromie śmiał się do słońca. Po upadku Robespierre'a nadzieja budziła się w sercach więźniów; kupcy wesoło otwierali sklepy, mieszczenie czuli się bogatsi, młodzież — szczęśliwsza, kobiety — piękniejsze. Jedynie garstka jakobinów, kilku księży-konstytucjonalistów i parę starych bab drżało, że władza w państwie przechodzi do ludzi złych i zepsutych. Delegacja Trybunału Rewolucyjnego, złożona z oskarżyciela publicznego i dwóch sędziów, udała się do Konwentu, by powinszować mu, że ukrócił spiski. Zgromadzenie postanowiło, że rusztowanie z gilotyną znów wzniesie się na placu Rewolucji. Chciano bogaczom, elegantom, ładnym kobietom ułatwić przyjrzenie się kaźni Robespierre'a, która miała się odbyć tegoż dnia. Dyktator i jego współpracownicy wyjęci byli spod prawa: wystarczyło stwierdzić ich tożsamość przez dwóch urzędników miejskich, aby Trybunał bezzwłocznie wydał ich katowi. Ale nastęczała się trudność; stwierdzenie tożsamości nie mogło być dokonane według form, ponieważ cały zarząd Komuny wyjęty był spod prawa. Zgromadzenie upoważniło Trybunał do stwierdzania tożsamości przez zwykłych świadków.

Triumfirowie ze swymi głównymi współnikami ciągnięni byli na śmierć wśród okrzyków radości, wściekłości, klątw, urągania, śmiechów, tańca...

Nazajutrz Ewarysta, który o tyle odzyskał siły, że mógł prawie utrzymać się na nogach, wyprowadzono z więzienia i stawiono przed Trybunał, na tej samej estradzie, którą tak często widział zapelnioną oskarżonymi, gdzie zasiadały po kolei to znakomite, to nieznane ofiary. Estrada ta ugięła się teraz pod ciężarem siedemdziesięciu osób, po większej części członków Komuny, i kilku przysięgłych, jak Gamelin wyjętych spod prawa. Zobaczył znów swoją ławkę, poręcz, o którą miał zwyczaj się opierać, miejsce, skąd tyle razy terroryzował nieszczęśliwych, miejsce, na którym znieść musiał spojrzenie Jakuba Maubel, Fortunata Chassagne, Maurycego Brotteaux, błagalny wzrok obywatelki Rochemaure, której zawdzięczał mianowanie na przysięgłego, za co odwzajemnił się jej wyrokiem śmierci. Ujrzał znów nad estradą sędziów, nad trzema mahoniowymi fotelami, obitymi czerwonym aksamitem, popiersia Chałiera, Marata i owo popiersie Brutusa, którym świadczył się niegdyś. Nic nie było zmienione, ani topory i różgi liktorskie, ani czerwone czapki na obiciach, ani obelgi ciskane przez megiery tym, co umrzeć mają, ani dusza Fouquier-Tinville'a, który spokojnie, pracowicie, gorliwie przewracał ludobójcze swe dokumenta i jako wzorowy urzędnik posyłał na śmierć wczorajszych swych przyjaciół.

Obywatele Remacle, odźwierny-krawiec, i Dupont starszy, stolarz z placu Thionville, członek

Komitetu Nadzoru z sekcji Pont-Neuf, poznali Gamelina (Ewarysta), artystę malarza, byłego przysięgłego Trybunału Rewolucyjnego, byłego członka Rady Generalnej Komuny.

Świadczyli za pięciofrankową asygnatę na koszt sekcji. Ale że byli w stosunkach sąsiedzkich i przyjaznych z wyjątkiem spod prawa, przykro im było spotkać się z jego spojrzeniem. Zresztą było gorąco, pić im się chciało i spieszno im było wychylić szklankę wina.

Gamelin z wielkim trudem wsiadł na wózek; utracił był dużo krwi i rana bolała go bardzo.

Woźnica zaciął batem szkapinę i pochód wolno posuwać się zaczął wśród okrzyków i urągawisk.

Kobiety, które poznawały Gamelina, wołały:

— Tak! Idź i ty, krwio pijco! Morderco za osiemnaście franków dziennie!... Nie śmieje się już teraz: patrzcie, jaki blady, tchórz podły!

Były to te same kobiety, które niegdyś lżyły spiskowców i arystokratów, republikanów umiarkowanych i pobłażliwych, wysyłanych na gilotynę przez Gamelina i jego kolegów.

Wózek skręcił na Quai des Morfondus, z wolna doszedł do Pont-Neuf i ulicy de la Monnaie: jechano na plac Rewolucji, ku rusztowaniu Robespierre'a. Koń kulał, woźnica co chwila batem muskał go po uszach. Tłum widzów, wesoły, ożywiony, wstrzymywał pochód eskorty. Publiczność wieszowała żandarmom; ci powstrzymywali konie. Na rogu ulicy Honoré obelgi wzmożły się. Młodzi ludzie, siedzący w antresolach, w salonach modnych restauracji, przybiegli do okien i wołali:

— Kanibale, ludożercy, krwio pijcy!

Wózek zahaczył o kupę śmieci, nie uprzątniętą przez dwa dni zamieszek. Złota młodzież wybuchnęła śmiechem:

— Wózek w śmietniku!... Do gnoju jakobinów! Gamelin rozmyślał i zdało mu się, że pojął wszystko.

„Umieram sprawiedliwie — myślał. — Słuszne jest, byśmy odbierali te obelgi ciskane Republice; powinniśmy byli ją obronić. Byliśmy słabi, zawiniliśmy pobłażaniem.

Zasłużyliśmy na nasz los. Robespierre sam, ten czysty, ten święty, grzeszył łagodnością, pobłażaniem; błędy swe okupił teraz męczeństwem. Za jego przykładem i ja zdradziłem Republikę; ginie ona — słuszne jest, bym wraz z nią zginął. Oszczędzałem krew, niech płynie krew moja! Niechaj zginę! Zasłużyłem na to...“

Gdy tak dumał, spostrzegł szyld sklepu „Miłość malarzem“ i fale goryczy i tkliwości zalały mu serce.

Sklep był zamknięty, żaluzje trzech okien w antresoli szczelnie zapuszczone. Gdy wózek przejechał koło okna na lewo, okna najbliższego od Messageries, ręka kobieca ze srebrnym pierścieniem na serdecznym palcu uchyliła brzeg żaluzji i rzuciła ku Gamelinowi czerwony

goździk. Jego związane ręce nie mogły pochwycić kwiatu, ale dusza jego uwielbiła ten symbol i obraz warg czerwonych i pachnących, na których usta jego znajdowały ochłodę. Oczy jego napełniły się łzami; i cały przejęty jeszcze czarem tego pożegnania, ujrzał nad sobą krwawy topór, wznoszący się na placu Rewolucji.

## XXIX

W miesiącu nivose Sekwana pokryła się lodem. Sádzawki w Tuileryach, strumyki, fontanny były zamrożone. Ostry północny wiatr gnał po ulicy mroźne podmuchy. Z pysków koni buchała gęsta, biała para, przechodnie spoglądali przed drzwiami optyków na termometry. Subiekt obcierał spotniałe szyby sklepu pod godłem „Miłość malarzem“, a ciekawi przyglądali się modnym chwilowo rycinom, jako to: Robespierre wyciskający serce niby cytrynę nad kielichem, aby wypić zeń krew, lub większe alegoryczne rysunki, jak np.: „Tygrokracja Robespierre'a— były to same hydry, gady, potwory, wypuszczone na Francję przez tyrana. Widniały tam jeszcze: „Straszne sprzysiężenie Robespierre'a“, „Aresztowanie Robespierre'a“, „Śmierć Robespierre'a...“

Tego dnia po południu Filip Desmahis z teką pod pachą wszedł do sklepu pod godłem „Miłość malarzem“. Przynosił obywatelowi Blaise nową pracę: „Samobójstwo Robespierre'a“, które wyrytował był au poimntill'e. Pikarejski rylec rytownika uczynił był Robespierre'a tak brzydkim, jak się to tylko dało. Naród francuski nie był jeszcze przesycony wszystkimi pamiątkami, święącymi hańbę i ohydę tego człowieka, obarczonego wszystkimi zbrodniami Rewolucji. Ale handlarz rycin, znający publiczność, uprzedził Desmahisa, że odtąd do rytowania będzie mu dawał tematy wojskowe.

— Będziemy potrzebowali zwycięstw, podbojów, szabli, pióropuszków, generałów. Palimy się teraz do sławy wojennej. Czuję to w sobie; serce moje bije silniej, gdy słyszę o dzielnych czynach naszych walecznych armii. A gdy doświadczam wzruszenia, rzadko się zdarza, by wszyscy nie odczuwali go jednocześnie ze mną. Trzeba nam wojowników i niewiast, Marsa i Wenery.

— Obywatelu Blaise, mam jeszcze u siebie dwa czy trzy rysunki Gamelina, które dałeś mi do rytowania. Czy to pilne?

— Bynajmniej.

— Wracając do Gamelina: wczoraj, przechodząc przez bulwar du Tempie, widziałem w kramie handlarza starzyzny, naprzeciw domu Beaumarchais'go, wszystkie płótna tego biedaka. Był tam jego „Orestes i Elektra“. Głowa Orestesa, który podobny jest do Gamelina, jest, zapewniam pana, istotnie piękna... głowa i ramię są wspaniałe... Ów handlarz powiedział mi, że nie będzie miał kłopotu ze sprzedażą tych płócien artystom, którzy je świeżo

zamalują... Ten biedny Gamelin może byłby miał talent, gdyby się nie był wziął do polityki.

— Miał duszę zbrodniarza! — odrzekł obywatel Blaise. — Odkryłem to tutaj, na tym miejscu, wtedy gdy krwiożercze jego instynkty były jeszcze

powściągane. Nigdy nie darował mi tego... Ach! To był piękny okaz łotra,

— Biedny chłopak! Był szczery. Fanatycy go zgubili.

— Sądzę, że chyba nie bronisz go, obywatelu Desmahis!... Niepodobna go bronić.

— Nie, obywatelu Blaise. Nie daje się obronić. I obywatel Blaise, klepiąc po ramieniu obywatela Desmahis, rzekł:

— Tak, czasy się zmieniły. Można nazwać cię „Barbaroux“ teraz, gdy Konwent odwołuje wygnańców... Ale, ale, dobrze, że pamiętam: Desmahis, wryj mi oto portret Karoliny Corday.

Kobieta wysoka, piękna, brunetka, otulona futrem, weszła do magazynu i powitała obywatela Blaise ukłonem poufnym i dyskretnym. Była to Julia Gamelin, ale nie nosiła już tego zhańbionego nazwiska. Kazała nazywać się „obywatelką wdową Chassagne“, pod płaszczem ubrana była w czerwoną tunikę na cześć czerwonych koszul Terroru.

Julia z początku czuła niechęć do kochanki Ewarysta. Wszystko, co tyczyło się jej brata, było jej wstrętne. Ale obywatelka Blaise przyjęła była pod swój dach, na strych domu „Miłość malarzem“, nieszczęśliwą matkę Ewarysta.

Julia najpierw także się tam schroniła; potem znalazła miejsce w perfumerii przy ulicy des Lombards. Jej krótkie włosy a la victime, jej arystokratyczna twarz i żałoba zjednywały jej sympatie złotej młodzieży. Jan Blaise, którego Róża Thevenin na wpół porzuciła, ofiarował teraz Julii hołdy, które zostały przyjęte. Julia lubiła nosić ubranie męskie, jak niegdyś w dniach tragicznych; kazała więc zrobić piękne ubranie eleganta i z grubym kijem w rękę, w towarzystwie jakiej modystki chodziła często na kolacyjki do knajp w Sevres i Meudon. Niepocieszona po śmierci młodego arystokraty, którego nazwisko nosiła, energiczna Julia tylko w zemście znajdowała ukojenie swego smutku. Gdy spotykała jakobinów, podjudzała na nich przechodniów i groziła im śmiercią. Niewiele czasu pozostawało jej dla matki, która, sama w swoim pokoju, cały dzień odmawiała różaniec, zbyt zgnębiona tragicznym końcem syna, by to osamotnienie odczuć mogła.

Róża Thevenin była teraz najmilszą towarzyszką Elodii, która stanowczo dobrze się godziła ze swymi macochami.

— Gdzie Elodia? — zapytała obywatelka Chassagne.

Jan Blaise odpowiedział znakiem, że nie wie. Nie wiedział nigdy nic o córce; było to dlań zasadą, przyjętą raz na zawsze.

Julia przysłała po Elodię, aby iść z nią w odwiedziny do Róży Thevenin, do Monceau, gdzie



aktorka zamieszkiwała małą willę z angielskim ogrodem.

W więzieniu w Conciergerie Róża Thevenin zaznajomiła się z wielkim dostawcą dla armii, obywatelem Montfort.

Pierwsza wypuszczona z więzienia za staraniem Jana Blaise, wyrobiła uwolnienie obywatela Montfort, który natychmiast objął dostawę żywności dla wojska i wziął się do spekulowania gruntami w dzielnicy La Pepiniere. Architekci Ledoux, Olivier i Wailly pobudowali tam szereg pięknych domów i w trzy miesiące w trójnasób podniosła się wartość gruntów.

Montfort był od czasu uwięzienia w Luksemburgu kochankiem Róży Theraiin i darował jej był małą willę koło Tivoli i ulicy du Rocher; willa warta była dużo pieniędzy, a nie kosztowała go nic, bo sprzedaż okolicznych parcel pokryła mu trzy razy koszt tego podarunku. Jan Blaise był człowiekiem praktycznym; uważał, że trzeba znieść, czego zmienić nie można. Ustąpił Różę Thevenin Montfortowi, nie pogniewawszy się z nią o to.

W kilka chwil po przyjsciu Julii zesłała do magazynu wystrojona Elodia. Pod płaszczem, mimo silnego mrozu, była obnażona w swej białej sukni. Twarz jej przybladła nieco, kibić zeszcupiała, spojrzenie było omdlewające, cała postać tchnęła rozkoszą.

Obie kobiety udały się do obywatelki Thevenin, która je oczekiwała. Desmahis towarzyszył im, aktorka bowiem chciała zasięgnąć jego rady co do ozdobienia pałacyku. Desmahis kochał Elodję, ona zaś w chwili obecnej była na wpół zdecydowana położyć kres jego cierpieniom. Gdy obie kobiety przechodziły koło Monceaux, gdzie pod warstwą wapna pogrzebano ofiary gilotyny z placu Rewolucji, Julia rzekła:

— Dobrze to podczas mrozów, ale na wiosnę wyziewy tej ziemi zatrują połowę miasta...

Obywatelka Thevenin przyjęła swoje przyjaciółki w saloniku urządzonym w stylu antycznym, którego fotele i kanapy wykonane były według rysunku Davida. Na ścianach wisiały kopie płaskorzeźb rzymskich; posążki, biusty i kandelabry malowane były na kolor brązu. Aktorka miała na głowie perukę w loczki koloru słomianożółtego. Peruki w owym czasie były bardzo modne, dawano ich sześć, dwanaście, osiemnaście do wyprawy ślubnej. Suknia a la cyprienie jak pochwa obciskała jej ciało.

Zarzucawszy płaszcz na ramiona, aktorka zaprowadziła przyjaciółki swe i rytownika do ogrodu, który planował dla niej Ledoux, lecz który był jeszcze chaosem bezlisnych drzew i rumowisk.

Pokazała w nim jednak grotę Fingala, gotycką kapliczkę z dzwonem, świątynię, potok.

— Tu — rzekła wskazując na grupę młodych świerków — chciałabym wznieść nagrobek poświęcony pamięci tego biednego Brotteaux des Ilettes. Nie byłam mu obojętna. Był miły i uprzejmy. Potwory te zabiły go, oplakałam go szczerze. Obywatelu Desmahis, wyrysuj mi urnę na kolumnie.

I prawie natychmiast dodała:

— To rozpacz, doprawdy... chciałam urządzić bal w tym tygodniu, a nie ma ani jednego skrzyпка. Co wieczora są tańce u obywatelki Tallien.

Po obiedzie powóz obywatelki Thevenin odwiózł trzy przyjaciółki i Desmahisa do teatru Feydeau, gdzie był zgromadzony cały elegancki świat Paryża. Kobiety uczesane a l'autique lub a la victime, w sukniach głęboko wyciętych, czerwonych lub białych ze złotymi ozdobami. Panowie ubrani w czarne, wysokie pod szyję kołnierze; podbródki ich ginęły w wielkich białych krawatach.

Afisz oznajmiał „Fedrę“ i „Psa ogrodnika“. Cała sala zażądała hymnu „Reveil du peuple“, tak miłego elegantom i złotej młodzieży. Podniosła się kurtyna, mały człowieczek, krótki a gruby, ukazał się na scenie. Był to sławny Lays. Zaśpiewał swym pięknym tenorem:

Ludu francuski, ludu braci!...

Zagrzmiały huczne oklaski, zadźwięczały od nich szklane wisiory świeczników. Potem usłyszano szepty i głos obywatela w okrągłym kapeluszu odpowiedział z parteru hymnem Marsylczyków:

Naprzód, ojczyzny dzieci!...

Głos ten stłumiono okrzykami szyderstwa; rozległy się wołania:

— Precz z terrorystami! Śmierć jakobinom!

I Lays, wywołany przed rampę, zaśpiewał powtórnie hymn termidorystów:

Ludu francuski, ludu braci!...

We wszystkich salach, gdzie odbywały się widowiska, wszędzie widać było popiersie Marata bądź na kolumnie, bądź na postumencie; w teatrze Feydeau popiersie to wznosiło się na cokole, od strony kulis, oparte o murowane obramowanie, zamykające scenę.

Podczas gdy orkiestra grała uwerturę do „Fedry i Hipolita“, młody elegant, wskazując końcem swej pałki na podobiznę Marata, zawołał:

— Precz z Maratem! Cała sala powtórzyła:

— Precz z Maratem! Precz z Maratem!

I poprzez wrzawę doniosły się słowa:

— To wstyd, żeby ten stał tu jeszcze!

— Nikczemny Marat panuje wszędzie ku hańbie naszej! Ilość podobizn równa się ilości głów, które chciał strącić.

— Jadowita ropucha!

— Tygrys!

— Czarna żmija!

Nagle jeden z eleganckich widzów wstępuje na poręcz swej łoży, trąca popiersie i przewraca

je. Gipsowa głowa rozpryskuje się w kawałki, obsypując pyłem muzykantów, wśród oklasków sali, która, porwana, stojąc śpiewa „Reveil du peuple“:

Ludu francuski, ludu braci!...

Pomiędzy śpiewającymi najgłośniejsze Elodia poznała pięknego dragona, pisarczyka prokuratorii, Henry'ego, swego pierwszego kochanka...

Po przedstawieniu piękny Desmahis odwiózł koźmi obywatelkę Blaise do jej domu pod godłem „Miłość malarzem“. W powozie artysta ujął w swe dłonie rękę Elodii.

— Czy wierzysz, Elodio, że cię Kocham?

— Wierzę, ponieważ Kochasz wszystkie kobiety.

— Kocham je w tobie.

Uśmiechnęła się.

— Podjęłabym się zadania nad siły, gdybym nawet przy pomocy tak teraz modnych peruk czarnych, jasnych, rudych chciała stać się dla ciebie całym rodzajem kobiecym.

— Elodio, przysięgam ci...

— Co, zakłęcia, obywatelu Desmahis?... Albo jesteś bardzo naiwny, albo przypuszczasz, że ja jestem naiwna.

Desmahis nie wiedział, co odpowiedzieć, ona zaś poczytała sobie za triumf, że odjęła mu cały spryt i dowcip.

Na rogu ulicy de la Loi usłyszeli śpiewy i krzyki, ujrzeni cienie poruszające się około wielkiego ogniska. To gromadka elegantów, wracająca z Theatre-Francais, paliła manekin wyobrażający Marata.

Na ulicy Honoré stangret zawadził kapeluszem o karykaturę Marata wiszącą na latarni.

Woźnica, rozweselony tym zdarzeniem, odwrócił

się do swych pasażerów i opowiedział im, jak poprzedniego dnia właściciel garkuchni przy ulicy Montorgueil obmazał krwią głowę Marata, mówiąc: „Oto co lubił“. Mali, dziesięcioletni chłopcy rzucili popiersie do rynsztoka przy śmiechach obywateli i okrzykach: „Oto jego Panteon!“. Tymczasem ze wszystkich restauracji i kawiarni słychać było śpiew:

Ludu francuski, ludu braci!...

— Do widzenia — rzekła Elodia przybywszy do domu. Wskoczyła z powoziku.

Ale Desmahis błagał ją tak czule, nalegał tak słodko, że Elodia nie miała odwagi zostawić go za drzwiami.

— Późno już — rzekła — zostaniesz tylko chwilę. W błękitnym pokoju zdjęła płaszcz i ukazała się w swej sukni a l'antique, w tej sukni białej, pełnej i cieplej od jej ciała.

— Może tu zimno — rzekła. — Zapalę ogień w kominku, wszystko jest przygotowane.

Uderzyła w krzesiwko i wsunęła w ognisko płonąca zapałkę.

Filip wziął ją w ramiona z tą delikatnością, taldobrze zdradzającą siłę; dotknięcie to było je, dziwnie przyjemne. Już ugiwała się pod jego pocałunkami, ale wyrwała się.

— Daj mi pokój!

Wolno rozczesała się przed lustrem kominka z wyrazem smutku spojrzała na srebrny pierścionek na palcu lewej ręki, na którym twarz Marata była cała zgnieciona i zatarta. Spoglądała na pierścionek aż łzy zamglily jej oczy, po czym zdjęła go wolno i rzuciła w ogień.

Wtedy, błyszcząca od łez i uśmiechu, piękna tkliwością i rozkochaniem, rzuciła się w objęcia Filipa.

Noc już była późna, gdy obywatelka Blaise otworzyła kochankowi drzwi pokoju i w ciemności rzekł mu cichutko:

— Żegnaj, kochanku mój... o tej porze wraca mój ojciec: gdybyś usłyszał szmer na schodach, wejdź prędko na wyższe piętro i nie schodź, aż nie będzie obawy, by cię spostrzeżono. Trzy razy zapuka w okienko odzwiernej, aby ci otwarto drzwi od ulicy Żegnaj, moje życie! Żegnaj, duszo moja!

Ostatnie głośnie dogasały w kominie. Elodia opuściła na poduszkę swą znużoną i szczęśliwą głowę.